

Harry Harrison & Ant Skalandis

Planeta Śmierci 4

przekład: Ewa i Eugeniusz Dębscy

Księga I

Ostry sygnał łączności zewnętrznej przerwał ciszę w sterówce. Dźwięk był tak przenikliwy i tak bardzo przypominał rozpaczliwy pisk rannego kolcolota, że troje Pyrrusan odruchowo wycelowało pistolety w główny monitor, który właśnie przekazywał informację zbiorczą dotyczącą Kosmoportu Welfa. Cała czwórka odniosła wrażenie, że elektroniczny sygnał przekazuje również rozdrażnienie, z jakim ktoś ze statku na orbicie Pyrrusa naciska klawisz wywołania. Widocznie załoga patrolowca wyjaśniła mu, że lądowanie na globie nieprzygotowanego statku jest wykluczone, ale przybyły z daleka gość zażądał łączności z wyższymi rangą urzędnikami.

Miał szczęście, że przy pulpicie znajdował się Jason, najbardziej zrównoważony w tym towarzystwie.

Namolny przedstawił się jako Revered Berwick, właściciel statku. Oświadczył, że sprawa nie cierpi zwłoki, a on zamierza rozmawiać wyłącznie z najważniejszymi osobami na Pyrrusie, dlatego musi natychmiast otrzymać pozwolenie na lądowanie. Nie będzie przecież dyskutował z jakimś dyspozytorem.

- Proszę posłuchać, szanowny panie - spokojnie przerwał mu Jason. - Revered to tylko imię, a może chce pan jeszcze raz podkreślić konieczność uszanowania swojej osoby?

- Berwick zachłysnął się z oburzenia, a Jason kontynuował:

- Szanujemy każdą ludzką jednostkę we Wszechświecie i wymagamy podobnego podejścia do siebie. Wykonuję w tej chwili funkcję dyspozytora, ale nazywam się Jason dinAlt, jeśli to coś panu mówi. Proszę zrozumieć, że na Pyrrusie żyje bardzo mało ludzi i najwyższe władze rzadko przesiadują w swych gabinetach. Niezbyt wygodnych, nawiasem mówiąc. Zwykle zajmujemy się problemami codziennymi: bezpieczeństwem, budownictwem, zaopatrzeniem. Dobra, powiedziałem wszystko. Teraz słucham, na czym polega pański problem, panie Revered Berwick.

- Naprawdę mam na imię Revered. - Nieproszony gość wyraźnie spuścił z tonu. - Przy okazji opowiem panu szczegółowo, jak pojawiłem się na tym świecie, ale teraz, proszę mi uwierzyć, musimy się pilnie spotkać i odbyć rozmowę w cztery oczy. Sprawa jest tak ważna i pilna, że wymagała przelania dwóch milionów kredytów na wasz rachunek w Międzygwiezdny Banku.

- Na mrok przestrzeni! Od tego należało zacząć! Chwileczkę, panie Berwick.

Jason szybko połączył się z bankiem i uzyskał na ekranie potwierdzenie słów dziwnego gościa. Pieniądze naprawdę wpłynęły wcześniej rano.

- Świetnie - podsumował. - Natychmiast ściągamy pana tutaj, ale naszym statkiem. Musi nam pan uwierzyć, że ta planeta nie wybacza lekceważenia instrukcji.

Revered Berwick przyjął propozycję do wiadomości i wyłączył się bez zbędnych słów.

- Czy nie za bardzo się pośpieszyłeś, Jasonie, z zaproszeniem zupełnie nieznanego człowieka?

Pytanie zadał Kerk Pyrrus, jeden z najstarszych i cieszących się największym autorytetem mieszkańców planety. Pyrrusanie nigdy nie mieli wyraźnie scentralizowanej władzy, nie było takiej potrzeby i takiej tradycji. Nieliczną populacją jednego wielkiego miasta i kilku górniczych osiedli kierowała grupa ludzi bardziej przypominająca sztab wojskowy niż rząd. Jednakże od czasu, kiedy - dzięki staraniom Jasona - Pyrrus stał się pełnoprawnym członkiem Ligi Światów, Kerk musiał przyjąć stanowisko premiera i podczas ważnych zebrań odgrywać rolę pierwszej osoby w państwie. Lecz nawet aktywny udział w międzygwiazdnej polityce nie złagodził starej pyrrusańskiej nieufności do obcych wszelkiej maści, a nauki Jasona dinAlta, starego przyjaciela Kirka, szły w las. Ten słynny były gracz, szuler i esper numer jeden Galaktyki na rozwijającym się Pyrrusie pełnił jednocześnie funkcje ministra gospodarki, finansów, sprawiedliwości, kultury i oświaty. W każdym razie czasami lubił się tak przedstawiać.

- Pomyśl chwilę - powiedział Kerk. - Czy nie lepiej będzie, jeżeli nasza ekipa poleci na orbitę i pogada z tym megalomanem?

- Sądzę, że nie - uśmiechnął się Jason. - Przerabialiśmy to już i obgadywaliśmy wiele razy. Co prawda, jeszcze nikt nie przelewał z góry pieniążków na konto Pyrrusa...

Kerk przypomniał sobie zdradzieckie porwanie Jasona i zezwolił na przyjęcie gościa. W końcu na własnym terenie rzeczywiście jest bezpieczniej.

- Dobra - powiedział z lekką niechęcią. - Niech go powita Meta.

Meta była pierwszą w historii Pyrrusanką, która pokochała człowieka z innej planety. Wiele lat temu uratowała Jasona od śmierci, powstrzymując rękę rozjuszonego współplemieńca. Ostatecznie okazało się, że uratowała w ten sposób ojczysty świat. Jak każda kobieta, Meta kierowała się bardziej sercem niż umysłem. Z kolei jako Pyrrusanka z dużymi oporami przewyciężała wchłonięte z mlekiem matki twarde zasady kodeksu honorowego żołnierza: przedkładać interesy Pyrrusa i Pyrrusan nad życie pojedynczego człowieka, zwłaszcza przybysza z innej planety. Oto dlaczego, ratując niejednokrotnie Jasona od śmierci, nie od razu zrozumiała, że kieruje nią prawdziwa miłość. Stała się pierwszą Pyrrusanką, która poznała odwieczne, a na wielu planetach zapomniane wielkie uczucie.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy Meta wystartowała swoim nowym lekkim krążownikiem "Temuchin". Statek ten nadawał się wspaniale do podróży po całej Galaktyce, poruszając się w trybie skoków przestrzennych. Przy zwyczajnych zaś, międzyplanetarnych prędkościach uważany był za najbardziej oszczędny w swojej klasie, więc przeważnie służył jako prom.

Berwicka przeraziło to, co zobaczył na powierzchni Pyrrusa. Masy paskudnych stworów, latających, skaczących i pełzających, zaatakowały prom z niezwykle zaciekłością. Nie mógł wiedzieć, że wzmożona agresja, zaobserwowana w ostatnim czasie wśród miejscowej fauny, wiąże się wyraźnie z seansami łączności dalekiego zasięgu i ze statkami

krążącymi wokół planety. Pyrrusanie wybudowali nowe miasto, nie odizolowane, jak poprzednie, od środowiska nieprzebytym obwodem obronnym i dlatego noszące dumną nazwę Otwartego Miasta. Od tego czasu celem agresji organizmów Planety Śmierci niespodziewanie stał się kosmoport, nazwany imieniem ostatniego z synów Kerka, który zginął, ratując życie Jasonowi. Nowe mutacje groźnej pyrrusańskiej flory i fauny ni stąd, ni zowąd zaczęły ze szczególną nienawiścią reagować na mocne źródła fal radiowych. Dlaczego tak się działo, nie wiedzieli najlepsi nawet specjaliści, zajmujący się lokalnymi formami życia. Oczywiście natychmiast wzmocniono ochronę przylatujących i odlatujących statków. Ale nie tylko - żeby maksymalnie odizolować Otwarte Miasto od telepatycznych fal nienawiści, Pyrrusanie wybudowali podziemną magistralę, która stała się główną arterią transportową między miastem i portem. Przestrzeń powietrzną wykorzystywano tylko w wyjątkowych wypadkach.

Meta wygasiała planetarny silnik i zamknęła hermetyczne drzwi do służby. Zaproponowała Berwickowi, by - jeśli bardzo się boi - włożył skafander, ale uprzedziła, że do przejścia mają tylko kilka metrów. Berwick stanowczo odmówił, czego pewnie od razu pożałował. Żeby oboje mogli przejść ze statku do łazika, a potem z łazika do budynku dyspozytorskiego, Meta musiała stoczyć prawdziwy bój, który sprawił Berwickowi wstrząs i rozpacz. Wojownicza Pyrrusanka umyślnie nie skorzystała z teleskopowych korytarzy łącznikowych. Chciała, by gość choć przez kilka chwil odetchnął powietrzem prawdziwej Planety Śmierci, żeby zobaczył, iż - jak powiadają - życie to nie bajka.

Okazało się, że mocno szacowny Berwick od dawna nie uważa życia za bajkę. Był poważny, nawet ponury, i teraz dodatkowo wystraszony, więc rozdrażnienie wróciło. Miał jakieś czterdzieści lat, był wysoki i barczysty, ubrany z wyszukaną elegancją. Z całej jego postaci wręcz promieniował bardzo wysoki status społeczny, a status, jak wiadomo, zobowiązuje. Berwick nad podziw szybko, jak na obcego, pokonał drżenie rąk i słabość w nogach. Rozwalił się w najwygodniejszym fotelu, wyjął z kieszeni cygaro i specjalnym urządzeniem, które jednocześnie służyło za spinak, niespiesznie odciął koniuszek. Potem odpalił od sygnetu z laserową zapalniczką w środku i całą dyspozytornię wypełnił delikatny miodowy aromat drogiego tytoniu.

Meta przechwyciła tęskne spojrzenie Jasona skierowane na cygaro. Palce wielkiego gracza nerwowo bębniły w stół obok klawiatury

- Polecono mi was w twierdzy starego imperium kosmicznego, na Ziemi. Jeśli się nie mylę, właśnie do Pyrrusa należy najpotężniejszy w Galaktyce statek wojenny. Również Pyrrusanie zyskali opinię najlepszych i najbardziej doświadczonych bojowników.

Jason poczuł się zaszczycony. Przecież i on zaliczał się już do mieszkańców Planety Śmierci. Cóż, przez wiele lat wspólnych walk stał się rzeczywiście niemal Pyrrusaninem, zarówno duchem, jak i ciałem. Po trzecim powrocie na Pyrrusa Jason dinAlt już praktycznie nie odczuwał podwójnego ciężenia, mięśnie odpowiednio okrzepły i tylko refleks, rzecz jasna, miał gorszy niż rodowici Pyrrusanie.

- Jestem pełnomocnym przedstawicielem Wielkiej Rady w Konsorcjum Światów

Zielonej Gałęzi - przestawił się Revered Berwick do końca.

Jason słyszał już o Zielonej Gałęzi, ale samo Konsorcjum było stosunkowo młodą instytucją i zżerała go ciekawość, jakie problemy ją dręczą. Los nie rzucił go dotychczas w tak odległe regiony Wszechświata.

Zielona Gałąź, już przed tysiącami lat nazwana tak przez ziemskich astronomów, była skupiskiem gwiazd naprawdę przypominającym cieniutki pęd. Zupełnie jakby ziarenko soczewicy nagle zakiełkowało w czarnoziemiu międzygwiazdnej przestrzeni. Dokoła podobnych do Słońca gwiazd Zielonej Gałęzi obracało się sporo planet z warunkami życia odpowiednimi dla ludzi. Niektóre z nich były już od dawna zasiedlone. Te światy stały się z czasem porządnymi handlowymi i przemysłowymi ośrodkami, nadzwyczaj ważnymi dla tak oddalonego ogniska cywilizacji. Inne zaś globy, zasiedlone stosunkowo niedawno, były jeszcze agresywne i walczyły między sobą, ale i na nich miał niedługo zapanować wiek stabilizacji i rozkwitu. Lokalne wojny i konflikty zdarzały się coraz rzadziej. A co najważniejsze, żadnej z planet Zielonej Gałęzi, z powodu ich stosunkowo niewielkiego od siebie oddalenia, nie dotknęła degeneracja ponurej Epoki Regresu. Poziom technologii wszędzie się ustabilizował na mniej więcej tym samym poziomie, co doprowadziło w końcu do powstania Konsorcjum.

Oddalenie od całej reszty ludzkości, rozdieranej sprzecznościami i sporami, pozwoliło Zielonej Gałęzi stać się najbogatszym regionem i miejscem błogosławionym. wielu ludzi w Galaktyce uwalniało je za legendę wymyślony przez romantyków, coś na kształt ogrodów Edenu. Najbogatsi biznesmeni, którzy znali do niej drogę, zgodnie uważali ją za region idealny do robienia interesów i realizacji oszałamiających projektów

Nic nie zapowiadało nieszczęścia, póki pewnego dnia piloci linii międzygwiazdnych, a następnie również obserwatorzy na najodleglejszym posterunku Zielonej Gałęzi - planecie Uctis nie zauważyli nieznanego obiektu. Z międzygalaktycznej przestrzeni do światów Konsorcjum wolno, ale nieubłaganie zbliżało się coś, czego początkowo nawet nie nazywano ciałem niebieskim, bo tak niezrozumiały był jego odczyt na ekranach najmocniejszych teleskopów i radarów. Promieniowanie obiektu ulegało zmianom w nieprzewidywalny i niezrozumiały sposób. Chwilami nawet zachowywał się jak ciało absolutnie czarne. Nie odbijał żadnych sygnałów i gdyby przyrządy potrafiły myśleć obrazowo, powiedziałyby, że zbliżające się do Uctisa ciało jest czarniejsze od najczarniejszej międzygwiazdnej pustki.

Ale nawet nie to było najważniejsze. Promieniowanie obiektu wywoływało lęk, strach, przerażenie. Było to zjawisko nie tyle fizyczne, co psychologiczne: "promieni strachu" nie wychwytywały żadne, nawet najdoskonalsze urządzenia, nawet nastawione na standardowe biofale psi - translatory. Jednocześnie musiały istnieć, bo ludzie, którzy się zbliżyli do złowieszczej tajemnicy, wyraźnie odczuwali ich działanie nie tylko w punktach obserwacyjnych Uctisa, ale również na innych światach Zielonej Gałęzi. Dobrobyt i szczęście planet zostały zagrożone. Niepojęty i złowieszczy międzygwiazdny wędrowiec zbliżał się.

Tydzień temu promieniowanie stało się względnie stabilne i astronomowie z Uctisa mogli już opisać obiekt jako coś pomiędzy małą planetą i dużą asteroidą o niewiarygodnie

wysokiej sile ciężenia - 0,7 - 0,8 G - przy takich niewielkich wymiarach! Był pozbawiony powłoki atmosferycznej, natomiast pokryty grubą warstwą lodu. Jego głębsze warstwy nie poddawały się analizie spektralnej, nie udało się więc wyjaśnić zagadki dużej siły ciężenia. Nie ulegało wątpliwości, że asteroida pochodzi z innej galaktyki. To był obcy świat. Zamrożony świat.

Ile miliardów lat potrzebował, by pokonać niewyobrażalne przestrzenie? Jakie istoty, jakie siły nadały mu kierunek lotu? Co krył w swoim wnętrzu?

Wszystkie te pytania podniecały uczonych i rządy światów Zielonej Gałęzi, ale dominował strach - lepki, czarny, nie dający się opanować. Nieuchronnie docierał do świadomości każdego człowieka, który zerknął tylko na wizerunek ciemnego dysku, a przecież widniał on już na ekranach wszystkich przyrządów obserwacyjnych. Nikt nie wiedział, jak można pokonać ten strach i dlatego, mimo wyraźnego zagrożenia, nikt się nie zdecydował na przeciwdziałanie.

Tym bardziej że prawdziwi uczeni gotowi są zbadać wszystko, również i ten niezdefiniowany koszmar. Ci, którzy zajmują się nauką, nie znają, lęku przed nieznanym - nieznanie tylko podnieca ich i daje natchnienie. A niepokój i konsternacja wywoływane przez obcy obiekt były czymś szczególnym. Nie miały odpowiedników w zamieszkanym świecie Wszechświata, gdzie naprawdę nie brakuje niebezpieczeństw i zagrożeń.

A więc: badać czy zniszczyć?

Nadzwyczajne posiedzenie Ligi Światów z udziałem najwyżej technologicznie rozwiniętych planet Galaktyki zdecydowało: po pierwsze - utajnić wykrycie Obiektu 001 (taką bezosobową nazwę nadano asteroidzie z obcej galaktyki); po drugie prowadzić nieustającą obserwację przy pomocy regularnie wymienianego personelu, aby ograniczyć do minimum wpływ obiektu na psychikę obsługi; i po trzecie - zwrócić się o pomoc do najlepszych w Galaktyce specjalistów od sytuacji kryzysowych, to znaczy do Pyrrusan. Zwłaszcza że - jeśli szukać analogii - nic bardziej nie przypominało "promieni czarnego strachu", niż telepatycznie przekazywana nienawiść pyrrusańskich organizmów. Ktoś nawet zaryzykował stwierdzenie, że chodzi o identyczne zjawisko, choć na Pyrrusie obserwuje się je w dużo mniejszej skali.

- Strach i panika nie mogą się rozprzestrzenić - zakończył swą opowieść Berwick - a zdecydowane kroki należy podjąć już teraz. W niebezpieczeństwie jest nie tylko Zielona Gałąź, ale, - Zapalę - oświadczył Jason po chwili milczenia

- Przecież rzuciłeś? - z pogardą w głosie przypomniała mu Meta

- Tak, ale sytuacja jest nadzwyczajna - zaproponował.

- Twoja nadzwyczajna sytuacja związana jest wyłącznie z tym, że w powietrzu unosi się zapach dobrego cygara - ironicznie rzuciła Meta.

- Ależ ja nie palę cygar! - usprawiedliwiał się Jason jak uczeń. - Przecież wiesz, że ja tylko papierosy.. .

W tym momencie Kerk trzasnął w stół swoje ogromni łapą, tak że podskoczyły i rozdzwoniły się szklanki z wody mineralni. - Moi przyjaciele, co to za gadanie? Czy nie ma już innych problemów?

Berwick uważał, że należy im się dodatkowa informacja: dwa miliony kredytów, przelane na konto Pyrrusan, to suma zebrana przez przedstawicieli Konsorcjum w skrajnym pośpiechu i w warunkach najwyższego utajnienia - każdy najmniejszy wkład wymagał oddzielnego opisu. Ale na całkowite rozwiązanie problemu mogą zostać przydzielone znacznie większe środki.

- Zdaję sobie sprawę, że przekazana suma może nie starczyć nawet na uruchomienie wielkiej operacji - powiedział Berwick - ale bardzo liczę na zdrowy rozsądek Pyrrusan i niektóre inne cechy waszych charakterów. Zgodnie z pokutującym w Galaktyce przeświadczeniem, pieniądze nie są najważniejsze dla mieszkańców Planety Śmierci.

Wszyscy obecni zgodzili się z tą opinią. Wtedy Revered Berwick zademonstrował im zapis, wykonany dwa dni wcześniej, w trakcie zdjęć z patrolowca, który zbliżył się do Obiektu 001 na dopuszczalną odległość. Rozdzielczość przyrządów pozwalała nawet dojrzeć jakieś ciemne plamy pod lodową czapą wolno wirującej kuli. Oczywiście, należało zbadać je dokładniej, ale zadziwiła inna rzecz: nawet obraz na monitorze, w końcu tylko zestaw impulsów świetlnych, wywoływał u Pyrrusan irracjonalny lęk. Jason poczuł, że pistolet wskakuje mu w dłoń i ścisnął go, z trudem zmuszając się do trzymania broni lufą w dół. Jak więc musieli się męczyć Kerk, Meta i Brucco?!

Zuchy, pomyślał z szacunkiem Jason o weteranach pyrrusańskich wojen. Kilka lat wcześniej rozwaliliby na strzepy cały pulpit dyspozycyjny kosmoportu, a dopiero potem zastanawiali się dlaczego. A dzisiaj - proszę bardzo, wytrzymali.

Tak, długotrwałe obcowanie z Jasonem i życie na planecie Felicity, w zupełnie innych realiach, nie minęły u Kerka i Mety bez śladu. Ale Brucco... To zupełnie inna sprawa.

Najlepszy medyk i biolog planety, od wielu lat kierujący centrum adaptacyjnym Pyrrusa i wszystkimi badaniami najdziwniejszej w Galaktyce flory i fauny, Brucco nie wszedł w skład grupy stu sześćdziesięciu ośmiu ochotników, którzy mieli okiełznać kolejny niepokorny glob. Postanowił poświęcić się Pyrrusowi i wziął udział w ostatnim i najstraszliwszym boju, jaki stare miasto stoczyło z planetą W tej bitwie, a właściwie rzezi, toczonej z uporem i desperacją, zginęło niemal piętnaście tysięcy Pyrrusan. Uznano, że Brucco zaginał. Ratownicy wysłani z leśnej rezydencji, założonej znacznie wcześniej przez Rhesa, znaleźli w laboratoriach cudem tylko ocalałe bezcenne materiały, zgromadzone przez najlepszego biologa Pyrrusa w ciągu całego życia. Jednakże Brucco nie zginał, uratował się, bo - w przeciwieństwie do innych - potrafił nie tylko strzelać. Lepiej niż ktokolwiek poznał sposoby działania drapieżników i gdy skończyła mu się amunicja, wyrwał się przez wyłom w obwodzie obronnym. Niemal miesiąc błąkał się po dżungli, a przyroda stawała się dlań coraz mniej niebezpieczna. Nieprawdopodobne stało się faktem: Brucco nauczył się współżyć z dzikimi zwierzętami. Ludzi, którzy to potrafili nazywano na Pyrrusie "mówcami". Zdolność do "rozmawiania" z potworami uważano za wrodzoną, nie do wykształcenia, ale Brucco

wykorzystał swą niezmierną wiedzę i rozwinął w sobie ów talent.

Tak, teraz Berwick już wiedział: ci, którzy poradzili mu podróż tutaj, nie pomylili się. Pyrrusanie rzeczywiście okazali się jedynymi ludźmi we Wszechświecie, których strach nie paraliżował, lecz pobudzał, przechodząc w bitewny szal. A rozżłoszczony Pyrrusanin atakuje zawsze. I teraz jego gospodarze głucho pomrukiwali, jak wielkie drapieżne koty tuż przed skokiem. Tej trójki, która zobaczyła nowe niebezpieczeństwo, nic już nie mogło powstrzymać: rzucono im wyzwanie, a oni, rzecz jasna, podnieśli rękawicę. Nawet nie usiłowali dogadywać się co do pieniędzy, terminów i innych warunków.

Na szczęście Jason znajdował się tuż obok, a jego autorytet na tym globie był niezmiernie duży. Jako doświadczony gracz i biznesmen uprzejmie, ale twardo nakazał im milczenie i sam zaczął pertraktować z Berwickiem.

Po dokonaniu szacunkowej oceny rozmiarów katastrofy, energetycznych wydatków i zasobów ludzkich, jakie trzeba będzie uruchomić, Jason zaczął targ od stu dwudziestu pięciu miliardów Kredytów. Dogadał się z Berwickiem na osiemdziesiąt dwa. Pyrrusanom nie starczyłoby wyobraźni, żeby dojść do takich kwot. I oto Konsorcjum najbogatszych światów Zielonej Gałęzi i rząd planety Pyrrus, reprezentowany przez Jasona dinAlta, podpisali największy zapewne kontrakt w historii Galaktyki. Ale krytyczna sytuacja wymagała radykalnych działań. To nie żarty - konfrontacja z nieznanym wrogiem z obcej galaktyki! Poza tym z każdego klienta należy wyciągnąć maksimum tego, co jest w stanie zapłacić. Zasada podstawowa: możesz zapłacić, płąć. Jason zawsze marzył, by Kerk i Meta przyswoili sobie tę prostą prawdę, ale na próżno niezmiernie potrafili tylko strzelać. Ale za to jak!

Na ryzykowną podróż do granic ucywilizowanego wszechświata wyposażono, oczywiście, najlepszy statek Pyrrusan, liniowiec "Argo". Berwick, najwidoczniej znający się na rzeczy, nazwał go najpotężniejszym w Galaktyce. Statek został zbudowany w czasach starożytnego imperium. Odnaleziony po pięciu tysiącach lat, a następnie rozbrojony przez odważną grupę Jasona, stał się ich własnością. Dość zabawna historia.

Do odparcia poważnej agresji z przestrzeni kosmicznej Ziemianie potrzebowali porzuconego niegdyś na orbicie synchronicznej, dawno zapomnianego olbrzymiego statku o wyjątkowych bojowych możliwościach. Problem polegał na tym, że pancernik, o niezbyt oryginalnej nazwie "Nedetrueba" (w przekładzie z esperanto, oficjalnego języka imperium - "Niezniszczalny", był jednostką całkowicie zautomatyzowaną i bez umówionego hasła, zapomnianego dawno temu, nie dopuszczał do siebie niczego i nikogo. Dowolny zewnętrzny obiekt uważany był za wrogi.

Dowodzący ziemską flotą kosmiczną admirał Djukich został w czasie zagrożenia niekwestionowanym przywódcą Ziemi, ponieważ ta najstarsza zamieszkała planeta, praojczyzna ludzkości, stała się jedną wielką bazą wojskową. Dlatego właśnie Djukich podpisywał umowę z Pyrrusanami. Jason rozumiał, jak ważną jednostką byłby dla Ziemian starożytny pancernik i zamierzał wyszarpać najwyższe możliwe wynagrodzenie - cały miliard kredytów. Dla takiego kąska uskrzydleni duchem bojowym Jason i Kerk dokonali rzeczy niemożliwej - przebili się do wnętrza statku - zabójcy. Jednakże "Niezniszczalny" stanowił

niełatwy kłasek: w razie przeniknięcia do sterówki elementu obcego statek miał ulec całkowitej dezintegracji. Zdobywcy wydali więc na siebie wyrok śmierci, a uratował ich tylko szczęśliwy przypadek. Trzecią osobą w grupie szturmowej była Meta. Wraz ze specem od szyfrów udało się jej złamać hasło i wysłać niezbędny sygnał na trzy sekundy przed eksplozją.

Otrzymali zapłatę i zamierzali powrócić na pomyślnie kolonizowaną planetę Felicity, ale akurat wtedy Gwiezdna Horda zbliżyła się zbyt blisko do Ziemi. Pyrrusanie wyczuli zbliżające się zagrożenie i - jak dzieci od nowej zabawki - nie dało się ich odciągnąć od walki. Jason zdążył pośpiesznie zawrzeć drugą umowę z admirałem Djukichem. Udało się skąpego Ziemianina przekonać tylko - w razie zwycięstwa - do przekazania Pyrrusanom na własność "Argo". Tak nazywał się niegdyś pancernik, którego historię, bardzo szczegółowo opisaną, Jason odnalazł w archiwum pokładowym.

Kerk, Meta i Jason kierowali praktycznie wszystkimi ziemskimi siłami i; rzecz jasna, wygrali wojnę. Rozbili całkowicie Gwiezdną Hordę - liczną, agresywną, ale źle zorganizowaną eskadrę bandziorów grasujących po Galaktyce od dobrych kilku lat. Ziemianie nazwali tę niezbyt ważną bitwę Piątą Wojną Galaktyczną, a Jason z przyjaciółmi skromnie wrócili do domu. Tyle że nie na Felicity, a na Pyrrusa. Już w drodze powrotnej naturalnie i bez sporów podjęli decyzję, że za zarobioną fortunę zbudują nowe miasto i kosmoport na ojczystej planecie. Jason pojął wtedy, że i on uważa już Pyrrusa za swoją drugą ojczyznę. Podczas podróży wyremontowali statek i porządnie go zmodernizowali. Teraz był to ultranowoczesny okręt bojowy, wyposażony we wszystkie najnowsze rodzaje broni, przygotowane teoretycznie do każdej sytuacji. Ale Jason rozumiał, że wszystkiego przewidzieć się nie da. I - jak sądził - na pograniczu Zielonej Gałęzi czekało ich właśnie coś, czego nie można przewidzieć...

Ogarnął go nagle niepokój. Czy martwił się o całą Galaktykę? Ależ nie, raczej o siebie. I o przyjaciół, a szczególnie o Metę. Oczywiście, jego ukochana amazonka jest zawsze gotowa do starcia z każdym wrogiem, ale czy ich siły wystarczą tam, gdzie czeka nieznane?

Skok przestrzenny zakończył się pomyślnie. Na ekranach połyskiwały obecne konfiguracje seledynowych iskier. A potem Meta skorygowała kierunek lotu, wzięła kurs dokładnie na obiekt, i natychmiast zaatakował Jasona straszliwy ból głowy.

Ach, więc to tak! Owa nieznana moc, która powodowała, że wszyscy wpadali w panikę, jego, nadzwyczajnego telepatę, który przeszedł pyrrusańską szkołę i na dziesiątkach najprzeróżniejszych planet zaglądał śmierci w oczy - ta nieznana siła przyprawiała o zwyczajny ból głowy. Z tej odległości!? A co będzie się działo w pobliżu Obiektu 001? Czy wytrzyma?

Pozostali członkowie załogi nie zareagowali w żaden sposób na zmianę kursu, więc Jason na razie nie zdradzał własnych odczuć i domysłów. Tym bardziej że atak szalonej migreny stopniowo osłabł i Jason nawet zaczął się wahać, czy rzeczywiście Obiekt 001 był jej przyczyną.

Ból powrócił znacznie później, gdy zaczęli badać powierzchnię zamrożonej planety, zatrzymawszy się w odległości kilku kilometrów od niej.

Analiza spektralna wykazała, że powierzchnię lodowej czapy stanowi zamrożona woda z typowymi dla tlenowych światów domieszkami. Powłoka nie była stara, bo lód dość szybko paruje w próżni. Ale pod pierwszą warstwą widniała druga przejrzysta jak szkło, twarda jak stal, składająca się z idealnie czystego tlenku wodoru. I tu niespodzianka: struktura krystaliczna niezwyklego lodu różniła się od zwykłego tak, jak grafit różni się od brylantu. To była zestalona w niepojętych warunkach woda, a jej monokryształ, otaczający nadzwyczaj trwałym pancerzem całą planetę, liczył sobie zapewne kilka miliardów lat. Wyraźnie nie podlegał parowaniu czy oddziaływaniu kosmicznego pyłu. Jednakże najprostsze obliczenia wykazały, że dolna warstwa lodu stopi się równie łatwo, jak i wierzchnia, gdy tylko asteroida zbliży się nadmiernie do jednego z gorących słońc Zielonej Gałęzi.

Miało to nastąpić mniej więcej za tydzień. Na kursie asteroidy leżała gwiazda FG 13 - 9, słońce typu B bez systemu planetarnego. Zderzenie z asteroidą nie zagrażało bezpośrednio zamieszkanym światom, raczej obiekt mógł spłonąć w ogniu słońca. Ale przecież na długo przed kolizją nastąpi rozmrożenie. A wtedy... Jakie potwory wypłyną z głębin przebudzonego oceanu?

Nikt nie zamierzał siedzieć i czekać z założonymi rękami, tym bardziej że stało się jasne: zagadkowe ciemne przedmioty wtopione w lód promieniują niezwykle intensywną energią strachu.

Decyzja została podjęta niemal natychmiast: niezbędny jest rekonesans, pobranie próbek, częściowe odmrożenie lodowego pancerza, być może - wiercenia, a w razie odebrania jakichś przekazów - próba kontaktu. Ostatnie zadanie wysunął, oczywiście, Jason, który najsurowiej zabronił Pyrrusanom strzelania bez jego rozkazu i kiedy nie ma bezpośredniego zagrożenia ludzkiego życia. Niezbyt wierzył, że zdołają wykonać jego polecenia, i dlatego, mimo ponownego bólu głowy, zamierzał osobiście udać się na asteroidę. Jednakże Kerk przekonał go, że najbardziej potrzebny jest w sterówce.

- Przyjacielu, twoje odruchy bojowe są mimo wszystko wolniejsze od naszych. Na dodatek jesteś potrzebny w roli koordynatora. Obawiam się, że tam, w ekstremalnych warunkach, będziesz tylko przeszkadzał.

Jak na Kerka była to długa perora, zwłaszcza w takiej chwili. Jason ustąpił, ale natychmiast zaproponował, że wyśle z nimi robota - dublera Dublety imitacyjne, potocznie nazywane "imitami", były stosunkowo nowymi i bardzo drogimi wynalazkami. Sterowały nimi bezpośrednio impulsy nerwowe mózgu człowieka, a na dodatek miały specjalny kontur sprzężenia zwrotnego, to znaczy, że za pomocą ich retorów badacz miał możliwość analizowania dowolnego przedmiotu wszystkimi pięcioma zmysłami. Niebezpieczne oddziaływania były, oczywiście, blokowane.

Drużyna Pyrrusan, licząca pięć osób, narzekała trochę, ale bez przekonania - Kerk sam zaznaczył rolę koordynatora - tak więc, wliczając unita, kuter dostarczył na planetę sześciu

A jeśli cały Obiekt 001 jest naszpikowany antymaterią jak pieczona gęś jabłkami? Tu nie ma żartów! Trajektoria lotu asteroidy jest nieprzewidywalna. "Czarne" promieniowanie, nie ulega wątpliwości, jest zagrożeniem dla psychiki, a lodowa skorupa stopnieje szybko. Nawet uczeń zrozumie, że zderzenie takiego obiektu z zasiedloną planetą grozi śmiercią milionom ludzi. Pyrrusanie, raz podjąwszy się zadania, nie mogli dopuścić do tragedii, musieli działać natychmiast. Nawet jeśli obiektu nie nafaszerowano antymaterią i tak jest czymś wrogim ludziom.

Owszem, czarny strach można uważać za oddzielną sprawę i niech go badają ci szaleńcy, którzy zawsze gotowi są zaspokoić ciekawość kosztem własnego życia. Ale teraz sytuacja stała się poważna, a zagrożenie wzrosło. Ranny Kerk - to już konkretny przykład działania obcej złej woli. Coś wypowiedziało wojnę Pyrrusanom. A to coś stanowi tylko niezmiernie małą częśćkę szalonego kosmaru, ukrytego pod lodową skorupą.

Pyrrusanie nie mieli cienia wątpliwości, że należy zniszczyć cały obiekt. Energetyczne możliwości "Argo" pozwalały na to, a eksperyment ze zniszczeniem fragmentu zamrożonego świata udał się nad podziw; anihilacja złożonego urządzenia nie wywołała żadnych istotnych komplikacji. Produkty rozpadu nie były trujące, a zakuci w lód "współtowarzysze" nie zareagowali na unicestwienie "porwanego" najmniejszym ruchem, ani jednym elektronowym impulsem. Obojętność reszty tworów spod lodu na potyczkę w ładowni jednoznacznie potwierdzili Sten i Brucco, którzy pozostawali na powierzchni obiektu do chwili wybuchu.

Mimo wszystko Jason polecił im, by wrócili na statek. Oficjalnie na naradę, ale w rzeczywistości czuł utajone niebezpieczeństwo, które zagraża przebywającym na powierzchni asteroidy W końcu pozostawiono tam tylko robota o nieco prymitywniejszej konstrukcji niż imit. Jason wielu rzeczy jeszcze nie rozumiał, ale intuicja podpowiadała mu, że sprawa jest znacznie bardziej skomplikowana, niż to sobie wyobrażają Pyrrusanie. W każdym nowym zagrożeniu usiłowali się dopatrzeć analogii do swojej straszliwej flory i fauny. Tyle tylko, że nowe czarne stwory były, ich zdaniem, nieco bardziej jadowite i uzębione. A fizycy z Uctisa wprost przeciwnie - podchodzili do problemu zbyt mechanicznie, nie widząc cienia życia, a tym bardziej rozumu w zamrożonej bryle. Nawet to, że lot asteroidy nie jest bezwładny, uważali za przypadkowy zbieg wielu naturalnych czynników

Prawda leżała gdzieś pośrodku i należało się do niej za wszelką cenę dostać. Jason był zdecydowanym przeciwnikiem bezmyślnego zniszczenia całego obiektu, bo przecież kryła się w jego wnętrzu obca wiedza. Ale brakowało mu argumentów, by przekonać pozostałych.

Nieoczekiwanie poparł go brat Revereda Berwicka i prezydent jednej z planet Konsorcjum Arthur Berwick. Zanim zrobił karierę polityczną, był jednym z najwybitniejszych chemików na światach Zielonej Gałęzi. Teraz szybciej niż inni zrozumiał, jak wielkim odkryciem dla ludzkości jest hiperlód. Jego produkcja w tym Wszechświecie wydawała się co prawda niemożliwa, ale gdyby się udała? Zastosowanie mogło być tak szerokie, że wartość jednej tony Arthur szacował na co najmniej milion kredytów. Oczywiście taka argumentacja wydawała się Pyrrusanom jeszcze mniej poważna niż dążenie

zbitki słów, potem poszczególne słowa i wreszcie poszczególne głoski. Jason nie wytrzymał i ryknął:

- Kim jesteś? Czym jesteś?

Umyślnie sformułował pytanie możliwie krótko, bo nie zamierzał więcej wysłuchiwać lingwistycznych ćwiczeń obcego. Nastąpiła dość długa cisza.

Dotarło, ucieszył się Jason. Zastanawia się nad odpowiedzią.

Jednakże za wcześnie było na radość.

- Kim czym jesteś, czym kim jesteś, jesteś czym kim, czym jesteś kim... - zaczął mamrotać mechaniczny głos.

Jason jęknął z rozpaczy.

Twarz Mety zmieniła się nie do poznania. Nigdy wcześniej nie widział swojej amazonki w takim stanie. Stłamszona, złamana, nieszczęśliwa, nawet nie zaciskała leżącego na dłoni pistoletu. Zwyciężyła logika? Raczej nie. Zwyciężył nieziemski strach, dławiący ją przez cały czas. A co w takim razie pomogło Jasonowi zachować równowagę umysłu? Powinien to wyjaśnić. Wyjaśnić i wykorzystać, by uratować siebie i Metę. Myśli się plątały. Przypomniał sobie ulubiony sposób ich porządkowania. Papierosy! Ku jego radości paczka była w lewej kieszeni na piersi. Ze spojrzenia Mety odczytał, że chce, jak zwykle, obsztorcować go za szkodliwy nałóg, ale nawet na taki drobiazg nie starczyło jej sił.

Jason zapalił i w ciasnej celi zrobiło się jaśniej.

Interesujące złudzenie, pomyślał. Spełnione pragnienia rozświetlają świat.

Jak miło się zaciągnąć dobrym tytoniem po kilku minutach niehumanicznego napięcia. Ile to trwało? - zapytał sam siebie. I czy były to minuty? Może godziny? A może nawet dni? Przecież zupełnie nie pamiętał, jak się tu znalazł. A pytanie o to Mety nie miało w tej chwili żadnego sensu. Pamiętał kajutę, pamiętał wyrwę w ścianie i... koniec. Dalej była już tylko ciemność i cisza. A potem koszmar z Troyem.

Teraz wszystko będzie dobrze, przemknęła głupia, zupełnie nieuzasadniona myśl. Teraz już wszystko się unormowało. Zorientował się nagle, że zmrużywszy oczy, rozkoszując się pierwszym dymkiem, jeszcze ich nie otworzył. Coś mu przeszkadzało. Odruch obronny? Przecież niczego już się nie bał. Nie wolno było otwierać oczu z innego powodu. Ktoś przygotowywał mu niespodziankę jak dziecku pod choinkę i oglądanie jej przed czasem było niedozwolone. A fe, Jasonie, nieuczciwie, nieładnie jest podglądać. Więc nie podglądał, ale już czuł zapach drzewka, pomarańczy i czekoladowych cukierków. Oddychał z przyjemnością, lekko, swobodnie i nawet przez zamknięte powieki widział, że pokój jest już jasno oświetlony.

Teraz, powiedział sobie i gwałtownie otworzył oczy.

Patrzyła na niego Meta, uśmiechając się z zakłopotaniem.

- Jak ci się udało z nim dogadać?

Jason przerwał mu:

- Nie radzę pokpiwać z naszych możliwości umysłowych. Szczególnie zaś nie radzę mówić niczego, co mogłoby zdenerwować moją damę. Jeśli ma pan zamiar prowadzić normalną rozmowę.

- Już rozumiem - uśmiechnął się Solvitz. - Chodźmy. Ciężenie miało tutaj wyraźnie sztuczne pochodzenie i nie było wyższe niż $1/2G$. Jason odnotował to już przy poprzedniej wizycie na górze, ale wtedy nie zwracał uwagi na takie drobiazgi. A teraz, po straszliwym napięciu tam, w powietrzu, zadziwiająco przyjemnie było poruszać się lekkim, prawie fruującym krokiem.

Doszli do najbliższego olbrzymiego kołpaka, który poprzednim razem Jason uznał za radioteleskop czy coś podobnego. Otworzyli drzwi i znaleźli się w wąskim korytarzyku, zakończonym drzwiami i windą. Zamiłowanie Solvitz do wszelkiego rodzaju labiryntów zaczynało już nużyć jego gości, jednakże Jason cierpliwie milczał. Wkrótce zapomniał o rozdrażnieniu, ponieważ końcowym przystankiem podróży okazał się mały, przytulny barek na jakieś dwadzieścia miejsc. Klientów nie było widać, a za Ladą sterczała jedna postać. Może kolejny android.

Solvitz gościnnie odsunął krzesła, cała trójka usiadła. Postać wyszła zza kontuaru i podeszła do nich. Rzeczywiście - android z nieruchomą twarzą, manekina. Doktor Solvitz zaczął z nim konwersację po francusku. Czy liczył na to, że Jason nie zrozumie? Jakie tajemnice może zawierać zamówienie w barze? Raczej nie zamierzali ich tu otruć. Solvitz zamówił kupę frykasów, markowe wino i koniak.

- Czy mogę prosić o whisky? - dość bezceremonialnie zapytał Jason również po francusku.

Solvitz zerknął na niego z szacunkiem i skorygował zamówienie. Dostawa nastąpiła niemal natychmiast, a potrawy ,wyglądały znakomicie i na pewno były świeżo przygotowane.

Nie obchodzą mnie sekrety miejscowych kucharzy, pomyślał Jason. Tym bardziej że jestem głodny.

Bez pośpiechu skosztował whisky, jednego ze starszych ziemskich gatunków, "Cutty Sark". Nie było uroczystych toastów, po prostu za znajomość, i dopiero po ostrygach z oceanu planety Grublani i po małej rozetce przepysznie pachnącej kastikusjańskiej sałaty przystąpili do poważnej rozmowy.

- Przede wszystkim - oświadczył doktor Solvitz - przestańcie działać w pośpiechu, przestańcie gapić się na zegarki i odliczać godziny do śmierci. Będziecie żyli tyle, ile zechcecie. Na mojej planecie czas płynie inaczej niż poza jej granicami. Powiem nawet więcej: mogę regulować tempo przebiegających tu procesów

- Przede wszystkim - surowo odezwała się Meta, niespecjalnie uważnie słuchając gościnnego gospodarza - chciałabym wiedzieć, czy jest pan człowiekiem, czy znowu mamy do czynienia z androidem?

głównej. Mamy męską rozmowę do przeprowadzenia, Jasonie diAlt! Czy nie może mi pan oszczędzić takich wygłupów?

Jason w porę zdążył złapać Metę za rękę, na szczęście nie sięgnęła po pistolet, tylko po nóż z zastawy.

- Uprzedzałem pana! Jeśli pan nie będzie z szacunkiem odnosił się do mojej damy, konsekwencje mogą być poważne! A wywoływanie Mety są, nawiasem mówiąc, bardzo logiczne. Proszę się wytłumaczyć. Nie ma co się histerycznie obrażać!

- I w pierwszej kolejności może spróbuje pan jednak wyjaśnić, po co pan zabił Troya - nastawała Meta, z trudem powstrzymując emocje.

- O Boże! Chyba to wyjaśniałem. Czyż nie?

Solvitz wyraźnie grał na zwłokę. Jason, udając, że tego nie zauważa, postanowił zaskoczyć go nieoczekiwanym pytaniem: - Dlaczego tak często wspomina pan Boga? To mi przypomina pewną historię, kiedy zbyt długo pozostawałem w kontakcie z pewnym kaznodzieją o imieniu Mikah Samon. Czy pan również jest wierzący?

Efekt przeszedł jego oczekiwania. Solvitz roześmiał się serdecznie.

- Ja wierzący? Tak, wierzę w Boga! Wierzę w to, że Bóg to ja. Przecież sam stworzyłem tę planetę, ten świat i stworzę jeszcze wiele innych, jeśli tylko nikt mi nie będzie przeszkadzał. Tak, Jasonie diAlt, Bóg to ja. Nie trzeba nawet we mnie wierzyć, po prostu można mieć ze mną do czynienia.

- Przypuśćmy - ugodowo powiedział Jason. - Ale, mimo wszystko, po co zabił pan Troya?

- Nie po co, a dlaczego. Wyreparowała go na górze moja ochrona. Oni... oni nie zawsze podporządkowują się woli pana. W starożytności używano w więzieniach olbrzymich psów do pilnowania więźniów, szkolono je do tego i do zabijania. Domowe zwierzęta stawały się tak groźne, że musiano je trzymać w klatkach jak dzikie zwierzęta. Psy łańcuchowe zaczynały rzucać się na wszystkich, nawet na swoich właścicieli... Takie to sprawy. A wasz przyjaciel Troy wykazał się przesadną agresywnością. Tam, na górze, nie wolno tak się zachowywać. To pewna śmierć. Usiłowałem przejąć kontrolę nad sytuacją, a wy omal wszystkiego nie zepsuliście. Na szczęście Troy żyje i wkrótce się z nim spotkacie.

- Kłamie pan - nie wytrzymała Meta, ponownie ruszając na Solvitza. - Człowiek nie może przeżyć czegoś takiego.

- Niemal ma pani rację. Trzeba tylko zdefiniować, co każdy z nas ma na myśli, mówiąc "człowiek".

- Czyżby nie było to jasne? - zdziwił się Jason.

- Widzi pan, jak dziwnie toczy się ta rozmowa. Przeskakujemy z tematu na temat, a w rezultacie niewiele da się zrozumieć. Po prostu z oślim uporem nie chcecie wysłuchać wszystkiego po kolei.

czujnika. - Wszystko będzie dobrze.

Start.

Odczucie było ciekawe. Najpierw ciepła różowawa mgła i komfortowa, rytmiczna muzyka, fale ciepła otaczające ciało, potem przyjemny kobiecy głos, wielokrotnie powtarzający punkty katalogu generalnego i ta sama informacja wyświetlana na ekranie w esperanto. Jason z ciekawości polecił przetłumaczenie tekstu na włoski (wspomnienia młodości!) i przekład został wykonany w mgnieniu oka. W końcu nie wiadomo dlaczego wybrał do czytania duński i zaczął studiować tekst, otwierając katalogi i pliki ruchami powiek. Informacje podawane były w zadziwiająco skondensowanej i wygodnej do przyswojenia postaci. W pewnej chwili Jason uświadomił sobie, że nie może zidentyfikować języka wykładu. Widocznie informacje zaczęły być podawane już na poziomie podświadomości, z pominięciem systemu znaków. Było to zabawne, ale wynurzył się z powrotem do świata konkretnych symboli i terminów.

Szybko przyswoił sobie zasady wchłaniania wiedzy w bibliotece Solvitza i w ciągu kilku minut (tak mu się wydawało) poznał historię powstania i ogólną budowę największej w Galaktyce sztucznej asteroidy. Na początek to było najważniejsze. Stary Teddy nie ukrywał ani nie zamykał przed nimi dróg wyjścia w otwartą przestrzeń kosmiczną i powody awarii głównej śluzu próżniowej nie były już dla Jasona tajemnicą. Czarne potwory uszkodziły automatykę sterującą. W końcu wyjaśniło się również zarówno miejsce pobytu, jak i zasada działania rezerwowego urządzenia służącego do wyjścia w przestrzeń. I co? Czy uratowanie życia stało się tylko kwestią techniczną? Ależ nie! Jeśli uznać Solvitza za przyjaciela, wychodził na pełnego idiotę, kompletnie stetryczałego starucha. Sam mógł przejrzeć te pliki i znaleźć najprostszą drogę na powierzchnię.

Ale jeśli Solvitz jest wrogiem, dostęp do tego typu wiadomości może świadczyć tylko o jednym: że zastosował standardowy bandycki chwyt, chwyt kata, całkowitą szczerłość przed egzekucją. Wyrafinowana tortura, ostatnia możliwość zakpienia: chciałeś poznać tajemnicę, proszę bardzo. I tak już ci się na nic nie przyda...

Ta myśl zelektryzowała Jasona. Rzucił do mikrofonu "stop" i szarpnął lewy przełącznik do siebie. Nikt i nic mu nie przeszkodziło. Dziwne. Znowu był w przytulnej kajucie przypominającej lata studiów na Scoglio, obok siedziała Meta. Wygodnie rozparta w fotelu, wydawała się spać z ufnym uśmiechem na ustach. Ale po chwili coś, może telepatyczny sygnał od Jasona, zmusił ją do powrotu w świat realny, identycznym sposobem: mikrofon, przełącznik, słuchawki na stół. Nawet nie trzeba było odłączać elektrod z igłami.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Chyba tak - niezdecydowanie odpowiedział Jason.

- Ciekawe? - zadała kolejne pytanie, wskazując brodą ekran za szybą.

- Jeszcze jak!

- No to uczmy się dalej !

Nieoczekiwany entuzjazm Mety był zaraźliwy. Już miał się ponownie pogрузić w informacyjny śnie, gdy dotknęła jego ręki:

- Poczekaj. Jeśli sądzisz, że ucieczka stąd nie sprawi trudności, poczytaj uważniej aneksu do instrukcji numer trzydzieści dziewięć, rozdział piąty ogólnej instrukcji technicznej.

- Trzydzieści dziewięć? - zapytał oszołomiony Jason. - Ja dotarłem dopiero do trzydziestej siódmej.

- Bardzo niedobrze - pokręciła głową Meta. - A jeszcze są uzupełnienia.

Ponownie zanurzył się w strumieniu informacji. Bardzo szybko zrozumiał, że przed nim wszystkie te etapy przemierzał Solvitz, szukając dróg wyjścia z niekończącej się wojny z własną złością i podłością. Ale nie było drogi na skróty, musiał konsekwentnie przejść przez wszystkie stadia zrozumienia sytuacji. Jason wdrapywał się po nich niczym alpinista po pionowej ścianie, a szło się nie tyle trudniej, ale wolniej z każdym krokiem... Zaczął odczuwać fizyczne zmęczenie. Zrobić przerwę? Wyjść na wolność? Odpocząć? O nie! Wtedy już nie włączy się do poszukiwań z takim entuzjazmem. A może nawet zgubić przewodnią.

A nic ta prowadziła go po bardzo skomplikowanej trajektorii, chwilami wręcz płacząc się w węzły.

Aby zbliżyć się do najważniejszej zagadki, Jason musiał włączyć w gąszcz teoretycznej gerontologii i w najtajniejsze zakątki starej ni to nauki, ni to magii, zwanej psychologią. Nie obeszło się bez szczegółowego zbadania wielu biochemicznych procesów i prawnych podstaw hipotetycznej cywilizacji androidów. Jason zanurkował również w swą ulubioną historię ludzkości planety Ziemia - w końcu doktor Solvitz był wytworem ziemskiej kultury. Nie chciało mu się wynurzać z powrotem! Jakże ciekawa była podróż po starych epokach! Czując, że Ta bardzo się angażuje, Jason zatrzymywał się i zapisywał interesujące go wiadomości, zgodnie z zaleceniem Solvitz, na fizycznych nośnikach, żeby przejrzeć je później. Przecież pamięć ma swoje granice. Ale i tak kusiło go, by już teraz zająć się wszystkim, nie odkładać nic na później! W tym czasie zagadkowy algorytm poszukiwania prowadził dalej i dalej, przez fizykę i politykę, estetykę i lingwistykę, astronawigację i ekstrasensorykę - do ratowania własnego życia, do zamieszkanego światów, porozrzucanych w przestrzeni, do wolności. Ale czy ta droga nie była z definicji nieskończona? Czy nie była znakomicie zaprogramowanym modelem rzeczywistej drogi rozwoju galaktycznej cywilizacji? A jeśli tak, to co robić? Zrozumieć wszystko? Przeanalizować?

O najwyższe gwiazdy! Przegrał ze sklerozą czy jak? Przecież jest jeszcze prawy przełącznik - kondensacja czasu. Na wszelki wypadek. Jason, wykorzystując całe swoje telepatyczne zdolności, nie wychodząc z hipnotyczno - informacyjnego transu, popatrzył na Metę. Ciągle na stanowisku. Siedziała ze słuchawkami na uszach, w ulubionej pozycji - z rękami zarzuconymi za głowę i zamkniętymi oczami, a prawy przełącznik na jej panelu był już przesunięty Włączony! ! Noto najwyższy czas. Ten ostatni szturm dedykuje swojej ukochanej. Wyrwą się stąd. Na pewno się wyrwą, jeśli tylko wszędzie będą razem.

Pstryk! I znowu różowa mgła. A potem dziwne odczucie. Mózg rozwiązuje

postawione zadanie, a ciało istnieje zupełnie niezależnie. Ciało przemierza korytarz wysłany miękkim bordowym dywanem. Cicha muzyka sączy się z bocznych drzwi, a przed nim słychać niejasny, miarowy, narastający hałas. Bardzo znajomy odgłos: ściszony, równy, miarowy hałas wielu głosów, szelest, postukiwanie, ciche dzwoneczki i co jakiś czas głośniejsze: "Półtora miliona na czarne! ", "Sto pięćdziesiąt na zero!", "Wszystkie stawki podwajamy!" To głos krupiera. Znajomy, wręcz boleśnie znajomy! A może wszyscy krupierzy mają identyczne głosy? Na jakim globie ostatni raz grał w ruletkę? Kości lepiej poddają się myślowym przekazom i nakazom... Chociaż zdarzało się, że i ciężkie koło udawało mu się zatrzymać tam, gdzie chciał.

Jason pochodzi coraz bliżej do zaklętych drzwi, już wyczuwa zapachy: drogic perfumy, ciężkie przykurzone portiere, dobry tytoń, tradycyjny lakier do parkietów i subtelny, nie do opisanego aromat pieniędzy.

Wchodzi do sali i wszystkie spojrzenia kierują się na niego. Westchnienie zachwytu i radosnego przecucia niebywałego show przepływa przez tłum doświadczonych graczy, bogatych kretynów i wypindranych damulek.

Jason podchodzi do stołu i rzuca na zielone sukno paczkę mieniających się perłowo galaktycznych kredytów. Krupier z trzaskiem rozdziera opakowanie nowych kości. Kelner podbiega z tacą pełną kielichów i kieliszków. W gardle mu zaschło, głowa aż pęka z bólu, straszliwie chce się pić, ale wie: przed grą nie wolno pić niczego mocniejszego. Telekineza to kapryśna sprawa. Trochę się kiwniesz na boki i pudło. Wybiera cienki kielich wypełniony aldebarańskim winem ze złotym kruszywem (ma tylko dziewiętnaście procent alkoholu) i upija kilka łyków Dobra. Zaczynamy.

Chyba w ogóle nie patrzy na to, co wypada dla niego, a co dla jego rywali. Zapamiętuje tylko jedno - stale wygrywa. Góra srebrzyście szmaragdowych fiszek zajmuje już połowę stołu. To się musi źle skończyć, skądś to wie. Prawa gier hazardowych są identyczne wszędzie i zawsze. Nie sztuka wygrać, sztuka utrzymać wygraną...

Nieoczekiwanie pojawia się nowy gracz, który wyrównuje stawki. Kto to jest? Szlachetna, rasowa twarz przypomina mu kogoś. Ale mimo ogromnego wysiłku Jason nie potrafi sobie przypomnieć imienia gościa. Nagle zaczyna mu się wydawać, że sprawą pierwszej wagi jest czas. Która to godzina? Chce ukradkiem zerknąć na zegarek i widzi, że nie ma go na ręku! Jak to? Ktoś go ukradł?! A może zapomniał, gdzie i kiedy zdjął i zostawił ulubiony uniwersalny przyrząd z całą furą wymiennych cyferblatów na wszystkie okazje życia?

Skonsternowany Jason rozgląda się dokoła w poszukiwaniu zegarka i nagle zaczyna się sam sobie dziwić. Zawsze i na każdym ze światów uważało się, że w kasynie nie wypada się przejmować czasem. Tu nie ma i nie może być zegarów na ścianach ani na stołach: Nie nosi się nawet kieszonkowych zegarków, wyjmowanych, żeby się pochwalić. Stali gracze wiedzą o tym. To są w końcu stali gracze! Dlatego ubierają się tak wspaniale, pompatycznie, dziwnie, jak nawet do teatru nie każdy się ubierze, chyba że na audiencję u króla. Idąc do kasyna, gracze przestrzegają rytuału ustalonego w ciągu tysięcy lat.

Och, jak dobry zanurzyć się ponownie w tej bajkowej scenerii! Poczucie się najlepszym z najlepszych. Poczucie upojenia zwycięstwem. Wygrać prawdziwą forszę. A czas... Co tam czas! Po co mu zegarek? Po wyjściu stąd kupi sobie nowy, Najdroższy!

Po wyjściu... powtarza Jason i znowu wyczuwa słabe ukłucie niepokoju rodzącego się w głębi duszy. W następnej sekundzie przypomina sobie, jak się nazywa jego nowy rywal. Theodor Solvitz. Doktor Theodor Solvitz.

- Pana stawka, Teddy? - niedbałym tonem rzuca Jason.

- Planeta Solvitz.

- Ale ja nie potrzebuję pańskiej planety. Wezmę pieniądze. Proszę określić stawkę, Teddy!

- Pan mnie nie zrozumiał. Doskonale wiem, że pan nie potrzebuje mojego globu, chce go opuścić, marzy, żeby się stąd wyrwać. Stawką jest pańska wolność.

- Ciekawe! - uśmiechnął się Jason. - A pan niczym nie ryzykuje?

- Ryzykuję, że was stracę. To więcej niż planeta. Zaczynamy?

Jason nie odpowiedział. Milczenie jest zgodą? Może. Ale naprawdę wyrazi zgodę dopiero w chwili, kiedy rzuci kości.

Och, ile trudu kosztowało go otwarcie dłoni! Czy kiedykolwiek wcześniej było mu tak trudno wykonać zwyczajny gest, rozewrzeć zaciśniętą dłoń? Kiedy? Nie mógł sobie przypomnieć. A przecież coś takiego już przeżywał w odległej przeszłości. Ta chwila została zapomniana, ale to było ważne, bardzo ważne... Musi to sobie przypomnieć! Teraz, teraz... O! Jason niemal chwycił za ogonek wymykające się wspomnienie.

Ale w tym momencie nieznamy, gorący, namiętny kobiecy szept wsączył mu się w ucho:

- Powinieneś zagrać, powinieneś już zacząć grać!

Jason się odwrócił. Obok, niemal ocierając się o niego, pachnąc najdroższymi perfumami, stała piękna kobieta. Prawdziwa bogini, łącząca w sobie wszystkie cechy wojowniczej amazonki i kruchej leśnej czarodziejki.

- Dla mnie - westchnęła bogini z bezpośredniością i delikatnością uczennicy.

Potrafiła być jednocześnie rozwiązła i czuła.

I kości uderzyły o blat stołu. Gra się rozpoczęła.

To było szaleństwo, nie gra. Z tak zmiennym szczęściem, że każdy z rywali znajdował się kilkakrotnie na granicy całkowitej przegranej, by po chwili wlatywać na skrzydłach fortuny pod niebiosa. I nie widać było końca tej zabawy. Jason zaczął pić.

Już nie tylko aldebarańskie. Wiedział, że bez alkoholu nie wytrzyma do rana. I kolejny łyk czasem przynosił mu pecha, a czasem wydawało mu się, że Theodor również włada telekinezą. Ciskali kości do siebie, pot lał się strumieniami i nikt już nie miał pojęcia, komu

sądzone jest wygrać.

Ślicznotka stojąca obok Jasona pomagała mu. Na pewno tak. Za każdym razem, kiedy siły go opuszczały, bogini obejmowała Jasona szczupłymi, drżącymi rękami i szybko, namiętnie całowała go w usta albo przywierała brzuchem. I za każdym razem Jason jakby przejmował od niej dawkę niezbędnej energii. I wygrywał, wygrywał! To było piękne! To była najpiękniejsza rzecz na świecie!

Tymczasem pieszczoty zagadkowej bogini stawały się coraz bardziej gorące, coraz bardziej namiętne. Kątem oka Jason widział, że i odzieży zostało na niej niewiele. Dziewczyna pojękiwała, prężyła się, oddychała z trudem i lgnęła do Jasona. Coś wisiało w powietrzu, ponieważ Solvitz przegrywał bez przerwy, a jemu sprzyjała fortuna... Aż nagle kości układały się nie tak, jak chciał Jason, publika wzdychała i wszystko zaczynało się od nowa...

Ile razy to się powtarzało? Ile czasu trwało? Jason nie miał zegarka. Wiedział tylko, że hazardowo - seksualny orgazm musi kiedyś nastąpić. Ale wiedział też co innego: niby zdązał do mety, ale już nie chciał do niej dotrzeć. Wygrana, opuszczenie planety Solvitz, wszystko to przestało mieć dla niego znaczenie. Jedynym celem stała się gra. Sam proces gry - oto najwyższa rozkosz. "Trwaj chwilo, jesteś piękna!", "Cel jest niczym, ruch wszystkim!", "Szczęście to pogoń za szczęściem!" Stara klasyka myśli filozoficznej. I jeszcze to: "Nie da się wejść dwa razy do tej samej rzeki". Nie ma powrotu do przeszłości. Nie cofaj się, Jasonie, idź naprzód.

I Jason grał, grał, grał, usiłując chwycić za rękaw umykające przeczucie: oto zaraz, zaraz coś się na pewno stanie...

Stało się.

Z głębi sali nadeszła Meta. Z dwoma oksydowanymi lufami, patrzącymi do góry, nieco ponad jego głową i nieco w bok. Sztywni panowie odskakiwali jak zajęce, wysztafirowane damy rozbiegały się z wdziękiem rozgdakanych kur.

- Przecież cię ostrzegałam, Jasonie, że nie popuszczę żadnej kobiecie przy twym boku.

Pierwszy strzał dosięgnął ślicznotki. Jej głowa rozbryznęła się zieloną galaretą. Wtedy panika doszła do szczytu.

Meta wyciągnęła skądś trzeci pistolet, podała Jasonowi i szybko wyszeptała:

- Wycofujemy się.

Wycofywali się, ostrzeliwali, rzucali granaty, zostawiając po sobie dymiące szczątki stołów i rozplywający się po podłodze kisiel z rozwalonych androidzich głów.

- Meto! Nic nie rozumiem. Przecież to mój osobisty świat wyobrażeń! Jak zdołałaś się do niego przebić?

- A jakie to ma znaczenie? Nie taki to znowu świat wyobrażeń, nawiasem mówiąc. Najważniejszy jest teraz pośpiech, bo odkryłam wyjście. Ale ono działa tylko przez jakiś

czas. Jeśli nie zdążymy, zamknie się. A ty filozofujesz! Szuler jeden!

- Nie rozumiem - mamrotał Jason, niemal wleczony przez Metę po tak ulubionych przez Solvitza przejściach, windach i schodach. - Przecież siedzimy w kabinie łączności, to znaczy w bibliotece i grzebiemy w informacjach z archiwum Solvitza? Tak czy nie?

- Tak.

- No więc ja idę swoją drogą, ty swoją. I lecimy z trzydziestokrotnym przyspieszeniem przez czas...

- Dobrze, że wspomniałeś o przeciążeniu - zauważyła zaczerwieniona, ale dzięki temu jeszcze bardziej czarująca Pyrrusanka. - Przygotuj się. Zaraz nastąpi zmiana skali.

Chronoprzeskok zwałił się na Jasona w postaci znanych już niemiłych odczuć i ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, była na poły żartobliwa, na poły złośliwa wypowiedź Mety:

- Co za głąby z tych mężczyzn! Zapętlili się: nie rozumiem i nie rozumiem! Czego tu nie rozumieć! Jeśli naprawdę kochasz, znajdziesz kochanego człowieka wszędzie - czy to w piekle, czy w wirtualnej rzeczywistości...

- Koniec! - rzucił Kerk wpadając do dyspozytorni. - Natychmiast zawracam okręt w stronę Pyrrusa. Otrzymałem alarmujące wezwanie od Naxy. Całe to podstępne plugastwo tylko czekało, byśmy opuścili planetę z naszymi najlepszymi ludźmi i najlepszym wyposażeniem. Tam się zaczęła prawdziwa rzeź. Zrywam kontrakt, a my wracamy na Pyrrusa.

Revered Berwick patrzył na niego i czekał na dalszy ciąg.

- Słyszysz, Berwick? Zrywam kontrakt! - wrzasnął jeszcze głośniejsze Kerk. - Kiedyś, gdy zachciało nam się nowych ziem, ledwo nie przegraliśmy wszystkiego. Dzisiaj, pomagając światom Zielonej Gałęzi, nie chcę jednocześnie stracić ojczyzniego globu. Dość! Jestem za stary na takie gierki: nieśmiertelność, tajne zgromadzenia, ratunek ludzkości... Odlatujemy, panie Berwick.

Reprezentant Korpusu Specjalnego i Stowarzyszenia Gwarantów Stabilności cierpliwie milczał i tylko ze smutkiem patrzył na szalejącego siwowłosego olbrzyma.

- I tak nie jesteście wam potrzebni! - krzyczał Kerk. - Wasze sprytnie plany są dla Pyrrusan zbyt skomplikowane. Nie zamierzacie wykorzystać siły bojowej "Argo", a strzelać do stworów spod lodu mogą nawet lekkie niszczyciele floty Konsorcjum. Planetarne bomby są już zamontowane. Zapalniki zostawię panu w prezencie albo za zaliczkę, jeśli jeszcze nie została spłacona.

- Już dawno została spłacona - cicho powiedział Rhes.

- Tym bardziej! - nieco spokojniej rzucił Kerk. - Nie mam teraz czasu zajmować się obliczeniami.

- A co z naszymi przyjaciółmi, którzy tam zaginęli? - cicho zapytał Rhes.

- Jason? Ten się wykręci i bez nas. Zbyt dobrze go znam. A Meta i Troy... Do licha,

przecież pewnie od dawna już nie żyją. Pyrrusanie potrafią przyjąć śmierć z godnością, a Meta pierwsza kazałaby mi lecieć do domu, a nie wyciągać jej nie wiadomo skąd. Tym bardziej Troy. Czyżbyś tego nie rozumiał?

- Nie rozumiem - przyznał Rhes. - I nigdy nie zrozumie.

Kerk rzucił mu gniewne spojrzenie, jakby sobie nagle przypomniał, że ma do czynienia ze zwyczajnym karczownikiem, i oświadczył:

- Z regulaminem Gwarantów Stabilności nikt mnie jeszcze nie zapoznał, nie składałem również przysięgi na wierność Korpusowi Specjalnemu. Podpisywałem tylko międzygwiazdną umowę uczestników Ligi Światów i ten kontrakt z panem Berwickiem. Od pierwszego się nie odcinam, a drugie zrywam. Koniec! A dowodzę tu na razie ja.

- Rzeczywiście, pan ma władzę i może skierować statek w dowolnym kierunku - odezwał się wreszcie Revered Berwick. - Dowództwo "Argo" podporządkuje się panu i tylko panu. Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego otrzymawszy komunikat od Naxy nie poszedł pan na mostek kapitański do Dorfa, a wrócił do dyspozytorni?

Zaskoczony Kerk zamarł i jakoś tak oklapł. Jakby nagle zrozumiał coś ważnego o sobie i o całej sytuacji. Rhes odezwał się pierwszy:

- Masz rację, Kerk, pomilcz chwilę. Wyjaśnię ci, dlaczego przyszedłeś do nas. Wcale nie jesteś pewien, że zamierzasz postąpić właściwie. Dobrze pamiętasz. Kilka lat temu rzuciliście się wszyscy z Felicity na ratunek Pyrrusowi. Ja byłem wtedy na nizinach z armią Ammha. Nawet nie zdążyliście nawiązać ze mną łączności. A ja i wtedy powiedziałbym wam, że nie ma sensu tam lecieć. Spóźniliście się i tego można było oczekiwać. Miasto zniknęło z powierzchni ziemi. Naxa i jego ludzie stali się jedyнными władcami globu. Zgódź się, że tylko dzięki "mówcom" udało się nam zachować kopalnię, a potem zacząć odradzanie Pyrrusa.

Kerk milczał, ale się nie zgadzał. Owszem, Naxa i wszyscy mieszkańcy osiedla w dżungli uratowali sprzęt górniczy, ale kopalnię zapieczętowali: po co komuś metale ciężkie, skoro właściwie nie ma łączności ze światem zewnętrznym? A prawdziwe odrodzenie Pyrrus zawdzięcza jemu, Mecie, cudem ocalałemu Brucco i nowemu pokoleniu herosów - Glifowi, Stanowi, Tece, Gryfowi... No i oczywiście Jasonowi. Bez jego pieniędzy, bez jego finansowego geniuszu czyż dałoby się zbudować taki kosmoport? Kto jeszcze wpadłby na pomysł przekształcenia leśnej farmerskiej osady w najnowsze Otwarte Miasto?

Ale Kerk nie powiedział tego Rhesowi. Karczownik to karczownik, nic się na to nie poradzi. I tak będzie do końca swoich dni Przyjaźnić się z wrogą przyrodą, póki ta go nie pożre. A wiadomo przyroda Pyrrusa zje nieśmiertelnego i nawet się nie skrzywi!

- Jak długo jeszcze masz zamiar walczyć z Planetą Śmierci? - zapytał Rhes. - Zwycięstwa jakoś nie widać.

- Będziemy walczyli tak długo, jak będzie trzeba - twardo odpowiedział Kerk, z całych sił powstrzymując się od wymachiwania bronią. - Zwycięstwo na pewno będzie nasze. A na

razie połącz się jeszcze raz z Naxą - rzucił, nie zmieniając tonu.

Berwick odetchnął z ulgą. Pewność siebie Kerka została zachwiana. Teraz powstała szansa na przekonanie go, a to może znaczyć, że "Argo" nie poleci na Pyrrusa przed czasem.

Póki oczekiwano na połączenie z Naxą, należało umocnić osiągnięty przez Rhesa sukces. Berwick szybko zrozumiał, o czym trzeba mówić. Miał niewielkie, kilkudniowe zaledwie doświadczenie w stosunkach z Pyrrusanami. Rhes się nie liczył, ale członek Rady Konsorcjum oraz współpracownik wielu tajnych i supertajnych instytucji był bardzo doświadczonym negocjatorem. Bezwiednie wykorzystał do przekonania Kerka tę samą metodę, co Jason dinAlt, który znał Pyrrusa jak tyse konie.

- Nie jestem uczonym - powiedział Berwick - ale sędzę, że przyczyna kolejnego zaostżenia sytuacji na Pyrrusie kryje się w tutejszych wydarzeniach. Czy można uważać za przypadek wasz atak na asteroidę Solvitzą i atak pyrrusańskich organizmów na Kosmoport Welfa? Telepatyczny kontakt potworów stąd i stamtąd jest widoczny jak cholera!

To był całkowity blef. Zrozpaczony Berwick właśnie przed sekundą wpadł na taki pomysł, ale trafienie było stuprocentowe. W oczach Kerka zapłonął wściekły blask.

Wtedy Berwick dobił go ostatnim argumentem:

- Oczywiście, na ojczystym globie łatwiej jest walczyć z wrogami. W domu, jak to się mówi, ściany pomagają. A bezpośrednia walka z kwintesencją zła przekracza możliwości nawet potężnego Kerka. Dlatego uciekacie...

Nie mając doświadczenia, z lekka przesadził w prowokowaniu. Rhes ledwie zdołał odtrącić rękę Kerka z pistoletem i pocisk, świsnąwszy Reveredowi Berwickowi koło ucha, rozwalił na drobne kawałeczki stary ziemski globus z mapą gwieźdnego nieba. Do powtórki zamachu nie doszło tylko dlatego, że w głośnikach rozległ się głos Naxy:

- Atak ustał. Możliwe, że tylko na jakiś czas. W gruncie rzeczy miasto ocalało. Kosmoport nadaje się do odtworzenia, ale aktualnie może przyjmować tylko lekkie międzyplanetarne czółna i uniwersalne kutry. Kerku, będziemy radzi z waszego przybycia, ale nie widzę konieczności powrotu w trybie nadzwyczajnym. Chciałbym porozmawiać z Brucco o pewnych nowych gatunkach zwierząt. Ale lepiej połączę się z wami później. Pamiętasz, jak ostatnio reagowały nasze stwory na mocne elektromagnetyczne fale i promieniowanie psi... łączność... pół godziny... jednak się pośpieszcie... na bieżąco...

Po tych słowach zakłócenia ostatecznie zjadły sygnał i Kerk zrozumiał, że przyczyną był kolejny atak nowych pyrrusańskich organizmów.

- Idę - powiedział niezdecydowanie.

- Dokąd? - zainteresował się Berwick.

- No, Clif meldowało gotowości. Startujemy za minutę. Osobiście rozwalę te stwory tu, a potem tam, na Pyrrusie!

- Życzę powodzenia - szepnął Revered Berwick. Był jeszcze trochę oszołomiony

W ciągu wielu tysięcy lat jego życie po raz pierwszy znalazło się w tak realnym niebezpieczeństwie.

- Stan zdrowia Stana i Archiego jest co najmniej znakomity - zameldował Teca wodzowi Pyrrusan, stojąc w służbie startowej obok wyekwipowanych w stu procentach komandosów

- Gotowość numer jeden wszystkich systemów - meldował Clif. - W razie czego będziemy was osłaniać.

Kerk również wbił się w skafander. Zamykając hełm, myślał tylko o jednym: czy dobrze zrobili. Zmienił miejsce ataku, bo Stan, dosłownie na kilka minut przed początkiem operacji, odkrył słabe promieniowanie o charakterystyce psi w rejonie sztolni wierconych losowo w trakcie badań nad strukturą powłoki. Nie udało się zidentyfikować sygnału, ale raczej nie był to automatyczny psi - nadajnik. Wydawało się, że byli tam ludzie. Nieważne jacy. Ludzie - to już dobrze. To nie czarno - zielone monstra! Przyrzędy Pyrrusan w zasadzie pozwalały wychwytywać emocjonalne eksplozje nawet przez wielometrowe metalowe pancerze. Z dużym prawdopodobieństwem łącznościowcy określili rozproszone promieniowanie jako emanację niepokoju, innymi słowy - sygnał SOS. Ale czy nie była to jakaś nowa pułapka? - niepokoił się Kerk.

A niech tam! Będzie ciekawiej, powiedział sobie wódz Pyrrusan, odrzucając wszelkie wątpliwości. Dość już tej zabawy w kotka i myszkę. Gdzie szykują na nas zasadzkę, tam będziemy walczyć.

Asteroida przywitała ich złowieszczym milczeniem. Lądowali na skraju lodowego leja z niemal pionowymi brzegami i okrągłym metalowym dnem o średnicy około trzech metrów. Właśnie stąd docierał zagadkowy sygnał, ale w tej chwili nic nie wskazywało, by ktoś chciał się przebić przez powłokę od wewnątrz, żaden cień nie poruszył się w lodowej pokrywie obok zagłębienia. Brakowało też jakiegokolwiek reakcji na zejście całej trójki na dno leja.

- Warstwa stali ma w tym miejscu tylko pół metra - zakomunikował Stan, przyglądając się wynikom pomiarów.

Kerk wywołał "Argo" i zapytał:

- Clif, dobrze nas widzisz? Celownik w porządku?

- Celownik ma dokładność do jednego mikrona, siła ładunku jest zdalnie regulowana. Mogę strzelać do much między waszymi głowami! - z dumą oświadczył młody Pyrrusanin.

- Much na razie nie ma - odezwał się Archie - ale metalowe bryzgi zaraz polecą!

- Zaczynajcie pruć powłokę - polecił Kerk.

Cięcie wykonywane było fachowo, kolistie. Promień wnikał równomiernie w warstwę metalu, a kiedy została tylko cienka warstewka, utrzymująca całą masę, zastosowano pierścieniowe cięcie termiczne - w rowku ułożono wolframowy drut, błyskawicznie i równomiernie nagrzewający się do czterech tysięcy stopni. Wszystkie rodzaje broni, od prymitywnych pistoletów plazmowych i ciekłohelowych armat zostały wycelowane w

- Co z drzwiami, Archie? - zapytał Kerk.

- Wiem, że dwaj Pyrrusanie mogą wysadzić takie drzwi uśmiechnął się Archie. - Ale spróbujmy najpierw otworzyć je w cywilizowany sposób.

Drzwi, oczywiście, nie chciały się otworzyć. Nawet gdy zabrał się do nich Kerk - pchnął kilka razy, potem szarpnął za klamkę. Z umiarem.

- Cywilizowani ludzie najpierw pukają albo dzwonią do drzwi. Nie matu gdzieś dzwonka? - zakpił Stan.

- Nie - odpowiedział poważnie Archie - ale ten przycisk nada się na początek.

- Stop! Nie dotykaj! - władcym głosem powstrzymał go Kerk. - Nigdy się nie spiesz z naciskaniem nieznanych guziczków. Wy, uczeni, jesteście jak małe dzieci. Na Pyrrusie sześciolatek wie, że najpierw należy zrozumieć, a potem dotykać.

- Chłopaki! - nieoczekiwanie westchnął Stan. - Stójcie. Uwaga!

Patrzył jak zaczarowany na wskaźnik stale działającego odbiornika promieniowania psi i jednym tchem skomentował:

- Bardzo mocny, bardzo bliski sygnał! Nadzieja, niepokój, rozpacz, radość, jakiś straszny miszmasz. Wysłemy modulowany sygnał naszym kodem? Może to oni?

- Nie, Stan, wylamiemy te drzwi - oświadczył Kerk. - Bardzo mi się nie podobają emocje z tamtej strony, tym bardziej że to mogą być nasi. Nie ma czasu na pertraktacje. No, pomóżcie mi. Razem, chłopcy!

Klamkę oderwali bez trudu, ale drzwi były solidne, odporne na czas i fizyczną napaść. A wtedy Archie niby przypadkiem wdusił wypatrzony przycisk. Odezwała się syrena alarmowa nieprzyjemnie głośno i piskliwie.

- Przepraszam, chłopaki - rozłożył ręce flegmatyczny astrofizyk, usiłując przekrzyczeć wycie mechanizmu. - Myślałem, że to coś w rodzaju windy.

- A ja myślę - wrzasnął jeszcze głośniejszy Kerk - że niepotrzebnie wzięliśmy cię ze sobą!

I kolejny raz wałnął potężnym korpusem w pancerne drzwi. Twarz mu spurpurowiała, nie tyle z wysiłku, co ze złości. Archie usiłował krzykiem odwołać się do rozsądku rozjuszonego olbrzyma - przecież nawet Stan zrozumiał już, że nie należy wyważać drzwi, a ciąć je laserem. Ale na szczęście cny na nieszczęście, nie wymyślono jeszcze niczego, co byłoby w stanie powstrzymać atakującego Kerka Pyrrusa.

- Odejdź no, Archie! - ryknął niczym ranny zwierz.

Może, nie mając innego celu, Kerk strzeliłby do biednego astrofizyka, ale w chwili maksymalnego napięcia syrena nieoczekiwanie zamilkła, a w napierającej ciszy zabrzmiał warkot silnika drzwi. Po chwili stały otworem.

Szybkobieżna winda wyniosła Metę i Jasona do malutkiej przezroczystej budki w tym miejscu planety Solvitza, gdzie zieleniły się lasy, pluskało morze, płynęły rzeki, skakali po

stepie nieprawdziwi jeźdźcy nieprawdziwego Temuchina i pełzały w zaroślach nieprawdziwe pyrrusańskie stwory. Po drodze na tę powierzchnię minęli jeszcze jedno chronoprzejście. Dystans okazał się za krótki nawet dla Mety, a Jasona skręciło tak, że ledwo oddychał i dosłownie wypelzł z kabiny, wczepiając się skostniałymi palcami w futrynę szklanych drzwi.

- Połóż się - zadysponowała Meta - Tylko głupcy miotają się, póki nie padną. Musisz choć trochę dojść od siebie. Mamy jakieś dwie, trzy minuty.

- Daj apteczkę - wychrypiął Jason, obmacując ubranie nieposłusznymi rękami.

Ze zdziwieniem stwierdził, że jest ubrany w cienkie spodnie, białą koszulę i smoking. W kieszeniach poza chusteczką i żetonami z kasyna miał tylko szczelne pudełko z kryształami informacyjnymi. Jak tu trafił? Przecież w bibliotece, zapisując potrzebne informacje na nośnikach o największej pojemności, Jason układał je w pojemniku, który leżał na stole, a ubrany był wtedy w standardowy kombinezon komandosa. Ale teraz nie było czasu na zastanawianie się. Bez iniekcji stymulatora - tym bardziej. Na szczęście Meta zachowała jakimś sposobem swoją apteczkę i po chwili Jasonowi zaczęły wracać siły. Przejśniło mu się w głowie. Musiał tylko jeszcze dowiedzieć się, co im grozi.

- Czy to Solvitz nas goni?

- Chyba tak. Ale nieźle go wyprzedzamy

- Co to znaczy? Nie rozumiem! Przecież Solvitz jest wszędzie? Wszystko, co tu żyje, to Solvitz. Jak więc można go wyprzedzić?

- To długa rozmowa - machnęła ręką Meta. - Kiedyś ci wyjaśnię. Udało mi się lepiej niż tobie zrozumieć tego staruszka. Okłamywał nas, i to potężnie.

- A czego chce teraz? - zainteresował się Jason.

- Tego samego co wcześniej. Zatrzymać nas tutaj.

- Za wszelką cenę? - sprecyzował Jason.

- Nie sądzę - odpowiedziała Meta po chwili namysłu. - Bardziej jesteśmy mu potrzebni żywi.

- To dobrze - westchnął Jason z ulgą. - Jak będziemy żywi, nie umrzemy. To takie stare powiedzenie. Wyczytałem je w jakiejś bajce.

- Wstawaj, bazarzu! Czas na nas.

Do hangaru dotarli biegiem. W niezłym tempie. Ciężkie wrota posłusznie rozjechały się na boki, jak po słowach "Sezaminie, otwórz się!" Jasona to nie zdziwiło, ponieważ zauważył w ręku Mety małego pilota. Nie mieli go wcześniej. Gdy biegli przez hangar, Jason krótko zapytał:

- Skąd masz?

- Solvitz. Prezent - równie lakonicznie odpowiedziała Meta w rytmie biegu.

- Po co? - zapytał Jason.

Ale odpowiedzi nie otrzymał. Meta pilotem włączyła silniki obu czółen, buczenie i gwizd zagłuszyły wszystkie dźwięki. Gdy tylko Jason zważył się w fotel, a ten owinął go pasami, zamknęły się osłony i dziarskie uniwersalne czółna runęły w górę z przeciążeniem 30 G, a na takie przeciążenie nie pomoże żaden stymulator. Jason zgrzytał zębami, ale milczał. Teraz na pewno nie mogli korygować lotu ręcznie, a najprawdopodobniej nie było to w ogóle możliwe. Meta sterowała oboma czółnami tak samo, jak jeszcze niedawno robił to doktor Solvitz. Niedawno? Czy wiele lat temu? A może wczoraj? Ale w jakimś innym życiu.

Jason miał mętlik w głowie. Potem przeciążenie się skończyło, ponieważ czółna osiągnęły maksymalną możliwą prędkość. Połowa zewnętrznych czujników spłonęła, druga połowa bez hałasu się stopiła i rozplynęła po kadłubie statków. Pozostawała nadzieja, że molibdenowe osłony nie przyspawają się do kadłuba i że uniwersalne czółna nie staną się latającymi grobami dla ich pilotów.

Jednakże Meta przewidziała i takie niebezpieczeństwo, rozżarzone osłony szczęśliwie się otworzyły, a rozgrzanej stali kadłubów, czerniejącej natychmiast po zahamowaniu, dotykali rękami w świetnie izolujących rękawicach firmowych skafandrów systemu Solvitz. Dobrych skafandrów.

Dziękujemy ci, szalony stary doktorze, byłeś dla nas łaskaw Jason w myślach pożegnał się z Solvitzem. Dziękujemy za wszystko! Ale tam, w kosmosie, bez twojej pomocy będzie nam chyba przyjemniej .

Biegli do najbliższej świecącej kopuły i Meta właśnie unosiła rękę z pilotem, zamierzając otworzyć drzwi supertajnej rezerwowej śluzy próżniowej, gdy za ich plecami huknęło i dwa eksplodujące pociski gruchnęły w ścianę, zostawiając głębokie dziury. Meta już w pędzie nacisnęła odpowiedni guzik i drzwi zaczęły się otwierać. W tej samej chwili Pyrrusanka odwróciła się i padając na plecy, otworzyła ogień w kierunku, z którego przyleciały pociski. Oczywiście nie trafiła, ale już dołączył do niej Jason, powtarzając jej działania z półsekundowym opóźnieniem. Z takim samym wynikiem.

Och, za wcześnie zegnał się z Solvitzem! Szalony uczonec jednak ich dogonił. Albo odpoczywali dłużej niż należało, albo Meta się pomyliła w tajemniczych obliczeniach. Jedno było jasne: stary Teddy postanowił ich zatrzymać. I - jak pokazała praktyka - za każdą cenę. Już miał dość zabawy z żywymi, teraz nadszedł czas na igraszki z trupami, na przemianę Jasona i Mety w homunkulusy czy androidy. Ciekawe zadanie, godne wielkiego wynalazcy, który przez tysiące lat nie nauczył się celnie strzelać. Teraz, kiedy nie trafił ich za pierwszym razem, nieśmiertelny psychol mógł nawet przegrać. Przecież honorowi goście już wiedzieli, że nie potrafi błyskawicznie odtwarzać swojego ciała, a potrzebowali na ucieczkę tylko kilku sekund. Tylko że... Co mówiła Meta o wyjściu, które się zamknie, jeśli się spóźnią? I atak jest ryzykowny, i zwłoka zębna! Czyżby znowu wpadka?

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Jasona w ułamku sekundy, a w tym czasie Solvitz, kryjąc się za osmalonymi czółnami, prowadził ciągły ogień, drzwi za ich plecami zaś dopiero się otwierały, niemiłosiernie skrzypiąc.

Następny strzał rozległ się zza ich pleców. Zaraz potem usłyszeli głośny, rozpaczliwy wrzask doktora Solvitz. W otworze drzwi próżniowej śluzy stał Kerk z dymiącym pistoletem w ręku, a trzydzieści metrów od nich leżał Solvitz, trzymając się wykręconymi palcami za rozszarpaną klatkę piersiową. Oczywiście żył, a w tej ogromnej ranie widniała nie żółta czy zielona galareta, lecz prawdziwa krwawa mieszanina kości, mięśni i wewnętrznych organów

- Po co do nas strzelałeś, Teddy? - zapytał Jason, podrywając się na równe nogi.

- Nie odchodźcie, proszę, jest bardzo źle! - wychrypiął Solvitz, nie odpowiadając na pytanie.

Jason odruchowo zrobił krok w jego stronę.

- Wracaj! - krzyknęła wystraszona Meta. - Wracaj! Znowu cię okłamię! Musimy się spieszyć!!

- Czy ten typ chciał was zabić? - rzeczowo zapytał Kerk. - Tak - krótko odpowiedziała Meta, nie wdając się w szczegóły. - Dziękujemy ci, ale teraz... Uciekajmy jak najszybciej albo ugrzęźniemy tu na długo. Uwierzcie mi!

Już trzymała Jasona za rękę jak nieposłuszne dziecko. Ale tych nieposłusznych dzieci było więcej. Stan, a szczególnie Archie wpatrywali się w nil z powątpiewaniem. I wyraźnie nie zamierzali się spieszyć.

- Gdzie jest Troy? - zapytał w końcu Kerk.

- Troya już nie ma - odpowiedziała szybko Meta, nadal nie wdając się w szczegóły - Musimy uciekać i to już, rozumiecie? - krzyknęła w rozpacz.

- Dlaczego? - zdziwił się Stan.

To było ostatnie pytanie. Dlatego, że żywy zabity doktor Solvitz z wypadającymi w biegu wnętrznościami poderwał się i chwyciwszy pistolet, usiłował ponownie ostrzelać całe towarzystwo. Kerk odstrzelił mu rękę i inne argumenty przestały być potrzebne. Cała piątka zgodnie i zręcznie rzuciła do śluzy. Kiedy wycięli zarośnięty już kilkoma warstwami pancerza otwór, wydostali się na powierzchnię i wpakowali się do desantowego kutra, z otworu pozostawionego w powłoce asteroidy wolno wypłynął tak dobrze im znany drapieżny czarny jęzor.

- Doczekaliśmy się! - warknęła Meta i wystartowała tak jak tylko ona potrafiła.

Jason już się na nic nie skarżał, ale Archie jęknął, czując ból w całym ciele.

- Nauka wymaga ofiar - szyderczo skomentował Kerk. Skąd znał takie powiedzonka? Zapewne od Jasona.

A na ekranach wstecznych wyraźnie widać było trasy wszystkich pocisków, które Kerk z rozkoszą posyłał na spotkanie kłębiącego się czarnego obrzydlistwa. W końcu ostrzał się zakończył, a płonącej lej przykryła pierzyna z ciekłego helu.

Revered Berwick wyszedł na spotkanie powracającym z asteroidy i przestrzegając tradycji nie wiadomo jakich światów i czasów, najpierw ukłonił się nisko, przyciskając dłoń

do piersi, a następnie wyciągnął je do Jasona.

- Wielkie dzięki, Jasonie dinAlt, bardzo jestem rad, widząc pana całego i zdrowego. Dziękuję również pani, Meto. Współczuję z powodu śmierci waszego towarzysza i ośmielam się mieć nadzieję, że podstawowy etap operacji już jest za nami.

Na tym oficjalna część powitania została zakończona. Pełnomocny członek Rady Konsorcjum zamilkł, potem jakoś niepewnie się uśmiechnął w nie przystającym doń stylu i zaprosił Jasona do swojej kajuty na ważną i pilną rozmowę w cztery oczy Kerk nie sprzeciwił się ani jednym słowem, ani jednym gestem. Nawet wy dał polecenie, by nikt nie śmiał przeszkadzać wysokim umawiającym się stronom. Właśnie tak napuszenie i dyplomatycznie się wyraził, dziwnie łatwo uznając obcego człowieka za pierwsze skrzypce w ich pyrusańskiej orkiestrze. A Jason, którego korciło, by w stylu najszlachetniejszych demokratycznych tradycji opowiedzieć o przygodach wszystkim obecnym na statku, zmuszony był do złożenia po żołniersku raportu bezpośredniemu przełożonemu. Choć nie, ostatni epizod jego przygód przypominał raczej historie szpiegowskie: super agent przekazuje tajne informacje do "centrum".

Poziom utajnienia zaskoczył Jasona. Nie widział nigdy tak doskonałej aparatury chroniącej przed podsłuchem i podglądem. Dlatego na początku rozmowy czuł się niewyraźnie, chociaż dość precyzyjnie wyłożył wszystko, czego dowiedział się o Solvitzu.

Berwick natomiast informacje o swoim udziale w działaniach Korpusu Specjalnego zostawił na potem, a zaczął od najważniejszej rzeczy - od tajnej społeczności nieśmiertelnych, od Gwarantów Stabilności.

- Chce pan powiedzieć - zrozumiał w końcu Jason, cierpliwie wysłuchujący krótkiego streszczenia problemu - że moja osobista nieśmiertelność i cała praktyczna wiedza o wynalezionej przez Solvitza szczepionce nie należą do mnie?

- Właśnie tak. Dobrze wiem, że jest pan może najbardziej samodzielnym człowiekiem w Galaktyce i raczej nie zechce pracować dla jakiegokolwiek instytucji, zwłaszcza pod przymusem. Dlatego natychmiast poprosiłem pana tutaj. Niebezpieczeństwo niekontrolowanego rozpowszechnienia informacji o niektórych sprawach, takich jak na przykład nieśmiertelność, jest zbyt duże. Nie mogę panu rozkazywać, ale mogę prosić i mam wielką nadzieję, że mnie pan zrozumie. Właściwie niemal każdy nieśmiertelny miał okazję podarowania szczepionki ludzkości albo przynajmniej mógł rozgłosić jej istnienie w całej Galaktyce. Niektórzy tak właśnie robili. Ale za każdym razem kończyło się to smutno. Nie można się przeciwstawić takim organizacjom jak Władcy Wszechświata, Gwarantci Stabilności czy Korpus Specjalny Ligi Światów. Oczywiście, zdarzają się w naszym nieskończonym kosmosie osobnicy wybitni, ale nawet samego Theodora Solvitza, który przeciwstawił się wszystkim, raczej oceniałbym negatywnie. Czy zgadza się pan?

- Bez wątpienia - odparł Jason. - Niepotrzebnie marnuje pan na mnie tyle słów. Wsławiłem się może niespecjalnie wielkim szacunkiem do poszczególnych praw poszczególnych światów, jak również nieco ekstrawaganckimi poglądami na moralność, ale

nigdy nie byłem ekstremistą, nigdy nie nawoływałem do eksterminacji ludzi, tym bardziej całych kultur i cywilizacji. I co uważam za bardzo ważne, nigdy nie pragnąłem władzy nawet na jednym globie. Dlatego nie jestem konkurentem pańskiego tajnego zrzeszenia, a tym bardziej szalonym samotnym buntownikiem. Teraz bardziej mnie niepokoi los ojczystej planety, szczególnie po tym, co zdążył mi opowiedzieć w drodze powrotnej Kerk.

- Do tego problemu na pewno wrócimy - zapewnił go Berwick. - Bardzo proszę, niech pan powtórzy w skrócie, co zawierają kryształy wyniesione przez pana z asteroidy.

- Bardzo proszę - powiedział Jason. - W tym pojemniku jest dziesięć komórek. Porozkładałem w nich poszczególne informacje. Pierwsza. Recepta na szczepionkę nieśmiertelności. Druga. Technologia wytwarzania homunkulusów. Trzecia. Kompleks najnowszych metod leczenia. Czwarta. Opis sposobu sterowania grawitacją. Piąta. Szczegółowa historia najstarszej fali kosmicznej ekspansji, łącznie z Pierwszą i Drugą Galaktyczną Wojną. Szósta. Teoria i praktyka wykorzystania superbroni. Siódma. Teoria intelektualnej asenizacji. Ósma. Komplet planów sztucznej asteroidy Dziewiąta. Najbardziej szczegółowe dossier pewnego obywatela Galaktyki Jasona dinAlta. I, w końcu, dziesiąta. Olbrzymie, zamknięte pliki obcej wiedzy. Do rozszyfrowania jej istoty nie udało mi się nawet zbliżyć.

- Ostatnie dwa punkty wydają mi się szczególnie interesujące - zauważył Berwick.

- Ach tak! - zdziwił się Jason. - Obca wiedza, wiadomo. Ale moje dossier? Czy nie pan sam montował je w Korpusie Specjalnym?

- Myśmy je układali, fakt - uśmiechnął się lekko Berwick ale sędzę, że Solvitz wyprzedził nas i w tym zakresie.

- Ach tak - powtórzył Jason dość zaskoczony. - Jednakże wiadomości o mnie to chyba wyłącznie moja prywatna sprawa, tym bardziej że jeszcze sam nie zapoznałem się z tymi plikami. Nie miałem czasu, bo nie dotyczyły najważniejszych problemów: - Gdy się pan zapozna, proszę i mnie wtajemniczyć, o ile uzna pan to za właściwe i możliwe.

- Bardzo słusznie - podkreślił Jason - o ile uznam to za słuszne. Nasza umowa określa mój jedyny obowiązek - uratowanie światów Zielonej Gałęzi przed nieznanym i groźnym niebezpieczeństwem Czyż nie tak? Co do szczepionki nieśmiertelności, uznaję pana racje i akceptuję warunki, Ale całą resztę zamierzam przekazać za wynagrodzeniem specjalnym i dopiero wtedy, gdy przekona nas pan, że jest najlepszym klientem.

- Sądzi pan, że wystraszy mnie swoim cynizmem? Proszę i nie mieć złudzeń. Potrafię trzeźwo patrzeć na świat i przyjmuję pańskie warunki. Uważajmy, że osiągnęliśmy porozumienie. Pozostaje tylko jeden problem: czy kontakty z Solvitzem pozwoliły panu poznać sposoby powstrzymania asteroidy?

- Szczerze mówiąc nie.

- I co pan teraz proponuje?

- To samo, co pan i Kerk: wystrzelać całe to świństwo, po kolei je rozmrażając, a

potem się zobaczy. Ale tę sprawę, jak mi się wydaje, powinniśmy rozpatrzyć wspólnie. Tylko proszę mi przypomnieć jeszcze raz, o czym nie należy mówić przy wszystkich, bo nigdy nie służyłem w tych waszych wywiadach i strażach.

- Właściwie nie należy mówić tylko o nieśmiertelności. Cała reszta, jak pan chce. Na razie - wieloznacznie dodał Berwick.

Jason postanowił nie zwracać uwagi na jego ostatnie słowa i rzucił dość lekkim tonem:

- Cóż, zgoda. W takim razie czas zwołać naradę.

- Czas - zgodził się Berwick.

Na centralnym korytarzu Jasona od razu przechwycił Kerk. - Od Mety niczego się nie mogę dowiedzieć. Opowiada jakieś przeintelektualizowane historie. . . Na najprostsze pytania odpowiada zagadkami, a przeważnie po prostu milczy. Bez twojego zezwolenia, powiada, nie wolno. Co się jej stało? Możesz mi wyjaśnić? - wściekał się siwowłosy Pyrrusanin.

- Zuch z Mety - uśmiechnął się Jason. - Zachowuje się właśnie tak, jak powinna.

Pistolet wskoczył w dłoń Kerka i natychmiast wrócił do kabury. Jason nawet nie drgnął. Już dawno przywykł do takiego okazywania emocji. W przekładzie na normalny język ludzkich gestów znaczyło to mniej więcej tyle samo, co uderzenie pięścią w otwartą dłoń. Bez żadnego zagrożenia dla otoczenia.

- A czy ty możesz mi przynajmniej cokolwiek powiedzieć? - jęknął Kerk.

- O czym? - zapytał Jason.

- O Pyrrusie, rzecz jasna! W pierwszej kolejności o Pyrrusie! Co wyjaśniliście w sprawie naszych nieszczęść? Jak teraz zwyciężymy?

- Ach, o to ci chodzi!

Pyrrusanie są niepoprawni, pomyślał. Można powiedzieć, że wszechświat się wali, ale jego interesuje tylko ojczysta planeta!

- Posłuchaj mnie uważnie i postaraj się nie złościć - zaczął Jason. - Twórca tej sztucznej asteroidy, doktor Theodor Solvitz, po powrocie z innego wszechświata na pewno zajrzał na Pyrrusa, choć nie powiedział nam tego wprost. W swoich lasach hodował rogonosy i inne miłe zwierzątka, poza tym zachowanie i fizyczne możliwości Mety wcale go nie dziwiły. A w tamtejszej bibliotece przechowywane są dane o waszym globie, których obfitość wyraźnie przekracza wiedzę moją i Mety razem wzięte. To znaczy, że nie mógł wszystkiego wyciągnąć z naszej pamięci. Ale i tak nie twierdziłbym na pewniaka, że Solvitz wmieszał się w proces ewolucji na Pyrrusie. Nie udało nam się znaleźć dowodów.

- A nie może być tak, że wszystkie pyrrusańskie organizmy to dzieci złego geniuszu Solvitza? - zapytał Rhes, który od trzydziestu chyba sekund stał obok i uważnie się przysłuchiwał wyjaśnieniom Jasona.

- Owszem - zgodził się dinAlt. - Ale, po pierwsze, należy to najpierw udowodnić, a po

drugie, jeśli nawet tutejsze zamrożone monstra są spokrewnione z pyrrusańskimi potworami, wcale nie muszą być rodzonymi braćmi. Związek między nimi może być znacznie głębszy i bardziej złożony. Zapewniam was.

- Przypomnij sobie jednak, Jasonie - odezwał się po chwili zastanowienia Kerk - że kiedy rozwaliliśmy cytadelę wroga na wyspie, wszystkie organizmy rzuciły się na miasto z potrójną mocą. Coś podobnego stało się dziś. Czy to nie nasuwa przypuszczenia. . .

- Nasuwa, nasuwa - uśmiechnął się Jason. - Ale wy, Pyrrusanie, zawsze szukaliście prostych odpowiedzi, a proste odpowiedzi, jak wiadomo, nie są właściwe.

- No to kiedy dasz nam swoją nieprostą odpowiedź? - zapytał Rhes w tym samym tonie. - Brucco na przykład uważa, że nowe formy pyrrusańskich organizmów, widziane po raz pierwszy dosłownie kilka dni temu, bardzo przypominają draństwo, do którego dokopaliśmy się pod lodem tutaj.

- Cóż - powiedział Jason - to też ciekawa obserwacja. Tym bardziej że Solvitz przyznał, iż pewnego dnia wypuścił z asteroidy "czarną wstęgę". Może był to uniwersalny pochłaniacz materii, może jeszcze coś innego, a może sam tego nie rozumiał. Nie wiemy, gdzie się podziała owa wroga całej Galaktyce istota, nie wiedział tego również szalony doktor Solvitz. Może to coś ukryło się właśnie na Pyrrusie? Ale i tak najważniejsza dziś sprawa to nie wyprowadzać pospiesznych wniosków Trochę cierpliwości, przyjaciele. Solvitz, chcąc nie chcąc przekazał nam sporo danych, których wartość trudno przecenić. Ale na rozszyfrowanie ich, a nawet na samo zrozumienie potrzeba sporo czasu. . .

- O ile wyrwiemy się stąd cali i żywi! - uzupełniła mijająca ich szybkim krokiem Meta. Nawet nie zatrzymała się na chwilę rozmowy.

- Co się znowu stało? - Jason rzucił się za nią, pociągając za sobą innych.

- Nic szczególnego - odpowiedziała. - Po prostu zaczęliśmy odliczać ostatnie minuty, a wy tu sobie ucinacie dysputy filozoficzne. Berwick wzywa wszystkich na zbiórkę, ale ja bym na jego miejscu ogłosiła alarm. I tak pewnie zrobię. Inaczej nie da się was wszystkich zebrać. I kto w końcu dowodzi okrętem?!

Weszli do sterówki. Jason od razu wyczuł, że coś niedobrego wisi w powietrzu. Członkowie Rady Konsorcjum, uczeni z Uctisa, do tego Pyrrusanie - wszyscy stawili się w komplecie. Siedzieli w fotelach na pozór spokojni. Ale nawet bez specjalnych zdolności wyczuwało się, że napięcie psychiczne jest bardzo duże. Niepokój panujący w pomieszczeniu Jason odczuł niemal fizycznie, jakby nagle nadleciał i uderzył go w twarz zimny, słony wiatr od morza.

- Wszyscy są? - rzucił Stan, który zabrał głos jako pierwszy. - Hiperlód zaczął topnieć. Na podjęcie decyzji mamy najwyżej pół godziny.

- Czyżbyśmy byli już tak blisko gwiazdy FG 13 - 9? - zdziwiła się Meta.

- Bardzo blisko. Przecież szybkość asteroidy zmienia się czasem skokowo. Obliczenia zaś wykazują, że topnienie lodu spowodowane jest nie tylko promieniowaniem cieplnym

gwiazdy.

- Chcesz powiedzieć - zdziwiła się Meta - że Solvitz podgrzewa lód od wewnątrz?

- Tak. Najpierw zaczął topnieć od zewnątrz, teraz dodatkowo podgrzewany jest od wewnątrz.

- Nie rozumiem - przyznała Meta.

- Ja też nie rozumiem - przyznał Stan. - Ale to fakt.

- I co proponujesz? - ostro zapytał Kerk.

- Nic nie proponuję. Po prostu wprowadziłem was w sytuację, a wy decydujcie.

- Dobrze - powiedział Kerk uradowany, że władza powoli wraca w jego ręce. - Clif! Możemy wystrzelać wszystkich wrogów, którzy zaczną się budzić za pół godziny czy kiedy tam?

- Tak! - z dumnym przekonaniem odpowiedział Pyrrusanin. - Możesz zagwarantować, że nie poniesiemy strat w tej potyczce?

- Mogę. Jeśli, oczywiście, masz na myśli straty ludzkie.

- Właśnie o to pytałem. - Kerk zamyślił się. - Użycie naszych planetarnych bomb będzie znacznie tańsze?

- Na pewno! - klasnął w dłonie Clif. - Ale wydaje mi się, że ktoś nam zabronił.

- Widzę, że teraz ten ktoś milczy - zauważył Kerk. Wszyscy popatrzyli na Revereda Berwicka, który wstał i uważnie przyjrząwszy się wszystkim zebranym, powiedział:

- Wyjaśniałem już wtedy swoją motywację, panowie. Teraz, ponieważ sytuacja zmieniła się diametralnie, jako przedstawiciel Korpusu Specjalnego zdejmuję z siebie odpowiedzialność za asteroidę Solvitza. Zgodnie z umową wy jesteście wykonawcami. Więc już teraz proszę o konkretne decyzje wykonawcze. Ostatnie słowo, jak mi się wydaje, należy do Jasona.

No tak. Mistrzowi hazardu przyszło podejść do stołu i cisnąć kości na zielone sukno. Czyżby właśnie od jego woli zależeć miała przyszłość?

Jason popatrzył na Metę i poszukał w jej oczach podpowiedzi. Powinna wydać wyrok śmierci na Solvitza. Ale w błękitnych oczach amazonki widać było tylko niecierpliwe oczekiwanie i całkowite zaufanie do niego.

- Panowie, przyjaciele, bracia. - Ciągłe nie potrafił znaleźć właściwego tonu na tę okazję. Sytuacja miała charakter nieco uroczysty, a on zamierzał po prostu wszystko przystępnie wytłumaczyć. - Bardzo bym nie chciał niszczyć tego, co tworzono przez wieki i tysiąclecia. Asteroida Solvitza zawiera znacznie więcej tajemnic, niż zdołaliśmy zdobyć. Ta asteroida, a może i sam doktor Solvitz mogliby jeszcze przynieść ludzkości korzyść, ale... Lepiej niż ktokolwiek inny zdążyliśmy poznać szalonego doktora. Poznać, ale nie zrozumieć. Jego zachowanie jest chwilami zupełnie alogiczne. Nie jest już w pełni człowiekiem. A ja nie

mogę zagwarantować pomyślnego zakończenia operacji, dlatego też nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za całą Galaktykę. W odróżnieniu od Solvitza jestem tylko człowiekiem i nie mam prawa ryzykować życia innych ludzi.

Jason znowu popatrzył na Metę i pojął, że nie chce - och, jak bardzo nie chce! - ryzykować.

- A co z Troyem? - nieoczekiwanie zapytał Teca.

Będąc lekarzem, szczególnie interesował się losem zaginionego Pyrrusanina i już nawet zdołał wyciągnąć z Mety niektóre okoliczności jego zaginięcia.

- Wynika z tego, że zniszczymy Troya wraz z całym obiektem?

- Nie, Teco, możesz uważać, że Troy jest tu - powiedziała Meta, unosząc nad głową mały połyskujący dysk. - Patrzcie wszyscy. To jest. . . jak by to powiedzieć. . . elektroniczna wersja Troya. Matryca jego osobowości. To, co chodzi tam, po wewnętrznej powierzchni asteroidy, możemy odtworzyć u siebie w każdej chwili. .. Jeśli zechcemy - dodało ponuro. - Ale to i tak nie będzie Troy.

Kerk podniósł się gwałtownie i popatrzył na zegarek. Z jego punktu widzenia nie pojawiły się żadne argumenty na korzyść zachowania Obiektu 001.

- Clifie! Przystaw zapalniki bomb planetarnych na odliczanie. Meto! Włączaj główne silniki marszowe. Będziemy uciekali z orbity forsownym tempem. Przygotować się na dziesięciokrotne przeciążenie! Proszę to przekazać przez interkom. Stan! Zapewnij stałą łączność z Naxą. Chcę, żeby śledził stąd wydarzenia i relacjonował nam, co się dzieje na Pyrrusie. Jeśli o mnie chodzi, to wszystko. Do roboty!

Kiedy planety, nawet niewielkie, są niszczone za pomocą bomb anihilacyjnych, powstająca na ich miejscu kula ognista przypomina wybuch supernowej. Takich rzeczy nie ogląda się często i niewiele osób może się pochwalić, że było świadkami takiej eksplozji. Cała załoga "Argo" zgromadziła się przy dużym ekranie. Zielonkawy dysk globu Solvitza miał w tej chwili nie więcej niż dwa stopnie wielkości kątowej i przypominał nieszkodliwą sondę badawczą lub nadmuchiwaną zabawkę "zawieszoną" w próżni.

...Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden. Odliczanie się skończyło, kulka napęczniała chorobliwym malinowym brzaskiem. Wydawało się, że zaraz pęknie, rozlewając dokoła krew z ropą. Widok nie należał do najprzyjemniejszych. Asteroida rzeczywiście pulsowała jak wrzód. Pełne oszołomienia "ach!" wyrwało się z ust niemal wszystkich jednocześnie, a z wyrazu twarzy stojącego obok Archiego Jason wyczytał, że nie tak powinien wyglądać wybuch planety.

No, a potem. . . Nie trzeba było wcale mieć odpowiedniego wykształcenia, by zrozumieć, że skończyła się fizyka, a zaczęło diabli wiedzą co. Powiększony co najmniej dwukrotnie dysk Solvitza zmieniał kolor, konsekwentnie przechodząc od czerwieni do fioletu, a potem, słowami Archiego, omijając ultrafiolet, zniknął na zawsze. Wszystkie przyrządy obserwacyjne były zgodne: asteroidy nie ma w naszej Galaktyce, w naszym wymiarze, może

nawet w naszym Wszechświecie. Nawet lokatory skoków nie odnotowały go w zakrzywionej przestrzeni. Zaplanowany wybuch doszedł do skutku. Nie nastąpiła eksplozja światła oczekiwana w chwili zniknięcia asteroidy. Co się dzieje z fundamentalnymi prawami zachowania masy i energii? - zadali sobie pytanie niemal wszyscy obserwatorzy tego wydarzenia.

- Wykorzystał energię anihilacji powłoki zewnętrznej do skoku w podprzestrzeń i jeszcze gdzieś dalej - podsumował Archie.

- A to jest możliwe? - zapytał Jason.

- Dotąd uważano, że nie.

- Więc może się wynurzyć z powrotem w naszej Galaktyce? Taka ewentualność wydawała się Jasonowi logiczna.

- Na to bym nie liczył - uśmiechnął się Archie. - Pamiętajcie, że już tam, w kutrze, kiedy wracaliśmy, zdążyliście opowiedzieć mi o liczbie pi równej dwa. Tam właśnie Solvitz poleci. Jako astrofizyk, jestem o tym przekonany. A dla naszego Wszechświata asteroida szalonego doktora jest stracona na zawsze, czyli, innymi słowy, przestała istnieć. Dlatego proszę się nie niepokoić, Jasonie, jako specjalista mogę zaświadczyć: pańskie zobowiązania wobec Konsorcjum zostały wypełnione z należytą starannością.

- Cóż - uśmiechnięty Jason odwrócił się do Berwicka - pieniądze na stół, panie zleceniodawco! Tak się mówiło w starożytności. Kerku, na twoim statku znajdzie się jakiś stół, prawda? Najlepszy byłby drewniany, ale wystarczy, jeśli będzie z tworzywa sztucznego. Panie zleceniodawco, znajdzie pan te osiemdziesiąt dwa miliardy w gotówce?

Jason odczuwał radość z powodu zwycięstwa, a Berwick wpatrywał się w ponurą ciemność ekranu, jakby jeszcze czekał na coś, i kiwał głową. W końcu się odwrócił i Jason ze zdziwieniem zobaczył w jego oczach nie radość, a głęboki smutek i gorzki smutek. No tak, przecież miał nadzieję, że zdobędzie jeszcze większą wiedzę! Może nieśmiertelny Berwick marzył o spotkaniu z nieśmiertelnym Solvitzem, żywą legendą dawno minionej epoki, a zamiast tego musiał wydać wyrok śmierci, którego nie udało się wykonać.

- Tak, tak. - Berwick jakby się ocknął. - Więc naprawdę chce pan dostać honorarium gotówką?

- Żartuję - powiedział Jason. - Oczywiście, proszę przelać na konto. Jak najszybciej, proszę. Meta, jako dowódca statku, może poświadczyć, że za dwie godziny zbliżymy się do pana ojczystej planety, gdzie się rozstaniemy. Pyrrusanie i tak zatrzymali się tu zbyt długo.

- Pyrrusanie niech lecą. - Berwick podszedł bliżej. - A pana chciałem zaprosić do siebie.

- Dokąd? - zdziwił się Jason.

- Osobiście mam się zjawić u pana Revereda Bronce'a, zastępcy dowódcy Korpusu Specjalnego, i szczerze mówiąc miałem zamiar mu pana przedstawić.

- Jako nowego agenta? No nie, Berwick, nie jestem odpowiednim kandydatem. I mam masę spraw do załatwienia w domu, na Pyrrusie. Lecę tam i tylko tam, a panu Bronce'owi proszę przekazać, że jeśli tego chce, może nas odwiedzić. Będzie to wizyta poznawcza pod każdym względem.

Berwick obdarzył Jasona długim spojrzeniem i bez słowa wystukał na swojej bransolecie numer Centralnego Banku Konsorcjum, by zgodnie z umową przekazać dyspozycję o wypłacie pieniędzy

- Na co wydamy tę ogromną mamonę? - zapytała Meta.

Leżała wygodnie rozparta w fotelu i trzymała w ręku kieliszek, w którym brzęczały kostki lodu. Jason właśnie zmieszał koktajle. Wykorzystał stary przepis Solvitz - w skład danych o asteroidzie wchodziły też książki kucharskie z komentarzami dla kucharzy i barmanów. Zgodnie więc z tradycjami wszystkich międzygwiazdnych podróży świętowali udane wyjście z podprzestrzeni. Do lądowania na Pyrrusie zostało dosłownie kilka minut.

- A już mi się wydawało, że honorarium należy do wszystkich Pyrrusan - rzucił nieco skonsternowany Jason.

- Oczywiście, kochany, ale wszyscy Pyrrusanie będą pytali właśnie nas, co zrobić z tymi pieniędzmi.

- Hm! Logiczne. No to słuchaj. Po pierwsze, musimy odbudować kosmoport, podziemny łącznik i wszystko to, co zostało w mieście zniszczone. Po drugie, warto nie tylko odbudowywać, ale wybudować lepsze i trwalsze budynki, uwzględniając ostatnie wydarzenia. Po trzecie, nie zaszkodzi nieco rozbudować kosmoport i zrobić trochę zapasów broni. A po czwarte, na przekór tradycji chcę sfinansować poważny naukowy program badania ekologii Pyrrusa. Nigdy nie opanujemy tej planety kawaleryjskimi szarfanami. Tu potrzebne jest twarde wyrachowanie, a potem długie i żmudne badania. Rozmawiałem na pożegnanie z tym wspaniałym chłopakiem, z Archiem. Zapalił się do pacy nad naszym problemem.

- Przecież on jest astrofizykiem? - zdziwiła się Meta.

- On jest prawdziwym uczonym. To najważniejsze. I nie ma żadnych z góry powziętych hipotez co do Pyrrusa.

- A ty?

- Po pierwsze, nie jestem uczonym, a po drugie, dawno stałem się prawdziwym pyrrusaninem i nie potrafię już patrzeć na planetę z boku.

- A teraz na dodatek stałeś się podobny do Solvitz - powiedziała Meta.

- Ciekawe w czym? - nie zrozumiał Jason.

- Zacząłeś mówić jak on: po pierwsze, po drugie. . . Do szału mnie doprowadza takie nudziarstwo!

- Przestań! - machnął ręką Jason. - A właśnie, Solvitz! W całym tym bałaganie zapomniałem zapytać, jak się nam udało stamtąd uciec. Przecież Solvitz wyraźnie

przygotował solidną szczelną pułapkę i wyraźnie zamierzał nas zatrzymać.

- Oczywiście, że tak. Zrozumiałam to przed tobą. Ten przeklęty Teddy niemal przez cały czas kłamał jak najęty. Jemu tam strasznie się nudziło, więc ukradł nas, a całe to wredne tałatajstwo na powierzchni wcale go nie niepokoiło. Mógł nas wypuścić w każdej chwili. Zresztą niewiele trudniej przyszłoby mu uwięzić nas na zawsze - uspić, ukryć gdzieś i czekać na rozwiązanie sytuacji. Może czuł, że wybuchu nie będzie, jeśli nas nie wypuści, albo. . . Według mnie on był rzeczywiście szalony. Działał z jakąś nieludzką logiką. Rozumiem, że nie chciał nas skrzywdzić, chciał, byśmy zostali dobrowolnie. W tym celu wymyślił całą tę historię z biblioteką i ciebie udało mu się schwytać. Najpierw oszołomił nas wstrząsającymi danymi, a to dla ciebie raj nowe wiadomości! Prawda? A potem, kiedy się dowiedział, co sprawia ci największą rozkosz, wcale nie pozbawił chytrego i niezwycięzonego Jasona zdolności oporu. Przecież duchowe uzależnienie jest silniejsze od wszelkich chemicznych narkotyków Zostałbyś tam z nim na zawsze.

- Niemożliwe. - Jason jej nie uwierzył.

- Możliwe. Bardzo starannie przeanalizowałam jego metodę. Z definicji powinna działać niezawodnie na każdego człowieka. - Dlaczego więc na ciebie nie podziałała?

- Dlatego że jestem Pyrrusanką?

- No to co? Zawsze uważałem, że Pyrrusanie są szczególnymi ludźmi. Ale nie aż tak! Nie rozumiem. Czy dla was nie istnieje rozkosz najwyższa?

- Wygląda na to, że nie - westchnęła Meta. - Pomyśl sam. Kiedy pstryknęłam przełącznik kondensacji czasu, też oczywiście wpadłam w wirtualną rzeczywistość. Wiadomo gdzie, na ojczysty glob. Z rozkoszą, tak, z rozkoszą kosiłam wszystkie znane i nieznanne potwory, zwyciężałam i nie było widać końca tej gry. Zadowolenie? Oczywiście! Ale to dla nas nie zabawa, Jasonie, nie rozrywka. To sposób na przeżycie, a więc raczej praca niż wypoczynek. Zabijając, zawsze pamiętamy o pokoju i spokoju dla naszej planety. Zmęczyłam się strzelaniem w tym wymyślonym świecie i Solvitz wychwycił moje marzenie. Zastrzeliłem ostatniego, ledwo żywego rogonosa i zwyciężyłam ostatecznie. W tym samym momencie Planeta Śmierci przestała być planetą śmierci i chyba przestała być moją ojczyzną. Myślisz, że stałam się szczęśliwa w tym momencie? Nawet jeśli byłam, to przez trzy sekundy, nie więcej, a potem wyruszyłam na poszukiwanie niebezpieczeństw Ale żadnych niebezpieczeństw nie było! Żadnych! Więc byłam coraz bardziej zła. Reguły tej gry przestawały mi się podobać. Solvitz, jak mi się wydaje, trochę zgłupiał i podrzucił mi nie wiadomo skąd wziętego jadowego i zębatego stwora. Przestałam wierzyć w realność otoczenia i od razu udało mi się wynurzyć w tej jego "dyspozytorni", z której kierował naszymi snami...

Meta zamilkła. - Solvitz rzeczywiście sporo wie o Pyrrusie, może nawet więcej niż my sami. Ale to mu nie pomogło zrozumieć, kim są Pyrrusanie. Nie wnikał w detale naszej psychologii. My nie jesteśmy stworzeni do przeżywania przyjemności i rozkoszy, a on nawet nie wiedział, że istnieją tacy ludzie. Oto dlaczego udało mi się zaskoczyć Solvitzą, gdy

pojawiłam się przy nim. Już wiedziałam, czego potrzebuję. Uniwersalnego pulpitu, a ten leżał przed doktorem na stole. Cóż prostszego: oderwać mu albo odstrzelić głowę, chwycić ten mały przedmiot i zwać? Ale wiedziałam też, że to wariant przegrany. Solvitza nie da się zwyciężyć siłą. On chciał z nas zrobić dobrowolnych jeńców i, stosując jego logikę, powinnam była zmusić go do dobrowolnego oddania pulpitu. On sam miał mi wskazać drogę do wyjścia. Jak to zrobiłam?

- No, jak? - Jason już się domyślał.

- Przeczytałam to w jego oczach. Ten tysiącletni starzec patrzył na mnie z szalonym zachwytem. Nic dziwnego, takich kobiet jak ja nie spotkał w całym swoim nieskończenie długim życiu. Reasumując, wykorzystałam go.. . O czym myślisz, Jasonie? Nie obawiaj się. Owszem, obiecałam mu wszystko, czego chciał. A ten stary kolcolot, rzecz jasna, pękł, wyluzował się, stał się ufnym jak dziecko. Chyba, oddając mi sterownik, naprawdę sądził, że zostanę z nim i porzucę cię. A ja wyszłam z pokoju na chwilę i zablokowałam drzwi. Oczywiście, nie potrzebował wiele czasu, by się domyślić, że go oszukałam, dlatego się spieszyłam. A to, że chłopaki wycinają otwór nad służą rezerwową, widziałam właśnie z dyspozytorni. Solvitz tak mocno się zmienił na twarzy, kiedy ich obserwował. . . A właśnie, sygnał psi, który odebrał Stan, to też moja robota. Sama nie wiem, jak na to wpadłam. Szczęśliwy przypadek, że właśnie tam postanowili stopić lód. . .

- Jak mogłaś, Meto?! - wykrztusił Jason, w końcu odzyskując dar mowy, ale ciągle wpatrując się w ukochaną wytrzeszczonymi oczami.

- Co? Wysłać sygnał Psi?

- Ależ skąd! Kusić tego starucha!

- O wysokie gwiazdy! Prawdziwie męska logika. Wydaje mi się, że ktoś tu był gotów na bara - bara z tą wysztafirowaną dziewczyną, z tym andrucikiem! I tylko dla zabawy i przyjemności! A gdy kochana kobieta dokonywała bohaterstwa, można powiedzieć, czynów, żeby uratować mu życie, ten ohydny zazdrośnik, zamiast wyrazów wdzięczności, że zgrozą wznosi ku niebu oczetą: Jak mogłaś?! Dobrze, dobrze. Wrócę na Pyrrusa i porzucę cię jak wtedy, za pierwszym razem!

- Meto, kocham cię! - westchnął Jason, obejmując ją. - Lepiej mnie przeproś, ty świntuchu!

I udając, że się wyrywa, zaczęła czule okładać jego pierś. Jej śmiertelnie niebezpieczne pięści potrafiły zmieniać się w czule piąstki.

- Nie będę przepraszał - oświadczył Jason. - Po prostu kocham cię i już!

W tym momencie w głośnikach interkomu rozległ się głos Kerka:

- Przyjaciele! Wchodzimy na orbitę Pyrrusa. Załoga i wszyscy pasażerowie "Argo": czas na przygotowanie - minuta. Po dwudziestu sekundach nieważkości przechodzimy do hamowania z dziesięciokrotnym przeciążeniem. Przyjaciele, gratuluję wam powrotu do domu!

Który to już raz wracam na Planetę Śmierci? - zapytał sam siebie Jason.
I nie potrafił się doliczyć.

Księga II

Przez długie siedemdziesiąt cztery lata rządził na planecie Orhoman najlepszy i ukochany przez lud król Ahamant. Świat ten słynął z żyznych ziem, łagodnego klimatu i niewyczerpanych złóż metali. Planeta była samowystarczalna i mądry Ahamant, niezłe poinformowany o innych światach, niebiańskich czółnach i międzygwiazdnej komunikacji, już w młodości doszedł do jednoznacznego wniosku: nie należy nawiązywać kontaktów z bogami, jak nazywał miejscowy lud latających po niebie przybyszów z innych planet. A tych poddanych, którzy nalegali, by korzystać z dobrodziejstw innych cywilizacji, władca oddalił od siebie tak definitywnie, że pewnego dnia porzucili Orhoman na zawsze. Zdarzenie to nazywano Odejściem Zwolenników Kontaktu. A glob nadal pławił się w szczęściu, radości, dostatku, bez zatargów.

Młoda królowa Nivella urodziła bliźnięta, syna Freiksa i córkę Helle. Oboje w równym stopniu byli następcami tronu, jednak nigdy, od najwcześniejszego dzieciństwa nie kłócili się ze sobą. Wszystko wskazywało na to, że będą rządzić planetą wspólnie. Nawet takie rzeczy były możliwe na pokojowym i bogatym Orhomanie! Stary ojciec się cieszył, że odchodząc z tego świata zostawi planetę w godnych i uczciwych rękach.

Ale właśnie wtedy przydarzyło się nieszczęście. Dobrze ludzie mówią: W starym piecu diabeł pali. Czcigodny władca zakochał się w młodziutkiej mnie, której ojcem był niejaki Kadm, i tak mocno, że porzucił żonę Nivellę. Wypędził ją z pałacu i wprowadził na dwór nową królową. A młoda królowa zienawidziła pasierbą i pasierbicę, Freiksa i Helle. Byłoby to naturalne, gdyby przyczyna nie leżała, jak się okazało, w pospolitej zazdrości. Inna była córką niejakiego Kobalita z odległej planety Delfa. Była również tajnym agentem potężnej międzyplanetarnej organizacji działającej w całej Galaktyce. Wykorzystując bardzo wysoką pozycję, kierowała rolnictwem Orhomanu i zdołała zatruć ogromne połacie obsiane ziarnami zbóż i innymi roślinami. Stosowała w tym celu najnowszą truciznę biologiczną, a ubogie technologie zacofanej planety były bezsilne w walce z taką katastrofą.

Wtedy Inna sama zaproponowała sposób walki z żywiołem. Ogłosiła, że bogowie włożyli pewnego razu sekretną wiedzę do głowy Freiksa i tam właśnie znajduje się tajemnica odtrutki zbożowej. Żeby wydobyć sekretną wiedzę, należy zastosować jedyny możliwy sposób: odrąbać głowę Freiksa, a następnie włożyć ją do tajemniczej diabelskiej maszyny, niegdyś przekazanej przez bogów ojcu Inny, a teraz należącej do niej. Orhomian tradycyjnie cechowała wielka nieufność do skomplikowanych i niezrozumiałych maszyn, dlatego nie wnikali w szczegóły planu, a zalecenia królowej Inny odczytali w następujący sposób: należy złożyć Freiksa w ofierze bogom, a wtedy bogowie przywrócą żyzność ziemiom i dobrobyt narodom Orhomanu.

Ahamanx popadł w rozpacz, ale wkrótce doszedł do wniosku, że nie zostawiono mu wyboru. Albo zginie od miecza jego ukochany syn, albo z głodu cały lud Orhomanu, równie ukochany przez władcę. Ofiara miała się dokonać podczas światowego Dnia Urodzaju i Bogactwa - najważniejszego dorocznego święta Orhomian. Naostrzono specjalny miecz,

młodziana związano mocnymi sznurami, a siostra szła w ślad za nim, nie odstępując go na krok. Modliła się, żeby i ją zabito, skoro tak się sprawy mają. Ale Ahamant nie zamierzał zabijać Helli, ponieważ co do niej bogowie niczego nie zalecili. Na razie.

Jednym słowem, zbrodnia miała być popełniona w południe, w pełnym słońcu i wobec tłumów poddanych. Dobry i kochający władcę naród oczekiwał uwolnienia od wszelkich kłopotów i powrotu do beztrudnego życia. Tylko jedna osoba na całym świecie nie wierzyła w dobre skutki złożenia ofiary Ale o osobie tej jakoś zapomniano. Dawno temu. Przecież król Ahamant, niewolnik swej żądzy, bezlitośnie wygnął prawowitą żonę z pałacu i z miasta. Nie wiedział, że Nivella opuściła również planetę. Wykorzystała do tego celu jeden z niebiańskich rydwanów bogów, którzy odwiedzali czasem krainy odległe od głównego miasta, noszącego, nawiasem mówiąc, również nazwę Orhoman. Wypędzona królowa powróciła w tajemnicy, ale akurat na czas, ponieważ wiedziała o wszystkim. Historia milczy o tym, czy była na placu w południe

Święta Urodzaju. Jedno nie ulega wątpliwości: to Nivella nastąpiła na Orhoman Olśniewającego Śruboroga z nieznanego świata, magicznego zwierza, przemierzającego niebiosy błękitne i czarne, plującego płomieniami i wprawiającego w przerażenie i zachwyt każdego, kto miał uszy i oczy.

Olśniewający Śruboróg rozwarł obszerną paszczę i wciągnął do swego wnętrza skazanego na śmierć Freiksa i jego siostrę Hellę, która nie chciała opuścić brata. Błyskawicznie umknął w obłoki nad głównym placem miasta Orhoman. Wtedy musiała ujawnić swą ohydzną naturę galaktyczna szpicłowa Inna. Z nieprawdopodobną szybkością, oczywiście korzystając z magii i czarów, wydosłała spod ziemi połyskującą łuskami olbrzymią srebrną rybę i pomknęła na niej w ślad za Olśniewającym Śruborogiem.

Mądrzy ludzie, którzy przechowywali sekretną wiedzę, pozostawioną im jeszcze przez pradziadów - pierwszych osadników, i którzy nie odeszli z Orhomanu wraz ze Zwolennikami Kontaktu, mówili Ahamantowi: "Zasmucisz się, władco, lub uradujesz, ale wiesz, że ryba nie dogoni Śruboroga, albowiem jest to niemożliwe". Mędrzy dodali, że teraz nie wrócą ani jego dzieci, ani młoda żona oszustka, wróg rodzaju ludzkiego. Ale Nivella może wrócić, Ahamant zaś powinien cierpliwie czekać na jej powrót. Może niejedyn rok, ale jeśli władcy Orhomanu, samotnemu, bez następców i żon, starczy cierpliwości i zdrowia, bogowie na starość darują mu winy i znowu będzie szczęśliwy. Władca Orhomanu zgodził się czekać.

A Freiks i Hella po dotarciu do najbliższej planety zrobili nieprzewidziany postój. Śruboróg był, oczywiście, przeszkolony przez Nivellę, to znaczy zaprogramowany na długą i tylko jej znaną trasę, ale okazał się posłusznym stworem. Wystarczyło, by Hella szarpnęła za sterczący spomiędzy jego żeber długi drąg, i połyskujące złotem cielsko skierowało się w dół. A w dole rozciągała się niezmiernie wielka wodna równina planety Dardanella. Hella nigdy w życiu nie widziała takiego ogromnego oceanu pokrywał dokładnie cały glob! A przecież w ojczyźnie uwielbiała się pluskać w morzu i świetnie pływała. "Chcę się wykąpać!" oświadczyła kapryśnie. Kochający brat nie oponował. Sam do wody nie wchodził, bał się, chociaż w zasięgu wzroku nie było żadnego niebezpieczeństwa. Ale złe przeczucia nie

opuszczały Freiksa przez cały czas, kiedy rozkoszował się widokiem pięknego ciała swojej siostry, pluskającej się w ciepłych wodach Dardanelli. Niedobre przeczucia niebawem się potwierdziły. Z ciemnoniebieskich głębin wypłynęły wesołe piękności o zielonych ciałach i tak zachwytiły HELLĘ zabawami i rozmowami, że następczyni orhomańskiego tronu nie chciała wracać do brata.

Brat, prawdę powiedziawszy, nie bardzo się tym przejął. Przecież sam nie wiedział, dokąd leci. Na pewno nie wraca na Orhoman! Matkę stracił dawno temu, ojca i lud - niedawno, ale w sytuacji dość nieprzyjemnej. Teraz przyszła kolej na siostrę. Cóż, widocznie tego chcą bogowie. Swoją los należy przyjmować z pokorą i dążyć naprzód. Tak nauczali starożytni.

"Żegnaj, Hello!" krzyknął Freiks i nakazał Olśniewającemu Śruborogowi wzbić się w niebo.

Celem jego podróży była planeta Agreasy, gdzie rządził król o dziwnym trójczłonowym imieniu Isaak Daniel Jota, albo w skrócie LD.Jota, który dobrze znał Nivellę. Freiks uznał go za całkowicie szalonego. LD. Jota nazywał siebie słońcem i uważał, że jego ojcem nie był człowiek, a tutejsze słońce. W sumie jednak okazał się dobrym starszakiem, powitał Freiksa z radością, pocieszył i nakarmił. I nie minął nawet miesiąc, jak ożenił go z najładniejszą i najmłodszą, ze swych córek, Halką. A Śruboroga zabrał i unieruchomił. Teraz już i Freiks rozumiał, że Olśniewający, mimo złotej skóry i podobieństwa orhomańskiego hipopotama, którego kły są skręcone w mocne spirale, nie jest zwierzęciem ani w ogóle istotą żywą. To tylko maszyna. Wszystko stało się do końca jasne, kiedy ze Śruboroga wyszarpano trzewia, poumieszczano je w innych mechanizmach na chwałę wielkiego Dziewiesa - pogromcy komet i zdobywcy podprzestrzeni. Poszycie, złotą skórę, bo tak ją tu nazywano, jako wielki skarb ukryto w bukszpanowym lesie i otoczono podwójnym mocnym ogrodzeniem z drutem kolczastym. Między zasieki wpuszczono wściekłego, dyszącego ogniem smoka, który nie przestawał biegać ani w dzień, ani w noc.

Jota, który naprawdę nazywał się Suleli ("głupi" w języku agreasjańskim, dlatego wstydził się swego imienia), uczynił Freiksa swym poddanym i krewnym. Dobrych stosunków mogła pozazdrościć każda inna para teść - zięć. Freiks doroślał i czuł coraz ż wyraźniej, że jego ukochana Halka (która naprawdę też miała . kaczej na imię - Halki, co oznacza "naród") bardziej niż do niego przywiązana jest do Olśniewającego Śruboroga, a dokładniej do złotej skóry. Skóra ta znajdowała się w niepojętej magicznej łączności z rodzicami Freiksa, tak z ojcem Ahamantem, synem Eola, jak i matką Nivellą, córką nie wiadomo kogo, która nie wiadomo skąd przybyła i nie wiadomo, gdzie się ukrywa. Niezłe już zorientowany w licznych sztukach i naukach rozpowszechnionych na Agreasy Freiks wysłał w tajemniczy zakodowany list w przestrzeń kosmosu. Wysłał na ślepo, zupełnie przypadkowo wykorzystując do tego celu kanał łączności specjalnej.

Szyfrogram został przyjęty i przeczytany, ale Freiks po dziś dzień czeka na odpowiedź, tak jak stary Ahamant na swą żonę, marząc o przebaczeniu za zdradę. A wiecznie młoda Hella już się nie bawi z koleżankami o zielonych piersiach. Nie może się doczekać,

kiedy Freiks zabierze ją na stary i żyzny Orhoman, skolonizowany przez legendarnego kosmicznego wilka kapitana Minię, który zaholował tam pierwszy międzygwiazdny transport "Prometheus Victoriae" na samym początku Wielkiej Epoki Galaktycznej Ekspansji.

- No i jak ci się to podoba? - zapytał Jason.

- Ładna legenda - odpowiedziała Meta, rozglądając się na boki w poszukiwaniu potencjalnego celu.

Ale las milczał, nawet nie słychać było brzęczenia owadów

- A moim zdaniem wierutne bzdury! Mieszasz jak w kastikusjańskiej sałatce, przygotowanej przez najgorszego w Galaktyce kucharza: ziemniaki są surowe, pomarańcze na odwrót, ugotowane, a zamiast kiszonych truskawek ktoś nawrzucał świeżych erydańskich ogórków.

- Nic nie rozumiem - prychnęła Meta. - Co ma do tego sałatka?

- Właśnie to!

Jason zerwał jaskrawoliliowy kwiatek i długo się w niego wpatrywał. To ci historia! Tutaj nigdy nie rosły takie kwiaty, pomyślał.

- Wszystko, co ci przeczytałem, to nie legenda, a właśnie ten zaszyfrowany przekaz, przechwycony przez Korpus Specjalny. Jeszcze wcześniej odebrał go szalony Solvitz i nie wiadomo dlaczego włączył do pakietu dokumentów oznaczonych skromnym tytułem "Dossier obywatela Galaktyki Jasona dinAlta".

- Kpisz sobie ze mnie - skrzywiła się Meta.

- Nie mam nic lepszego do roboty - Jason uśmiechnął się smutno. - Teraz, kiedy należy zakończyć wyjątkowo ważny etap wspólnego z Archiem programu doświadczeń, a ja mam pilnie zgłosić się do centrum Galaktyki, akurat jest czas na żarty i kpiny!

- Dlaczego do centrum? - zainteresowała się Meta. - Nigdy jeszcze nie bywałam w tamtych stronach.

- Berwick przypuszcza, że źródło sygnału radiowego, który przyniósł ten szyfrogram, leży gdzieś tam. Co prawda, został przechwycony jako chaotycznie błędzący impuls odbity.

- Znowu współpracujesz z tym szefem wszystkich możliwych utajnionych instytucji?

- A z kim niby mam współpracować? Kto poza nieśmiertelnym Berwickiem potrafiłby określić z taką precyzją, kiedy rozegrały się wydarzenia opisane w tej za przeproszeniem legendzie?

- No więc kiedy? Dokładnie pięć tysięcy lat temu? Akurat wtedy Ziemianie kończyli budowę naszego wspaniałego okrętu.

- Nie zgadłaś. Jakies dwadzieścia lat temu, a może nawet mniej. Tak więc wszyscy uczestnicy tej historii, nawet zwykli śmiertelnicy, powinni być jeszcze żywi.

- Co? - Meta już nie pytała Jasona, czy kpi, po prostu wpatrywała się w niego szeroko

otwartymi, pięknymi oczami.

- W tym właśnie cały problem. Nie pchałbym się do ekspedycji archeologicznej. Ale tu sprawa wygląda poważnie. Solvitz nie łączył informacji w pliki przypadkowo. Skoro umieścił ją w tym, to znaczy, że dziwacy z Agreeasy lub z Orhomana mają bezpośredni związek ze mną.

- A kiedy chcesz lecieć?

- Jutro.

- Fajnie!

- Dlatego postanowiłem dzisiaj przespacerować się z tobą po lesie, po tych pięknych łąkach, żeby w podróży było co wspominać.

- Tyś chyba zwariował, Jasonie dinAlt! Po pierwsze, lecę z tobą i nawet nie mam zamiaru pytać cię o zgodę. A po drugie. . . No masz, zaraziłeś mnie tym "po pierwsze, po drugie". Zapomniałeś, po co tu jesteśmy? Spacer po łące! Jesteśmy na Pyrrusie, Jasonie! To Planeta Śmierci. Jeszcze z nią nie wygraliśmy.

- Ale chyba wiadomo już, że teraz nie ma do czego strzelać.

- No to dlaczego właśnie o tym miejscu Brucco napisał w swoich, przedśmiertnych jak sądził, zapiskach: "Zauważyłem coś zasadniczo nowego, zwyczajna broń jest tu bezsilna. . ." A potem jak zwykle nie potrafił sobie przypomnieć, co miał na myśli, i teraz twierdzi, że majaczył. Wierzysz w takie majaki?

- Nie wierzę - przyznał Jason. - Ale dopuszczam taką możliwość. Wyczuwasz różnicę?

- Byłeś i pozostałeś demagogiem! Lepiej rozglądaj się uważnie, podróżniku do centrum Galaktyki!

- Po co mam się rozglądać? Który to już raz łazimy po tym rajskim zakątku? Usiadźmy. Odpocznijmy.

Przysiedli na powalonym drzewie. Jason oświadczył pytająco:

- Zapalę.

- Proszę bardzo - odpowiedziała Meta niechętnie.

- Dobra - powiedział Jason, zapalając mimo wszystko. Skoro już lecimy razem, powiedz mi, co o tym sądzisz. Do czego jestem potrzebny im wszystkim: Solvitzowi, Berwickowi, a teraz na dodatek jakimś władcom z centrum Galaktyki? Co ja takiego narobiłem? Jak myślisz?

- A co tu myśleć? - Meta wystartowała do problemu z pyrrusańską prostotą. - Solvitz i Berwick potrzebowali twego umysłu, ale nie oddałam go pierwszemu i nie oddam drugiemu. A co do władców. . . Szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiem. Jakoś dziwnie jest napisany ten cały szyfrogram! Jakbym czytała jakąś starą książkę, ale nie tylko, bo co jakiś czas wtrącają się komentarze współczesnych. . . nie wiem, dzieci nie dzieci, studentów czy co. . .

- Właśnie tak powiedziałem, kastikusjańska sałatka! Analiza lingwistyczna wskazuje, że źródło było pisane w starogreckim, w eter wysłano tekst przełożony na agreasjański, a po odbiorze rozkodowano w interlingwie, ale poprzez esperanto, ponieważ Solvitz najpierw uznał ten przekaz za stary imperialny szyfrogram. Po tylu przekładach styl narracji, oczywiście, musiał ucierpieć. Ale gorzej z sensem: w opowieści o Freiksie i złotej skórze zdania rzeczywiście są jakieś niewydarzone. No, bo na przykład, czy Freiks, wysyłając kodopis, mógł sam o sobie opowiadać w trzeciej osobie i na dodatek opisywać w czasie przeszłym, jak ten szyfrogram Przyjęto?! Zastanów się. . .

Meta nagle się poderwała, odskoczyła w bok i wystrzeliła trzykrotnie. Potem głośno krzyknęła z bólu czy zaskoczenia. Jason skoczył jej na pomoc, ale jego wsparcie ogniowe nie było już potrzebne. Zwęglony stwór leżący na trawie nie zagrażał nikomu. To była świeża, ale już dobrze poznana mutacja, połączenie latającego kolcolota z pełzającym jeżem - kolcomiotem. Meta pochyliła się i wpatrywała w lewą goleń.

- Co się stało? - zapytał Jason. - Jesteś ranna?

- Drobiazg - odpowiedziała nie wiadomo dlaczego szeptem. - Nic nie widać, tylko mocno boli. Kolcomiot tak nie działa. . .

Jason przykucnął. Rzeczywiście, to nie robota kolcomiota. Z nogi Mety, tuż pod kolanem, sterczała bardzo cienka i niewątpliwie metalowa igła.

Odlatywali z dżungli podczas deszczu. Cichy i jasny wieczór jak zwykle szybko przechodził w burzliwą noc, a w chwili ciszy między uderzeniami piorunów słychać było głuche warczenie odległych wulkanów. Archipelag, w którego centrum Pyrrusanie swego czasu urządzili sławetny wybuch jądrowy, usiłując zniszczyć wroga raz na zawsze, uległ zatopieniu. Sejsmiczna aktywność na planecie obniżyła się, a w Otwartym tylko z rzadka odczuwało się słabe podziemne wstrząsy. W końcu miejsce na miasto wybrano nieprzypadkowo.

Wściekle uderzenia wiatru ciskały całe rzeki wody na osłonę uniwersalnego czółna, a ocierające się niemal o korpus błyskawice zbijały z pantałyku nawet autopilota. Jason zaczął się zastanawiać, czy i nieożywiona materia Planety Śmierci nie zwróciła się przeciwko nim. Na tę myśl naprowadziła go ostatnia, niewesoła przygoda. Wyjął igłę z nogi Mety i schował do plastikowego pojemnika, by uważnie zbadać w laboratorium. Tak samo postąpił z podsmażonym zewłokiem kolcomiota - wpakował do hermetycznie zamykanego worka. Ale dziwny ból w zranionej nodze nie ustawał, chociaż Meta zaaplikowała sobie całą serię odpowiednich zastrzyków. Na dodatek jej organizm odznaczał się większą odpornością dzięki Solvitzowi, który ją unieśmiertelnił. Niemniej noga zaczęła puchnąć.

To coś zupełnie nowego. Nasze zwykłe środki są bezsilne, kołatały się w głowie Jasona straszliwe słowa, wypowiedziane niegdyś przez Brucco. Stary lekarz i biolog nie tylko zapisał swoje "majaczenie", ale przy pomocy Naxy wysłał je w eter. Komunikat dotarł na planetę Felicity i wielu Pyrrusan świetnie pamiętało nadzwyczajne wezwanie, krzyk rozpacz, który przemierzył całą Galaktykę. Niemal w komplecie rzucili się wówczas na pomoc. Ale się

spóźnili. Wszystkich, którzy ocalili, trzeba było zabrać ze zniszczonego miasta na Felicity

A potem Pyrrusanie wrócili, by rozpocząć nowy bój. ~ po kilku latach udało im się wiele osiągnąć. Po raz pierwszy od czasu kolonizacji dzikiego i nieujarzmionego Pyrrusa liczba ludności planety zaczęła wzrastać. Mieszkańcy nie bali się już zainteresowania własną historią, wszystkie stare tabu przestały obowiązywać, odchodził w zapomnienie nawet nienaturalny, ale funkcjonujący w przeszłości podział na "blacharzy", "karczowników" i obcych. Wysiłki Jasona doprowadziły zaś do tego, że Pyrrusanie podjęli nieśmiałą, ale jednak szczerą próbę ustanowienia prawdziwego kontaktu z globem. Zamiast zbrojnej neutralności i czasowych zawieszek broni nadszedł czas poszukiwania wzajemnego porozumienia.

Natchniony tymi zmianami i kolejnym zwycięstwem nad asteroidą doktora Solvitza, Jason zapalił się do możliwości rozwiązania zagadki źródeł trzechsetletniej tragedii Pyrrusa. A Jego nowy przyjaciel ze światów Zielonej Gałęzi, astrofizyk Archie, który przybył tu z Uctisa, wysunął chyba z dziesięć hipotez i bardzo pomógł Jasonowi w badaniach. Wielki naukowy program, opracowany przez najlepszych specjalistów Galaktyki, realizowany był może bez pośpiechu, ale przynosił świetne wyniki.

No i nagle, jak to zwykle bywa, kilka rzeczy zważyło się jednocześnie: szalony szyfrogram przysłany przez Berwicka w jego wspaniałym stylu i na wymyślnym holoblanckie Korpusu Specjalnego; złowroga szpila o nieznanym pochodzeniu i działaniu; gwałtowne pogorszenie pogody... Co jeszcze ich czeka? Jason miał pewne przeczucia. Niedobre. A jego szósty zmysł espra był równie niezawodny jak pozostałe.

Meta się nie skarżyła, gdy Jason wziął ją na ręce i biegiem pokonywał odcinek od lądowiska do szpitalnego wejścia, zgrzytała tylko zębami. W drzwiach szpitala sławną Pyrrusankę od razu ułożyło na noszach trzech uprzedzonych zawczasu i przygotowanych medyków. Meta chwilę wcześniej chciała iść o własnych siłach i tylko jej oczy, już nie błękitne, a czarne z powodu rozszerzonych źrenic, zdradzały, jak silny jest ból pomimo zastosowania wszystkich możliwych środków przeciwbólowych o miejscowym i ogólnym działaniu.

Teca, najlepszy chirurg planety, osobiście kierował operacją. Asystował mu doświadczony Brucco. Otworzyli opuchliznę i szybko dotarli do sedna. Nie była to zwykła igła, ponieważ miała "głowicę bojową". Tak ją nazwał Brucco po dokładnym zbadaniu obu części: "nośnika", który dostarczył Jason, i właściwej głowicy - mikroskopijnego, ale potężnego generatora magnetycznego, wnikającego w strukturę ludzkiego organizmu na poziomie nie komórkowym ani nawet subkomórkowym, a molekularnym. Oto dlaczego doraźnie żadne antybiotyki i inne leki nie zniwelowały działania tej miniaturowej maszyny piekielnej.

Kiedy generator usunięto, Meta natychmiast poczuła się lepiej. Noga zaczęła się goić wyraźnie szybciej niż u normalnego człowieka, więcej nawet - szybciej niż u przeciętnego Pyrrusana. Brucco i Teca już wcześniej poznali tę cechę szczególną, rozwiniętą na asteroidzie Solvitza, i nie dziwili się szybkiemu powrotowi do zdrowia. Jednakże nawet oni nie mieli odwagi uznać za pewnik hipotezy o stuprocentowym odtwarzaniu żywej tkanki, to

znaczy nieśmiertelności, którą wynalazł szalony doktor i o której, zgodnie z umową z Reveredem Berwickiem, Jason, Meta i Kerk nie mówili nikomu. Poza Rhesem, oczywiście, który stał się członkiem tajnego stowarzyszenia znacznie wcześniej.

Meta spała w separacie. Jason wszedł do sali operacyjnej i zapytał Brucco, który nie zdążył jeszcze zdjąć rękawiczek i otrzeć potu z czoła:

- Powiedz mi, czy to jest to?

Wszyscy wyżsi przywódcy Pymisan wiedzieli o odkryciu dokonany przez lekarzy, ponieważ śledzili przebieg operacji za pośrednictwem visifonów; Teca dodatkowo komentował szczegóły.

- Niezupełnie - odpowiedział Brucco - ale w zasadzie owszem. Tak czy inaczej, udało mi się odtworzyć z pamięci tamtejszy koszmar Fantastyczny widok tej igły uruchomił widocznie jakieś fragmenty mojego umysłu, objęte od tamtej pory amnezji Teraz dokładnie sobie przypomniałem, że wcale nie majaczyłem. Wiesz, co widziałem? Wysłuchaj mnie. Ale najpierw daj mi papierosa.

- Pyrrusanin chce palić? - Jason nie wierzył własnym uszom. - To coś zupełnie nowego!

- Każdy dzień przynosi coś nowego - filozoficznie zauważył Brucco, zapalając papierosa gestem zawziętego i doświadczonego palacza. - A ja jestem bardzo starym Pyrrusaninem i na dodatek chirurgiem. Nikotyna znakomicie uspokaja. Mówię ci to jako lekarz. Ale nie o tym miałem mówić! - przypomniał sobie. - Posłuchaj więc, co wtedy widziałem. Kilku naszych ludzi zginęło od strzałów z pistoletów. Wiesz, co się dzieje podczas zamieszania bitewnego: rykoszety, strzały panu Bogu w okno i nawet strzały do swoich! Nikogo to nie dziwiło. Wcześniej na mój stół operacyjny też trafiali tacy ranni. Ale tu miałem trzy trafienia pod rząd i wszystkie trzy dokładnie w serce. Pomyślałem nawet, że wśród nas pojawił się szaleniec albo zdrajca, ale zacząłem się przyglądać strzelcom i zobaczyłem nagle, jak stary, doświadczony Wong oddaje strzał dokładnie do szarżującego rogonosa, a pocisk wraca i zabija - zabija! - mojego najlepszego przyjaciela! Dziesięć sekund później zostałem ogłuszony przez wybuch i pogrzebany pod fragmentami wieży obserwacyjnej. Zbawczymi fragmentami, jak się okazało...

Brucco zamilkł.

- Wszystko to właśnie teraz sobie przypomniałem. Rozumiesz, Jasonie, one już wtedy potrafiły zatrzymać Poci i kierować je z powrotem do punktu wyjściowego. Oczywiście nie wszystkie, inaczej załatwiłyby nas od razu. Ale najwidoczniej kiedy siła nienawiści przekracza jakąś granicę, telepatyczne pole nabiera cech powierzchni odbijającej.

- A w czym widzisz analogię do dzisiejszego przypadku? zapytał Jason.

- W tym, że one, w ten czy inny sposób, zaczęły stosować naszą technikę. Najpierw pociski po prostu wracały, teraz mamy następny etap. Z naszych metali nauczyły się robić własną broń.

- Ależ to nieprawdopodobne! - zawołał Jason. - Może to jednak nie zwierzęta? Może po prostu jakaś inna, rozumna siła działa po ich stronie.

- Nad rozumną siłą można się zastanowić - wojowniczo zmrużył oczy Brucco, pakując do kabury pistolet, który zdążył się już pojawić w jego dłoni. - Ale to i tak są zwierzęta, Jasonie. Gdy Teca przygotowywał Metę do operacji, ja zdążyłem zbadać waszego pieczonego języka. Widzisz? Miał w zapasie jeszcze trzy takie śmiertelne pociski.

- Przecież żywy organizm nie może mieć organu wykonanego z metalu? - rozpaczliwie nie poddawał się Jason.

- Nie może - uśmiechnął się ze smutkiem Brucco. - Ale ten ma.

Nad salą operacyjną zawisła pełna napięcia cisza. Słysząc było plusk wody w umywalce - Teca mył ręce. Z ulicy dobiegała cicha, przyjemna muzyka.

Oto znak nowych czasów na Pyrrusie, pomyślał Jason. Poważni wojownicy Planety Śmierci pokochali muzykę, a niektórzy nawet deklamują wiersze i wieszają obrazy w swoich domach.

- I co teraz? - zapytał głośno. - Znowu przegrywamy? Charakterystyczny odgłos wskakującego w dłoń pistoletu rozległ się z dwóch stron: Teca i Brucco zareagowali identycznie i synchronicznie. Wilka zawsze ciągnie do lasu! Można wychowywać Pyrrusan całymi latami, a oni pozostaną Pyrrusanami, nie warto więc było głośno ich obrażać. Ale napięte nerwy Jasona sprawiły, że przestał się kontrolować. Na szczęście obeszło się bez strzelaniny, a skończyło tylko na napiętych mięśniach i gniewnych błyskach oczu. W końcu Jason przyznał:

- Nie widzę na razie radnego satysfakcjonującego rozwiązania. Planeta Pyrrus jest wciąż o krok przed nami.

- Rozumiem cię, Jasonie - mruknął Brucco, jakby otwieranie ust sprawiało mu trudności. - Ja też nie znam odpowiedzi. Na razie. Ale sądzę, że należy pogadać z Kerkiem i Rhesem. Meta też powinna się Przydać. Poczekajmy, aż się ocknie i powie, co o tym sądzi.

- Masz rację. - Jason nie znalazł innej odpowiedzi.

On, inicjator pierwszych pokojowych działań na Pyrrusie, boleśnie odczuwał upadek planów tworzonych z ogromnym zaangażowaniem. Upadek w chwili, kiedy na ulicach zaczyna się słyszeć muzykę, gdy gwałtownie spadła śmiertelność wśród dzieci i śmiertelność w ogóle, kiedy przeważająca liczba małych Pyrrusan zaczęła wreszcie osiągać wiek dojrzały i po ludzku marzyć o wyprawach w kosmos. Właśnie teraz ktoś czy też coś zadaje tak potężny i podły cios!

Obrazy nie przypominały typowej pięciominutowki w dużej fabryce. Była to raczej nadzwyczajna narada wojenna w chwili krótkiej i rzadkiej Przerwy między dwoma rozpaczliwymi atakami. Nikt nie wiedział, co jeszcze zrobić. Badać, walczyć i, jeśli trzeba, umrzeć - tak krótko i ponuro można by podsumować pierwszą serię wypowiedzi. Drugą serię zapoczątkował, o dziwo, Kerk.

- Wydaje mi się, że nastał moment, kiedy wszyscy musimy opuścić planetę Pyrrus, co do jednego. Wycofanie się jako taktyczny krok już kiedyś zastosowaliśmy Ale wtedy został tu Naxa i jego ludzie. To był błąd. Teraz powinniśmy przeprowadzić klinicznie czysty eksperyment: Pyrrus bez ludzi. Tym bardziej że mamy dokąd się wycofać. Przeszaną powstawać mutacje bojowych organizmów, a one same w końcu wyginą. Wtedy wrócimy.

Odpowiedziało mu milczenie. Wszyscy byli oszołomieni. Po chwili odezwał się Rhes:

- Nie zgadzam się. Nie powinniśmy wszyscy stąd odchodzić. To będzie całkowita i definitywna kapitulacja. Nie miejmy złudzeń, to nie spryt, a głupota. Nawet nieuzbrojony człowiek może się przeciwstawić tutejszej przyrodzie, a pozostawiając samym sobie niezrozumiałą florę i faunę, zgadzam się, dziś niewątpliwie groźne, ryzykujemy, że własnoręcznie zmienimy planetę Pyrrus w odpowiednik asteroidy Solvitza. Tylko o kilka numerów większy. Wrogie ludziom stwory zapelnia powierzchnię, stworzą pole siłowe i już nigdy żaden człowiek nie będzie mógł tu wrócić. Nikt nie wie, ile czasu będą na to potrzebowały, nie wiadomo też, czy mogą zagrozić innym światom. Ale na pewno ryzyko jest ogromne. Zapewniam was.

Dziwne, ale w toku dyskusji Kerk i Rhes jakby się zamienili rolami! Jasona to przygnębiło. Pozostałych chyba też, ale starali się nie okazywać emocji i zapewne dlatego unikali patrzenia sobie w oczy. Drugi po Jasonie obcy na tym globie, Archie, dopuszczony do świątyni planety Pyrrus, czyli gabinetu Kerka, i to podczas tak ważnej narady, milczał. Rozumiał, że każda nieostrożna wypowiedź może być jego ostatnią w tym pomieszczeniu. I dobrze, jeśli się skończy na wyrzuceniu za drzwi.

W końcu Jason spróbował wyrazić swoją opinię, podsumowując wszystko, co usłyszał w ciągu ostatniej godziny:

- Nie możemy, rzecz jasna, porzucić planety, ale środki ostrożności powinny zostać nie podwojone czy potrojone, ale zdziesięciokrotnione. Nie należy zamykać programu badań naukowych, a wręcz przeciwnie, przyspieszyć jego realizację. Nowe dane ułatwią zrozumienie procesów, jakie zachodzą na Pyrrusie. Nie chcę was pocieszać, to prawda. I na koniec...

Jason czuł, że wygłasza banalne i niepotrzebne słowa. Oczywiście, starał się zyskać na czasie! Jeszcze nie wymyślił, jak wyjaśnić przyjaciołom konieczność odlotu w okresie tak trudnym dla planety. Sam rozumiał, że tam, gdzieś w centrum Galaktyki, gdzie czekają nieznanne dziwy i cuda, przyjdzie mu rozwiązywać wciąż te same problemy Pyrrusa. A on potrafi podejść do nich z nowego, nieoczekiwanego punktu widzenia. Ale problemów Planety Śmierci nie można inaczej rozwiązać. I nie ma sensu tu sterczeć i bezmyślnie hołubić wersji o zawleczonej przez Solvitza na Pyrrus "energii zła". Nie ma też sensu "leczenie" planety za pomocą najnowszej teorii medycznej Archiego: telepatyczna więź między pyrrusańskimi organizmami to zwyczajna choroba zakaźna, więc sprawa jest prosta - należy postawić diagnozę i zaordynować leczenie. Wszystko to nie ma sensu. Jason dinAlt czuł, że potrzebny jest mocny impuls z zewnątrz.

Ale jak wyjaśnić to prostolinijnym Pyrrusanom, oczekującym od niego dzisiaj, teraz szybkiej i prawidłowej odpowiedzi na wszystkie pytania?

- I na koniec - ciągnął Jason - powinniśmy wypróbować na wystarczająco dużym obszarze metodą kriogeniczną. Tak, to drugi sposób. Wiem, że polega na odsunięciu, problemu, a nie na jego rozwiązaniu. Ryzykujemy, że zmienimy klimat globu, ale przecież chodzi o zamrażanie najaktywniejszych punktów...

Metoda kriogeniczna to jedna z bardziej racjonalnych, ale już dawno temu przedyskutowanych i odrzuconych metod. Jason zamierzał powiedzieć coś innego. Ale nie zdążył.

Zbawczy sygnał alarmowego wezwania przerwał naradę, która, choć trwała zaledwie dziesięć minut, znużyła wszystkich niczym wielogodzinna dysputa.

Alarmowe wezwanie Jasona dinAlta było związane z niezaplanowanym lądowaniem w kosmoporcie gościa z innej planety, który - według danych od dyspozytorów - wynurzył się z podprzestrzeni niebezpiecznie blisko globu. Wezwanie pojawiło się w dobrym momencie. Uwolniło wszystkich od przykrego poczucia bezradności.

Gość, nie zwracając uwagi na ostrzeżenia pracowników kosmoportu i nie wdając się z nimi w długie dyskusje, usadowił swój lekki statek na niewielkim wolnym placu w cieniu olbrzymiego "Argo". Krążownik od dwu tygodni stał w porcie, odbywając generalny przegląd. Plac startowy w tym czasie, a była głęboka noc, wypełniały wszelkie potwory, zgoła niesympatyczne. Cała ta hałastra jednocześnie uniosła zębate pyski, skóroszponiaste skrzydła i drapieżne macki z przyssawkami, szczególnie przyjemne dla oka w martwym świetle pyrrusańskich księżyców Przybysz miał na sobie skafander ochronny najnowszej generacji. Spokojnie otworzył drzwi i pomaszerował do wspaniałego, niedawno zbudowanego budynku kosmoportu. Sprawiał wrażenie, że miotające się dokoła stwory zna od dziecka, jak jakiś pyrrusański "mówca". Bezokie paskudztwa również chyba wyczuły swego, uszanowały jego odwagę i nie rzucały się ani na człowieka w skafandrze, ani na statek jeszcze ciepły po przejściu przez gęste warstwy atmosfery

Jason dojechał do kosmoportu przez podziemny łącznik, po którym specjalne kapsuły, wykorzystujące nową, grawitonową technikę, pędziły z prędkością kosmicznych czółen. Został osobiście wywołany i chciał pierwszy zobaczyć, kto właściwie przyleciał. To mogło być bardzo ważne. Szczególnie jeśli wiązało się z jego niedobrymi przeczuciami.

Przybysz odrzucił hełm, odpiął rękawicę z metaloplastu i starym gestem, przyjętym na większości planet, podał obnażoną dłoń. Miał zarośniętą twarz i gęstą brodę, może dlatego Jason nie od razu rozpoznał przyjaciela dzieciństwa i mlecznego brata. Ostatni raz widzieli się na Planecie Stowera ze dwadzieścia lat temu.

- Action! - krzyknął.

- Co, nie jestem podobny? - uśmiechnął się tamten. - No, witaj.

I od razu przystąpił do rzeczy:

- Maria, nasza mama, kazała ci powiedzieć, że umiera, i przed śmiercią bardzo by chciała cię zobaczyć. Dlatego tu przyleciałem. Mam nadzieję, że jej nie zawiedziesz?

- Nie zawiodę. Oczywiście, że lecę z tobą.

Kerk i Rhes stali już w tym momencie za jego plecami. Jason obejrzał się z miną winowajcy. Kerk w milczeniu skinął głową. ("Leć, Jasonie! Któż mógłby ci przeszkodzić?") Ale siwowłosa olbrzym myślał przy tym tylko o Pyrrusie. Jason zaś jakby zapomniał o Planecie Śmierci.

Stało się. Jeszcze jeden nieprzewidziany czynnik. Wszystko naraz. Chyba tak być musi. Podróż do centrum Galaktyki trzeba będzie rozpocząć od przedmieść cywilizacji, od peryferyjnego świata, który nazywa się Porgorstorsaaand. Planetą dzieciństwa. Jason nigdy nie zamierzał tam wrócić. A teraz nagle poczuł, że chce.

- Polecę z tobą - oświadczyła rano Meta. - Przecież mówiłam, że już cię nie opuszczę. Ja nie rzucam słów na wiatr.

- A co z twoją nogą?

- Wyleczy się po drodze.

- Meto, nie trzeba. Szybko wrócę. Wtedy polecimy razem. A teraz. . . to zupełnie inna sprawa.

- Nie, to jest taka sama sprawa. Jeśli lecimy, to tylko razem.

- Nie rozumiem dlaczego. Zamieszałem wziąć twój "Temuchina", żeby szybciej wrócić...

- Nie - powiedziała Meta. - Polecimy na "Argo".

- Argo?! - zdziwił się Jason. - We dwoje takim kolosem?

- Czuję, że tak trzeba, Jasonie! Uwierz w moje przecucia.

- Stop - odrzekł. - Po tym wszystkim, co się nam przydarzyło, z dużym szacunkiem odnoszę się do twych przecuć. Ale teraz cię oszukuj

Meta w mgnieniu oka napięła mięśnie. Pyrrusanka wzięła w niej górę nad kochającą kobietą: usiłowano ją obrazić.

- Meto. - Jason delikatnie pogłaskał ją po rękę, choć ryzykował, że zastosuje jakiś bolesny chwyt albo coś w tym guście. Nie chcę powiedzieć, że mylisz się całkowicie. Po prostu nieco wyprzedzasz wydarzenia. Do centrum Galaktyki na pewno warto polecieć na "Argo", z pełną obsadą. Ale teraz, kiedy sytuacja jest tak napięta, nie możemy zostawić Pyrrusan bez ich najpotężniejszego statku. Czyżbyś przestała myśleć o ojczystej planecie?

Meta patrzyła na niego dziwnie, jakby wolno otrząsała się z jakiegoś uroku.

- Masz rację, Jasonie. Polecimy "Temuchinem".

Porgorstorsaaand jest trzecią planetą w układzie Alfy Słonia, żółtego karła o klasie

spektralnej G2 średniej jasności. Zawartość tlenu w atmosferze, składającej się przede wszystkim z azotu - dziewiętnaście i osiem dziesiątych procent, oceany zajmują trzy czwarte powierzchni globu, kąt nachylenia osi do płaszczyzny ekliptyki - dwadzieścia trzy stopnie i dwadzieścia pięć minut..."

Jason czytał te informacje i dziwił się. Wcześniej nawet nie podejrzewał, że jego ojczysta planeta jest jedną z najbardziej podobnych do starożytnej Ziemi w całej Galaktyce. Z ciekawości zaczął porównywać inne dane i przekonał się, że różnica w niczym nie przekracza nawet jednego procenta, a kąt nachylenia osi zgadzał się co do minuty. Dlatego również strefy klimatyczne rozmieszczone były na Porgorze tak jak ziemskie. To znaczy tak jak na Ziemi w zamierzchłej przeszłości, w czasach rąkowania cywilizacji.

Oczywiście, nie należało nazywać planety wulgarnym skrótem "Porgor", ale kto w duchu będzie wymawiał całe to nienaturalne nagromadzenie dźwięków!

Nawiasem mówiąc, Wielki Katalog Galaktyczny nie wspominał o pochodzeniu nazwy planety i Jason, dosłownie palnąwszy się w czoło, przypomniał sobie, w jakich źródłach należy szukać poważnych danych o ojczystej planecie: Porgorstorsaaand musi figurować przynajmniej w dwóch plikach wyniesionych przez niego z biblioteki Solvitz: w historii pierwszego etapu Galaktycznej Ekspansji i w jego osobistym dossier.

Już na Pyrrusie Jason przeniósł wszystkie mogące się przydać materiały na poręczniejsze w użyciu mikrodiski i zabrał je w podróż. W trakcie pracy nad globalnym programem zbadania Planety Śmierci, choć mogło się to wydawać dziwne, poznał niewielką część danych wyniesionych z asteroidy Solvitz. Po pierwsze, nie było czasu na przeglądanie wszystkiego zawsze wyskakiwało coś ważniejszego. A po drugie, wielu plików nie dało się odczytać. Potrzebny był dodatkowy klucz, specjalne deszyfrowanie, a on ciągle nie miał czasu na poważne zajęcie się tym.

No to co! - myślał teraz. Po co miałbym taszczyć ze sobą w krótką delegację na przykład technologiczne schematy taśmowej produkcji androidów szesnastego pokolenia? Ale dane podstawowe się przydadzą. O sobie też mogę poczytać podczas lotu.

Solvitz, trzeba mu to przyznać, miał bardzo ciekawe informacje.

Porgorstorsaaand był jednym ze starszych światów opanowanych przez człowieka już na pierwszym etapie kosmicznej ekspansji. Pewnie - taka zbieżność z ziemskimi parametrami!

Pierwszymi kolonizatorami Alfy Słonia III byli rosyjscy kosmonauci. Później międzygwiazdny transporter dostarczył na planetę wielonarodowościową grupę, ale odkrywcy na pewno pochodzili z Rosji. Ten fakt, nie wiadomo dlaczego wyraźnie bardzo intrygujący Solvitz, był doskonale udokumentowany.

Z późniejszej historii planety wypadły bardzo istotne fragmenty, dlatego astrolingwiści nie byli pewni etymologii jej nazwy. Istniały cztery wersje podstawowe i tylko jedna łączyła nie normalnie długą nazwę globu z językiem staroangielskim, 1 najbardziej rozpowszechnionym wśród ludności Ziemi przed jej rozproszeniem w przestrzeni kosmicznej.

Pore gore store sared mogło znaczyć "zakrwawiona szczelina w magazynie piasku" lub "piaszczysta obfitość krwawej dziury", co trochę pasowało do specyfiki pierwszych eksploracji i krwawych walk o ich wyniki. Na planecie odkryto metaliczne Piaski z samorodkami rzadkich pierwiastków z grupy Platynowców. Jednakże szyk słów nazwy wywoływał rozpacz specjalistów, podobnie jak samo słowo gore, bardzo archaiczne nawet jak na tamte czasy i nadmiernie poetyckie. Dokładny przekład według tego schematu brzmiałby nienaturalnie i pompatycznie: "dziury krwawej skład piaszczysty".

Druga wersja zakładała, że angielskie słowo stor mocno się zakorzeniło w rosyjskim w czasach kolonizacji globu i oznaczało uniwersalny magazyn ogólnego przeznaczenia. Eufemizm ten ukrywał specyficznie wojskową informację. Takim właśnie magazynem był ów świat na przedmieściach cywilizacji. Każdy system gwiazdny usiłował się odgrodzić od innych za pomocą współczesnej broni. Porgorstorsaaand w takim układzie tłumaczyło się "Port - gród - stor strategicznej awiacji i artylerii naziemnej dyslokacji". Taka toponimiczna hipoteza była bardzo przekonująca, ale jednocześnie rozpaczliwie banalna.

Istniała również trzecia wersja, odsyłająca historyków do późniejszego okresu w rozwoju planety. Wtedy Porgor, jedna z forpoczł galaktycznej cywilizacji, nieoczekiwanie stał się burdelem na skalę wszechświata, podobnie jak wyspa Kuba na Starej Ziemi. Okres ten trwał niedługo. W wyniku kolejnego wojskowego przewrotu niejaki Saand - właściciel ekstrawaganckiego i lokalu o gabarytach małej planety - został obalony i wypędzony (według innej wersji ukrzyżowany), ale jego następcy długo bronili się jawnie, a jeszcze dłuższy czas - w podziemiu. Oni to, podobno uważając, że nie powinno się w łatwy sposób rozwiązywać trudnych problemów, nadali planecie nazwę: Pornograficzna Gorliwość Stronników Saanda.

Ale najbardziej przypadła Jasonowi do gustu hipoteza niejakiego Pietrowa, badacza, który odnalazł dziennik pokładowy pierwszego międzygwiazdowego statku, jaki wylądował na Porgorstorsaaand. Niestety, dziennik się nie zachował i pozostawało tylko uwierzyć panu Pietrowowi na słowo. W tym czasie weszły do powszechnego użytku termonoże - uniwersalne dwustronne przybory tnące, pozwalające bez przełączania wykorzystywać zarówno gorące jak i zimne ostrze, w zależności od specyfiki materiału. Służąc jako uniwersalne narzędzie i jednocześnie broń, termonoże oczywiście były wykorzystywane również do otwierania puszek i do robienia kanapek. Tego typu niezgodne z instrukcją działania czasem kończyły się smutno, o czym stojący na wachcie członek załogi, zdaniem pana Pietrowa, informował swojego zmiennika. W dzienniku pokładowym zachowały się plamki krwi, która wypłynęła z rany. Pechowy wachtowy zranił się w palec, przygotowując sobie śniadanie. Zdenerwowany, spiesząc się, skracając słowa i marszcząc się z bólu, pomylił rubrykę WYDARZENIA z rubryką NOWO ODKRYTE ŚWIATY i zapisał: "Por. gor. stron. S.A.And", co znaczyło: "Porznąłem się gorącą stroną Sergiusz Aleksandrowicz Andriejew". Potem skaner mechanicznie wczytał notatkę i głupia nazwa pozostała w pamięci wszystkich komputerów na wieki wieków.

Jason nie zagłębiał się więcej w heroiczne i romantyczne czasy Saandu. (Podobał mu się taki skrót nazwy ojczyznej Planety. Może to Sergiusz Andriejew został słynnym Saandem?) Okres ten cechowały niezliczone wojny, a kolejność dojścia do władzy królów,

prezydentów i sekretarzy generalnych podejrzanego autoramentu podważała wiarygodność. Jason przeskoczył całe to tysiącletnie szaleństwo i postanowił przyjrzeć się dokładniej czasom, kiedy pojawił się na świecie. Wtedy się okazało, że data jego urodzin nigdzie nie została odnotowana, czyli zna ją z dokładnością do dwóch lat. To ci historia! Zresztą, co się dziwić - po prostu odzwyczaił się od obyczajów swego świata.

Na Saandzie życie płynęło już któryś z kolei wiek spokojnie, miarowo i monotonnie, a farmerów, do których zaliczała się rodzina Jasona, nie interesowały pojęcia związane z kategorią czasu. Co za różnica, ile lat i zim obrabiasz tę ziemię i hodujesz bydło? Najważniejsze, że twoje dzieci są syte, mają wnuki, przejmują praktyczne wiadomości i nawyki ojców i nie łamią żadnych praw. Najważniejszym zaś prawem na tej planecie było od wieków jedno - nie pchać nosa w cudze sprawy.

Populacja dzieliła się na cztery warstwy: arystokracja, wojsko, farmerzy i mędrcy. Wyższe korzystały z usług niższych, praktycznie nic nie dając w zamian - tak było ustanowione i tego święcie przestrzegano. A ostatnią, wzgardzoną przez wszystkich warstwę stanowili mędrcy, uważani za odszczepieńców i wyrodków. Część z nich rozprawiała o mutacjach i genetyce, inni o pospolitej chorobie zakaźnej, jaką był trąd, ale tak czy inaczej sama myśl o kontaktach z nimi była wstrętna zarówno farmerom, jak i arystokratom. Mędrcy żyli w całkowitej izolacji pośród lasów i w jaskiniach.

Ojciec i matka Jasona wykształcili w chłopcu wiele praktycznych nawyków, ale, zgodnie z prawem, starannie strzegli przed wiedzą. Dopiero gdy miał piętnaście lat, ukraść arystokratce swoją pierwszą książkę, z której nauczył się czytać. Od tego się wszystko zaczęło. Jason już wcześniej wiedział, że w Galaktyce są inne zamieszkane planety, ale dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że różnią się między sobą. I zapragnął się wyrwać z Saandu za wszelką cenę. Nieważne dokąd. Byle dalej od tej ponurej, zabitej deskami dziury.

Uciekł po trzech latach, jeśli liczyć czas od powstania marzenia. Musiał złamać wszelkie możliwe prawa. Okłamał i porzucił starych rodziców, młodsze siostry i braci. Obezwładnił porządną farmerską pałą żołnierza, żeby zdobyć pistolet, a rękonożem ogłuszył przedstawiciela arystokracji, by zagarnąć jego ubranie. To był warunek przedostania się na pokład statku floty Ligi Światów, a nie na czółenka o miejscowym zasięgu. Zainicjował ten łańcuch zdrady złamaniem bodaj najważniejszego tabu - skontaktował się z mędrcem.

Mędrzec okazał się zupełnie normalnym człowiekiem, niczym go nie zaraził, tylko chwilami mówił jak stuknięty. Rozmowa ze starcem miała znaczący wpływ na życie Jasona. Przedstawiciel niższej kasty rzucił światło na wiele spraw w otaczającym go świecie, ale jednego nie potrafił wyjaśnić: dlaczego mędrcy nie dążą do opuszczenia planety. Zresztą młody Jason nie zaprzętał sobie głowy takimi problemami. Ale pewną myśl, dość enigmatyczną, zapamiętał na całe życie. "Twój ojciec, chłopcze, powiedział mędrzec, nauczył cię wszystkiego, co może ci się przydać w życiu na innych planetach. Chociaż może wolałbyś nie być jego synem. Zapamiętaj jednak, że to właśnie on nauczył cię wszystkiego. I bądź zawsze wdzięczny staremu Chitonowi".

Przeleciały lata i parseki, setki planet i kobiet, tysiące rywali i wrogów, miliony

kredytów przeszły przez jego ręce. Sporo było tego wszystkiego jak na jednego człowieka... A przyjaciół - zaledwie paru, sensownych planów, do końca zrealizowanych zadań - ani jednego... Marność nad marnościami. Po co to wszystko? Po to, by teraz spotkać się z umierającą matką, o której nigdy by sobie nie przypomniał, gdyby nie Action?

Nagle przed oczami stanęła mu Meta. Przecież ta dziewczyna zmieniła wszystko w jego życiu!

Wszystko, ale nie do końca. Czyż w duchu nie pozostał graczem? Czy nie był, jak i wcześniej, kosmicznym włóczęgą? Po prostu teraz było ich dwoje. Jakie to dziwne! A z drugiej strony, jakież naturalne! Przecież nie można inaczej, nie wyobrażał już sobie innego życia. . .

Za plecami Jasona otworzyły się drzwi. Pewnie Meta, pomyślał. Do środka wszedł Action.

Lecieli we trójkę. To było nawet ciekawe. Niekończące się wspomnienia, opowiadania o przeszłości, spory. Action również opuścił dom rodzinny w młodości. Stał się zawodowym myśliwym i łowcą, obleciał setki światów w poszukiwaniu egzotycznych zwierząt i bogatych kupców, którzy zamawiali wypchane trofea, skóry, kły czy żywe zwierzęta - do pilnowania, do zabawy, dla ozdoby lub czegoś jeszcze innego. Żywił szczególne uczucia do planet bezludnych i kilka razy nawet polował na straszydła oddychające metanem, kąpiące się w jeziorach siarkowodoru i żywiące się organizmami krzemowymi. Starzy przyjaciele i mleczni bracia stracili rachubę, usiłując zliczyć, który z nich widział więcej planet. Ostatecznie uznali, że chyba jednak Jason. Przecież Action co jakiś czas wracał do świata dzieciństwa - odwiedzał rodziców, spacerował po swojskich lasach, spotykał się z przyjaciółmi. Nigdy nie złamał żadnego miejscowego prawa i arystokratyczne władze uznawały go za obywatela Porgorstorsaandu, nie zwracając uwagi na równoległe obywatelstwo Kliandy. Cóż, każdy wybrał własną. Tym ciekawsze było poznawanie przyjaciela na nowo.

Z powodu tych rozmów Jason i Meta tak późno kładli się spać, że nawet ich tradycyjny sposób zabijania czasu podczas lotu odsunął się na drugi plan. Codzienne badania historyczne też nie nastrojały Jasona do owych zabaw. Smutek i nostalgia opanowywały kosmicznego włóczykija.

Tak więc teraz Jason zapytał Actiona:

- A jak, bracie, zmieniło się życie na naszym Porgorstorsaandzie w czasie, kiedy mnie tam nie było?

- Nic się, brachu, nie zmieniło - odpowiedział Action, ale przez sekundę dziwnie się zawahał.

I dodał ze smutkiem w głosie:

- Może to i lepiej.

W tym momencie statek drgnął, jakby się zderzył z dużym meteorem. To może się przytrafić tylko wtedy, kiedy uciekasz na łeb na szyję spod krzyżowego ognia dwu

gwiazdnych niszczycieli typu Fantom. Ale nikt nie wszczynał działań bojowych, komputer zaś po prostu zameldował o wyjściu ze skoku na odległą około planetarną orbitę.

- Wydaje mi się, że życie na naszym starym Saandzie jednak trochę się zmieniło! - ryknął Jason, wstając z podłogi i pocierając stłuczony podczas upadku łokieć. - Co oni tam wyczyniają? Powariowali czy co?

Meta wpadła do sterówki, wymachując odruchowo pistoletem. - Prymitywna broń zenitalna, ale bardzo przekonującego kalibru - oznajmiła tym, którzy nie są zbyt mocni w identyfikacji rodzajów broni według parametrów akustycznych i średnic otworów w energoblokach.

Action już się dopytywał w najbliższym posterunku granicznym o powody niepotrzebnego incydentu.

Na szczęście chyba nikt nie zamierzał kontynuować ostrzału, a jedyny pocisk można było uznać za przykre nieporozumienie. Jednak Action przysięgał, że na jego małym stateczku, przycumowanym na sztywno do boku "Temuchina", bez przerwy pracuje specjalna radiowa boja, ekskluzywna przepustka na Porgorstorsaand, wydana przez wojskową komendanturę planety kilka dni temu.

Potem się wyjaśniło: hasło do wejścia na orbitę zostało przez dowództwo zmienione bez podawania przyczyny. Takie rzeczy zdarzały się, delikatnie mówiąc, rzadko. Powiadomiono wszystkie wojskowe, handlowe, dyplomatyczne i prywatne statki należące do arystokracji. Nie zapomniano o honorowych gościach planety. Ale nikt z wojskowych nie miał zamiaru przekazać nadzwyczajnego komunikatu jakiemuś tam Actionowi z warstwy farmerskiej, na dodatek zarejestrowanemu z dwoma obywatelstwami. I to jeszcze przekazać przez kosztowną łączność podprzestrzenną.

Dowiedzieli się o tym znacznie później. I w zasadzie nie drążyli tego tematu. Ale Jasonowi bardzo się nie podobało to wprawdzie pojedyncze, ale nadzwyczaj celne trafienie. Gdyby nie osobiście opracowany przez Metę system obrony przeciwrakietowej, splonęliby wraz ze statkiem w niebieskim płomieniu.

W grupie pierwszych obowiązkowych komunikatów, przekazanych do wszystkich pasażerów międzyplanetarnych i międzygwiazdnych statków lądujących w głównym kosmoporcie Porgorstorsaandu, obok charakterystyk pogody i przepisów celnych znalazła się również taka informacja: "Do wszystkich osób pochodzenia farmerskiego! W lasach północno - wschodniego kontynentu pojawiło się bardzo niebezpieczne dla ludzi zwierzę - stalowy dzik. Polowanie na tego drapieżnika jest od dziś świętym obowiązkiem każdego farmera, uchylanie się od obowiązku będzie ścigane prawem".

Jason miał kłopoty z pojęciem napuszonej stylistyki sformułowania "święty obowiązek" i urzędniczego zwrotu "ścigane prawem", ale Action, który ostatnie dwa lata spędził na Saandzie, zrozumiał wszystko od razu.

- Trzeba będzie najpierw polować - zakomunikował wzdychając.

- Jak to?! - Jasonowi ze zdumienia opadła szczeka. - Czy po to tu przylecieliśmy?

- Przylecieliśmy pożegnać się z matką - ze smutkiem przyznał Action. - Ale polowanie jest ważniejsze.

- Polowanie ważniejsze?! - Jason nie wiedział, jak reagować na takie dziwne komunikaty. - A jeśli. ..

- A jeśli. . . - powtórzył Action w zamyśleniu. - Poczekajcie, zadzwonię.

Szybko połączył się z ojcem za pomocą przenośnego telefonu. (Farmerzy mają teraz łączność dalekosiężną, a mówiłeś, że nic się nie zmieniło.) Ojciec powiedział (Jason usłyszał dobiegający ze słuchawki jego spokojny, niski głos):

- Maria poczeka na was. Ruszajcie na polowanie. Jesteście najlepszymi z moich synów. Powiniście pokonać stalowego dzika i dostarczyć do naszego domu. Niech się o tym dowie cała planeta.

Cóż, jak polowanie, to polowanie. Spróbujcie znaleźć Pyrrusanim, który nie skorzysta z okazji, by palnąć do jakiegoś zwierza. Jason był już niemal Pyrrusaninem. Może być ciekawie!

Droga do lasu okazała się niezmiernie długa. Po rutynowych graniczo - celnych formalnościach wyszli na plac przed budynkiem kosmoportu, ciesząc się, że nie ugrzęźli, jak wielu innych, w tak zwanym odstojniku. Podejrzewani o nie wiadomo co ludzie czekali tam, aż powolny główny komputer planety przekaże posiadane o nich dane. Ale Action już odbył taki sprawdzian całkiem niedawno, przybysze zaś nie byli o nic podejrzani. Pozwolono im nawet na noszenie broni, zrównawszy ich z klasą wojskowych. Jason ze zgrozą wyobraził sobie, do czego by doszło, gdyby ci frajerzy w czarnych mundurach próbowali odebrać pistolet Mecie.

Do najbliższego miasta pojechali jednoszynową kolejką. Mały, ciasny, nabity ludźmi wagonik posuwał się z prędkością żółwia - trzysta kilometrów na godzinę. Potem w brudnej i kiepsko oświetlonej sali długo czekali, żeby dorwać się do okienka kasy po odejściu od niego kilkudziesięciu ponurych, milczących, źle ubranych obywateli planety. Za jakies śmieszne pół kredytu kupili bilety, to znaczy trzy kawałki papieru, dające prawo lotu w wymaganym kierunku przedpotopowym aparatem z silnikiem spalania wewnętrznego, z umieszczonymi nad maszyną wirnikami nośnymi. To coś nazywało się wirolot. Jason od razu pomyślał, że brakuje mu kilku możliwości: dlaczego nie można zapłacić więcej i nie stać w kolejce? Dlaczego nie polecili do lasu własnym środkiem transportu, który zostawili w kosmoporcie? Odpowiedzi na oba pytania były zadziwiająco proste i w obu przypadkach jednakowe: nie wolno. Tak mówi prawo.

Action wyraźnie nie miał nic przeciwko tym zasadom. Więcej - nawet nie chciał ich komentować i w ogóle zrobił się jakiś milczący, jakby smutny. Jason i Meta też na wszelki wypadek przestali się odzywać. W obcym klasztorze nie wprowadza się własnych reguł, mówi stare porzekadło. Jason nie bardzo wiedział, co to klasztor, ale ogólnie sens powiedzonka rozumiał. Tym bardziej że posępni farmerzy, w których towarzystwie odbywali

całą tę podróż, wyglądali na bardzo sennych i nieskłonnych do rozmów. Z drugiej strony, nie groziło im ze strony tych ludzi żadne niebezpieczeństwo. Kto jak kto, ale Meta od razu wyczuli wrogość. Jednak wyraźnie nie było do kogo strzelać i pyrrusańska amazonka sama zaczęła drzemać przy akompaniamencie miarowego warkotu potwornego benzynowego silnika.

Widocznie to samo prawo, tak szanowane przez Actiona, nakazywało wozić ludzi w maksymalnej dopuszczalnej ilości, upakowanych w zimnej ładowni skrzypiącego i zardzewiałego wirolotu, który od dziesięciu lat powinien był leżeć na złomowisku, a nie latać po niebie i szukać nieuniknionej awarii. Widocznie owo prawo nie pozwalało też, by pilot wirolotu za największe nawet pieniądze dostarczył ich do punktu końcowego trasy. Lądowanie musiało się odbyć na lotnisku wymienionym w karcie lotu. Potem trzeba było, po kupieniu kolejnego, szarozielonego biletu, czekać dwie godziny. Następnie tyle samo czasu trząść się w przemierzającej bezdroża maszynie na sześciu nogach, przypominającej żuka - gnojaka i nazywającej się - a jakże - sześciochód.

Końcowy przystanek nosił nazwę "Schronienie Myśliwego". Był to miniaturowy hotelik, samotnie przytulony do skraju lasu. Nie wyglądał imponująco, ale Action zapewniał, że można tam zupełnie dobrze zjeść i przenocować. Jednakże takiej potrzeby nie było - przybyli o świcie. Zdecydowali, że nie będą tracić czasu na gadanie, tylko od razu ruszą do lasu. A może im się powiedzie, od razu capną dzika i wtedy już sobie spokojnie odpoczną.

Zaczęło mżyć - typowa jesienna pogoda - i wszystkim zrobiło się smętnie na duszy. Jasonowi nagle wszystko dookoła wydało się bezsensowne. Gdzieś na tym globie umierała jego matka. Nad odległym Pyrrusem zawisło niebezpieczeństwo zniszczenia miasta i portu, zagrożone było życie wszystkich ludzi. Gdzieś w nieznanym świecie centrum Galaktyki czekała na rozwiązanie tajemnicza zaszyfrowana przesyłka, przechwycona przez Korpus Specjalny i mająca związek z jego osobą. A on w tym czasie deptał protektorami desantowych butów opadłe liście klonów i jesionów w głuszy mokrego lasu północno - wschodniego kontynentu i czekał na spotkanie z nikomu niepotrzebnym stalowym dzikiem. Nikomu niepotrzebnym... Stop! Dlaczego tak pomyślał? Ach tak!

- Action - odwrócił się do brata, przerywając niezmiernie długą chwilę ciszy. - Powiedz mi, dlaczego prócz nas nikt się tu nie rwie, żeby spotkać i zwyciężyć straszliwego leśnego stwora? Przecież komunikat dotyczył wszystkich.

- Dlatego, bracie, że bohaterów zawsze było za mało - odpowiedział Action. - Teraz też nie każdy odważy się wyjść na niebezpieczną ścieżkę rytualnego polowania.

- Co to znaczy "rytualnego"?

- Nie pamiętasz? - zdziwił się Action. - W tych okolicach od zawsze dorastający młodzieńcy, zgodnie z rytuałem, wyruszali na polowanie w stronę podnóża góry Bilion. ..

Jason przypomniał sobie. I natychmiast rozpoznał przemierzaną okolicę. Las, na dodatek mgła, deszcz i smętne światło przedświt. Kiedy wyszli na otwartą przestrzeń, od razu przez mętną kurtynę wody zobaczyli ciemne zarysy góry Bilion, porośniętej kłującymi

krzewami. W pamięci Jasona odżyły dziecięce i młodzińcze wspomnienia. Rzeczywiście, znajdowali się teraz nieopodal domu rodzinnego, tyle że kierowali się nie do niego, a w stronę góry.

- Nie uczestniczyłem w takim polowaniu - uśmiechnął się Jason. - Pamiętasz, Action, nie lubiłem od dziecka przestrzegania reguł. Ale, oczywiście, słyszałem o tych wszystkich cudach. Że niby bogowie każdej jesieni wystawiają nas na próbę w postaci strasznych potworów, za każdym razem innych... Dobrze zapamiętałem?

- Dobrze - skinął głową Action. - Opowiadano mi, że góra Bilion to stare cmentarzysko radioaktywnych odpadów i dokoła niej kręcą się straszliwe mutanty.

- A ja słyszałem inną historię - powiedział Jason. - Pewien wojskowy opowiedział mi ją przy kufelku piwa. Rzekomo gdzieś tutaj mieści się kompleks podziemnych laboratoriów, gdzie ludzie z pagonami pracują nad nowymi typami broni biologicznej. Od czasu do czasu uciekają stamtąd potwory wyhodowane do celów militarnych. A może nawet nie tyle uciekają, co są wypuszczane na testy polowe.

Meta tradycyjnie zareagowała na słowo "broń". Odżyła i natychmiast włączyła się do rozmowy:

- A czy nie moglibyśmy się dogadać z miejscowymi wojskowymi w sprawie wymiany doświadczeń? Jak sądzisz, Jasonie?

- Sądzę, że tutejsi wojskowi ze swoją ubogą fantazją raczej nie mogli wynaleźć niczego, czego nie znałby nasz stary druh Solvitz. O, ten to miał broń!

- Oczywiście - zakpiła Meta - tylko należy zapomnieć, że do tej pory nie wymyśliłeś jeszcze sposobu produkcji i zastosowania tej broni. A co do reszty - jest wspaniale...

- Przyjaciele, uwaga! - przerwał sprzeczkę Action. - Właściwie weszliśmy na niebezpieczny teren.

Nie miał pojęcia, że Pyrrusanie zawsze i wszędzie gotowi są zmierzyć się z niebezpieczeństwem, jakkolwiek wydają się pochłonięci rozmową czy pracą.

- Skąd może nadejść? - zapytała rzeczowo Meta.

- Z każdego kierunku - wzruszył ramionami Action.

W tym właśnie momencie pojawił się stalowy dzik. Szybkość, z jaką atakowało to monstrum, rzeczywiście zasługiwała na szacunek. Prości farmerzy Porgorstorsaaudu chyba naprawdę nie powinni się wdawać w takie rytualne polowania. Nawet profesjonalny myśliwy i doświadczony międzygwiazdny podróżnik Action ryzykował, że stanie się trupem, jeśli przybędzie tu sam. Także Jason nie dałby głowy za to, że dobrze się przygotował na spotkanie ze stworem. Owszem, odwrócił się, wyszarpnął pistolet (choć co tu wyszarpywać, skoro sam wskakuje do ręki?), chyba zdążył, ale... Oczywiście, pierwsza zaczęła strzelać Meta. Co by się z nimi wszystkimi stało, gdyby nie ona... Strach pomyśleć.

Leśny dzik okazał się ogromny, wielkości cielaka, a jego szczecina, na oko twarda i

ostra jak metalowa szczotka, mieniła się stalowym blaskiem. Tak samo połyskiwały kły i kopyta. Niczego sobie zwierzątek! Ale jeszcze większe wrażenie robiła jego reakcja na strzały: dzik odskakiwał, otaczając się przy tym niebieskawym, migoczącym obłoczkiem, a na jego skórze nie pozostawały żadne ślady pyrrusańskich pocisków wybuchowych, śmiertelnie niebezpiecznych dla wszystkiego co żyje. To ci zwierzę! Robot z potężnym polem obronnym o działaniu impulsowym. Takie pole wymaga skomplikowanych układów! A energii pożera tyle, że dzik powinien ciągnąć za sobą kabel grubości co najmniej ludzkiego ramienia. A ten... Ależ nie, chyba to jednak zwierzę: i pysk ma ośliniony, i śmierdzi jak zwykła świnka, i do ataku rzuca się z wściekłością dziczającego byka.

Jak tak dalej pójdzie, w obu pistoletach skończy się amunicja, z niesmakiem pomyślał Jason. Czy nie pora się stąd zwijać? Może na początek powspinać się na drzewa, wziąć sobie trochę wolnego?

Ale Action najwyraźniej wymyślił inny wariant. W końcu był myśliwym i na dodatek właściwie tubylcem.

- Stójcie! Odciągnijcie jego uwagę! - krzyknął. - Muszę dopaść go od tyłu.

Jason dopiero teraz zobaczył, że Action ma specyficzną broń. Przypominała bardziej kuszę do podwodnych polowań. Ale pociskami były nie strzały, a cienkie mocne igły.

- Chcę go upolować, nie uszkodzając skóry - wyjaśnił. - To ważne. A wy, bracia i siostry, przesadnie ostro walicie. Dobrze, że nie macie miotaczy ognia. Bydlę splonęłoby i nie byłoby się czym pochwalić.

Dzik rozpedził się do kolejnego ataku. Wszystko odbyło się nad podziw gładko. Strzelali do woli w ekran ochronny, który nawet jakby zaczął słabnąć, odciągnęli uwagę zwierza, a doświadczony Action wycelował i wpakował igłę w kark połyskującego metalem potwora. Wszystko dotąd szło zgodnie z przewidywaniami, ale dzik zadziwił wszystkich nieprzewidywalną reakcją. Okręcił się w miejscu, zapiszczał z urazą, a potem uciekł za drzewa i zapadł w gęste krzewy. Czaił się w nich niedługo, nie minęła minuta, gdy ponownie zaczął się wiercić, łamać gałęzie, warczał, chrząkał coraz głośniejsze i był coraz bardziej wściekły. Nikt nie miał ochoty sprawdzać, jak szybko wyciągnie kopyta pod wpływem śmiertelnej, zdaniem Actiona, trucizny.

- No więc jak, zmieniamy taktykę? - zapytała Meta. Jednakże nie zdążyła wyjaśnić, co ma na myśli, ponieważ od strony skraju lasu nieoczekiwanie nadeszła pomoc.

Miękkim, skradającym się krokiem zbliżał się do nich złotowłosy młodzieniec odziany w ciasno przylegający do ciała kombinezon. Trzymał przed sobą niczym włócznię długi zastrzony przedmiot, a dokoła jego głowy lśniła cienka koronkowa siatka, z kształtu przypominająca hełm.

Nowo przybyły był tak piękny, a jego ruchy tak pewne i precyzyjne, że wszyscy odruchowo zamarli w oczekiwaniu na heroiczny czyn. I stało się. Za pomocą wysokiego melodyjnego poświstu młodzieniec wyciągnął dzika z zasiadki i gdy wściekły potwór runął w jego stronę, był już gotów do odparcia ataku. Połyskująca włócznia bezbłędnie wbiła się w

prawe oko zwierza. Ale nie była to włócznia, tylko jakiś sprytny przyrząd: zielonkawe jarzenie objęło całą jego długość, a gładka dotąd powierzchnia najeżyła się nagle - groźne urządzenie zaczęło wirować dokoła własnej osi, wkręcając się coraz głębiej i głębiej. Oko dzika nabrzmiało, płonąc rubinowym światłem, a potem pękło i zaczął z niego walić dym. Zwierz znieruchomiał jak sparalizowany. A młodzian, nie tracąc czasu, wyszarpnął zielono opalizującą pikę i natychmiast dźgnął nią w lewe oko potwora. Wszystko powtórzyło się dokładnie: obroty, nabrzmienienie, przekręcenie, dym. Potem dzik zważył się na ziemię, zadzierając ku jesiennemu szaremu niebu połyskujące stałą racice.

Mętny domysł błysnął w głowie Jasona. To nie jest zwierzę ani maszyna, to android, a właściwie dzikoid. Oczy są jego czułym punktem. Zresztą taki świder można mu wbić w każde miejsce.. . No, a przede wszystkim warto wyjaśnić, kim jest ten chłoptaş.

- Jak cię zwą, młody bohaterze? - ubiegł go Action.

- Zwą mnie Escli, od Esclapius - przedstawił się z godnością pogromca dzika. - Jestem nowym uczniem tutejszego farmera Chirona, znanego ze swych licznych talentów, który wychował niejedno pokolenie znakomitych wojowników.

- O jak miło! - radośnie klasnął w dłonie Action. - Ja i Jason również jesteśmy jego wychowankami.

- Wiele o was słyshałem - z szacunkiem skłonił głowę Escli, przykładając dłoń do piersi i cofając się o krok. - Mądry Chiton nieraz kazał mi brać z was przykład.

Ten dziwny dialog coraz bardziej przypominał Jasonowi scenę ze starego spektaklu. Tylko aktorzy się pomylili i nałożyli kostiumy zupełnie nieodpowiednie do czasu i miejsca. Poczucie nierealności zrodziło się w umyśle Jasona jeszcze w kosmoporcie Porgorstorsaaudu, a teraz się nasiliło. Chyba nadszedł czas, by się obudzić, ale poparzył na Metę i rozumiał, że należy brać przykład z jak zawsze praktycznej Pyrrusanki. Nie zwracając uwagi na rytualne pogwarki tubylców, pochyliła się nad cielskiem zabitego potwora i uważnie badała jego kły, skórę, racice i inne dziwne... urządzenia. Ale równocześnie było to zwierzę. Mimo że szczecina rzeczywiście była stalowa i racice też, a z wylupionych oczu sterczały zwęglone przewody w plastikowej izolacji.

A gdzie widzieliśmy coś takiego zupełnie niedawno? Śmiało, Jasonie, odważnie! Już sobie przypomniałeś, tylko się boisz w to uwierzyć. A dlaczego się boisz? Czy nie dlatego, że i Pyrrus jest dla ciebie niemal planetą ojczystą, i stary Saand - tym bardziej? Co z tego wynika? No, jeszcze jeden kroczeek po ścieżce logiki! Tak, tak, i kolcomiot, i stalowy dzik polowały właśnie na ciebie, Jasonie diAlcie. Pyrrusańska gadzina strzelała do Mety po prostu dlatego, że chciała wydłużyć przyjemność kontaktu z tobą. Tutejszy stwór rzucał się na wszystkich, oczywiście po to istnieją dziki, by się rzucać na wszystko co żywe, ale ogłoszono konieczność polowania na niego dokładnie w chwili naszego lądowania. To nie przypadek, o nie! To do ciebie, Jasonie, był skierowany ten komunikat. Wszystko jest wyliczone na kilka ruchów do przodu... Tylko kto to oblicza? Kto?...

Strumień jego myśli przerwał Escli, który podszedł z tyłu i zaczął im wyjaśniać jak

ostatnim dyletantom:

- Nie rozumiecie, że to cyborg? Taka mieszanka zwierzęcia i maszyny. Chiron mi o nich opowiadał, takie stwory często nas odwiedzają i już się nauczyliśmy z nimi walczyć. Na przykład wynaleźliśmy zdruntel.

- Dobry zdruntel - pochwalił go Action, z szacunkiem przyglądając się długiej włóczni, znowu gładkiej i czarnej.

Natomiast w tej chwili stała się widoczna na jej środku biała rękojeść z miękkiego materiału z szeregiem jaskrawych, wygodnie rozmieszczonych przycisków.

- A do kompletu potrzebna jest szmuzeda? - zapytał Action rzeczowo i, jak się wydało Jasonowi, tylko po to, by pokazać swoją wiedzę.

- Nieceee - przeciągnął Escli. - Szmuzeda jest zawsze oddzielnie. Zresztą... - Podniósł wzrok ku niebu i przygryzł dolną wargę. - Brawo, Action! Cyklofotowy zdruntel z podłufową szmuzedą to rzeczywiście świetny pomysł. Na pewno jutro sobie wszystko przemyślę!

Meta jeszcze nie rozgryzła działania nieznanymi typów broni, ale jej oczy już rozbłyły jak dziecku na widok cukierka. Myśliwy, wynalazca broni i Pyrrusanka. Niech no tylko się spotkają, a rozmowie nie będzie końca.

Jason już się zastanawiał, jak taktownie przerwać rozpalającą się militarno - techniczną dyskusję, gdy młody Escli zdecydowanie, jak starszy stopniem, zarządził:

- Dobra, pogadamy potem. A teraz pomóżcie mi przenieść tego cyborga do wozu.

Cyborg okazał się ciężki, i to bardzo. Gdyby nie Meta, pewnie długo wlekliby zdobywcę po ściółce. Pyrrusanka chwyciła zwierza za kły i niemal bez wysiłku uniosła go od strony ciężkiej, szczególnie obficie metalizowanej głowy i masywnego karku, co pozwoliło wsunąć pod brzuch potwora masywny dwumetrowy drąg. Escli i Action nieśli go teraz z drugiej strony, a Jason pomagał, podtrzymując racice. Jakoś dali sobie radę.

To, co Escli nazywał wozem, okazało się dość przyzwoitym czteroosiowym wszędołazem na wielkich kolczastych kołach. Dzik został wrzucony na zabrudzoną pakę i ruszyli.

Jason przypomniał sobie: podróż będzie krótka. Przecież kierowali się na tę farmę, gdzie minęło dzieciństwo jego i Actiona. Tak więc nawet nie zdążyli pogadać. Tym bardziej, że silnik wszędołaza ryczał ogłuszająco, jak chyba wszystkie mechanizmy na tej planecie.

- Powiedz mi, młodzieńcze - zapytał Jason, usiłując przekrzyknąć ryk silnika - czy możemy zabrać trofeum ze sobą, kiedy będziemy odlatywać?

- Zapytajcie Chirona - wrzasnął w odpowiedzi Escli. - Ale o ile wiem, z naszego globu nie wolno wywozić takich rzeczy.

- No, no! - Jason prychnął pod nosem. Tylko Meta mogła go usłyszeć. - Mało to razy robiłem coś, czego nie było wolno robić?

Dziwna rzecz, domek starego Chirona wcale się nie zmienił przez te lata. Ciągłe ten

sam spadzisty dach z czerwonymi dachówkami, te same ściany z ciemnych bali, pokrytych bluszczem i dziką winoroślą. Te same skrzypiące schody na górę, ten sam stół na środku dużego jasnego pokoju, te same grube szklane kubki z domowym winem lub piwem. A i Chiron ciągle ten sam: siwy, smagły, wysuszony wiatrem i zupełnie się nie starzejący Ale Maria się zmieniła. Leżała w drugim pokoju pod otwartym oknem i tylko jej oczy zwróciły się ku wchodzącym.

- Jakże się cieszę, moje dzieci, że zdążyłam zobaczyć was przed śmiercią! Podejdźcie, chłopcy, chcę was ucałować.

Głos miała słaby, ale słowa wymawiała dokładnie i wyraźnie.

- Odejście z tego świata to nie tragedia - mówiła Maria. Wszystko ma swój kres. Przeżyłam długie życie i nie musicie się smucić z mojego powodu. Mogę naprawdę umrzeć z radością, gdy stoicie przede mną tacy dorośli i tacy piękni. Jasonie, ta dziewczyna jest twoją żoną?

- Tak - odpowiedział Jason, zawahawszy się na ułamek sekundy przed udzieleniem odpowiedzi.

Meta uśmiechnęła się tylko, rzuciwszy spojrzenie w jego stronę.

Stara Maria milczała chwilę, mówienie sprawiało jej trudność.

- Mogłabym wam sporo opowiedzieć, moje dziatki, niejedno z tego jest dla was ważne. Ale już nie zdążę. Mam tylko nadzieję, że Chiron powie wam wszystko, co mu kazałam. A teraz idźcie już. I nie smućcie się. Prawdziwi ludzie jeszcze na Starej Ziemi zawsze umierali z radością i nie smucili nikogo swym odejściem. Życzę wam szczęścia, moje dzieci!

Potem jedli i pili, na stole dominowały świeże, naturalne potrawy, przygotowane według starych farmerskich przepisów z ptactwa, wieprzowiny i ryb. Pito - specjalnie na prośbę Jasona - świetną wyleżakowaną whisky, z której zawsze słyszał dom Chirona. Wygłaszano toasty, opowiadano wesołe historyjki, wszyscy usiłowali nie myśleć o niczym smutnym i jedyną rzeczą, jaka różniła tę biesiadę od innych, było to, że nikt nie śpiewał. W pewnym momencie Chiron wyszedł na chwilę, wrócił i cicho powiedział, stojąc w progu:

- Umarła.

I zaczął śpiewać.

Śpiewał w nieznanym nawet Jasonowi języku. Pieśń była uroczysta i smutna, ale z wyraźnym, jakby rodzącym się w jej głębi tematem radości. W pełni zgodna z ostatnimi słowami starej Marii.

Skończywszy śpiewać, Chiron nalał wszystkim po szklaneczce. Nie odzywając się wypił pierwszy i sięgnął po aparat dalekosiężnej łączności. Wywołał lekarza, powiadomił firmę pogrzebową, zawiadomił żyjących gdzieś daleko krewniaków, a potem kazał Esliemu wsiąść do wszędolaza i poinformować sąsiednie farmy. Może nie było tam telefonów, a może miejscowe prawo nakazywało powiadamiać o pogrzebie osobiście.

- No więc, moje dzieci - odezwał się Chiron, odkładając słuchawkę i siadając z powrotem do stołu. - Lekarz będzie tu dopiero za dwie godziny Reszta jeszcze później. Sami zdecydujcie, czy chcecie uczestniczyć w ceremonii pogrzebowej. Zdecydujecie po tym, co wam zaraz opowiem. Maria miała bardzo dużo dzieci. Ale tylko ciebie, Jasonie, chciała widzieć przed śmiercią. Wybacz, Actionie, było to dla niej bardzo ważne. Chociaż.. .

Chiron zapalił fajkę. Meta rzuciła okiem na Jasona, ale ten ani drgnął: niech sobie starszek pali, ja rzuciłem. Widzisz, że siedzę i nie zwracam na niego uwagi.

- Nie wiem, czy rozumiesz, Jasonie. Maria wykarmiła cię swą piersią, ale nie urodziła. Powinieneś teraz poznać prawdę dodał, jakby z trudem wymawiając słowa, potem rozkaszał się i zamilkł na długo. Widocznie dawał Jasonowi czas na strawienie rewelacji.

Ale Jason przyjął oświadczenie spokojnie. W końcu co to za różnica, kim jest z urodzenia. Rodzona matka i ojczysta planeta dawno stały się dla niego abstrakcyjnymi pojęciami. Natomiast na twarzy Mety pojawił się wyraz krańcowego zdziwienia.

Dziwne, pomyślał Jason. Pyrrusankę interesują problemy stosunków rodzinnych?

A Chiron nagle zwrócił się właśnie do niej: - Meto, czy pamiętasz swoją matkę?

- Słabo, miałam pięć lat, kiedy zginęła. Miała na imię Ocaira. - Zgadza się - nieoczekiwanie przytaknął Chiron. - Ocaira była moją córką. Od razu cię poznałem. Jesteś bardzo do niej podobna.

Jason drgnął. Grunt racjonalizmu i realizmu znowu zaczął mu się usuwać spod stóp.

- Więc z tego wynika, że popełniliśmy kazirodztwo? - wyrwało mu się.

- Nie, Jasonie, uspokój się. Nie jesteś moim rodzonym synem i teraz właśnie nadszedł czas, by o tym opowiedzieć.

- Nazywała się Jolk. Była dziesiątą planetą w systemie białego giganta Helio w kulistej gromadzie blisko centrum Galaktyki. Szczegóły możecie znaleźć w dowolnym informatorze. Krótka mówiąc, gorąca planeta. Na równiku żyć się nie da, nawet nie ma gdzie. Wszędzie woda, gorąca jak z czajnika. Na biegunie północnym jest duży kontynent. On właśnie został zaludniony Nie tak dawno, jakieś pół tysiąca lat temu według miejscowej rachuby czasu, może trochę mniej. Dziwne to, ale tak ludzie mówią. Jolk skolonizowali dziwacy. Wszystkie maszyny, jak należało się spodziewać, z czasem się zużyły i popsuły, a oni nie chcieli nowych dostaw. Nie wybudowali kosmodromu. Wszystkich chętnych do odwiedzin na Jolko zapraszają do wodowania w oceanie. Jest duży, trudno nie trafić. Mają flotę żaglową i wiosłową, która powita długo oczekiwanych gości winem i mięsem, a nieoczekiwanych może ostrzelać z armat. Na Jolko nie zapomniano co to proch, ciągle jeszcze go produkują. O żywność na tej planecie jest wyjątkowo łatwo, przyroda nie poskąpiła jedyńemu kontynentowi niczego. Żaden postęp nie jest tubylcom potrzebny do szczęścia. Przez całe pięć wieków nic tam się szczególnie nie zmieniało. Co prawda, osadnicy podzielili się z czasem na dwie kategorie: na patrycjuszki, korzystających z resztek techniki, nawet z łączności kosmicznej, i niewolników, którym nie wolno się zbliżać nie tylko do

urządzeń technicznych, ale nawet do koni. I tak już trwa od wieków - niewolnicy pracują, patrycjusze rozkoszują się życiem, ale co charakterystyczne, i jedni, i drudzy są syci, i jedni, i drudzy mieszkają rodzinnie, wychowują dzieci, i jedni, i drudzy co jakiś czas biorą udział w krwawych turniejach, z których nie wszyscy wychodzą żywi. A na dodatek patrycjusze, w odróżnieniu od niewolników, czasami rządzą pałacowe przewroty i wtedy jedna rodzina zastępuje drugą. Albo, co jest jeszcze bardziej emocjonujące, syn zrzuca z tronu ojca, brat brata, wujek bratanka. Takie mają obyczaje.

Pół wieku temu Jolkiem rządził król Ajzon, syn wielkiego Kreta. Kret był bardzo lubianym królem. Potomek w linii prostej pierwszych osadników, może i jedyny z władców, który chciał przywrócić na planecie jeśli nie materialno - techniczne, to moralno - etyczne podstawy cywilizacji. Syn poszedł jeszcze dalej, tym bardziej że władzy nie odziedziczył, a zdobył ją po kolejnym przewrocie. Ajzon ogłosił pokój na planecie, wieczystą władzę swej dynastii, odwołanie krwawych turniejów, równe prawa dla wszystkich, kontakty z bogami z kosmosu i temu podobne. Ale nie wszystkim spodobały się takie perspektywy.

Ajzon miał przyrodniego brata imieniem Fell, syna Poisona, tego, który dowodził flotą wojenną na planecie Delf. Fellowi szczególnie się nie spodobały nowatorskie pomysły Ajzona. On też dążył do władzy i uważał, że cel uświęca środki. Niewiele myśląc, wyrznął wszystkich wiernych wojowników Ajzona, a samego króla - w końcu rodzina! - oszczędził, choć uczynił go niewolnikiem.

Ajzonowi akurat uradził się syn. Otrzymał imię Dimed. Miejscowi prorocy przepowiedzieli mu wielką przyszłość. A czy coś takiego można ukryć przed nowym królem - dyktatorem? Fell, oczywiście, zmartwił się, wyczuł potencjalne niebezpieczeństwo, zagrażające mu ze strony chłopca. A ponieważ był, co wiedział każdy na Jolko, strasznym bydlakiem i nie cofał się przed niczym, więc Ajzon postanowił go wyprzedać. Ogłosił, że dziecko zmarło, i nawet urządził wspaniały pogrzeb. Uroczystość odbyła się za pieniądze z miejskiego skarbcza, w końcu byłego króla pamiętano jeszcze w Jolko. Nie pomyliłem się, główne miasto nazywało się tak jak planeta, Jolk Mimo że uroczysty pogrzeb dziecka niewolnika niezgodny był z prawami tego świata, Fell się zgodził, bo dla niego było to święto. Naiwny Fell myślał, że szydzi z byłego króla, ale wyszło wszystko zupełnie odwrotnie: król Ajzon go przechytrzył.

Dimeda oddał mnie na wychowanie. A ja przyjąłem chłopca jak swojego i nadałem mu inne imię, podobne w brzmieniu do imienia ojca, Jason. Natomiast drugie imię podpowiedzieli mi mędrcy - dinAlt. A teraz zapytaj, skąd to wszystko wiem.

Ręka Jasona sama wskoczyła do kieszeni, a jej właściciel zapalił szybciej, niż Meta zdołała cokolwiek powiedzieć. Pyrrusanie nie mają sobie równych w szybkości działania, w gadaniu są znaczeni wolniejsi. Słowa nie są ich przyjaciółmi.

"A teraz, mówi, zapytaj . . ."

Tak, w tym miejscu opowiadania starego Chirona Jason i tak nie zdołałby się powstrzymać od zadania pytania.

- A skąd ty się tam wzięłeś, ojczeco?! - zakrzyknął, wypuściwszy dym z płuc po pierwszym zaciągnięciu. - Przecież to niewyobrażalny kawał drogi: gdzie Jolk, a gdzie Porgorstorsaand!

- Właśnie, gdzie! - niezbyt zrozumiale odezwał się Chiron i zamilkł na długą chwilę.

Dopiero gdy osuszył szklaneczkę i przeżuł w zamyśleniu kiszony korzonek końskiej marchwi, splunął do miski twardymi włóknami i niespiesznie kontynuował:

- Byłem wtedy zupełnie młody, nie będę mówił, ile to lat temu. Pewnego razu, gdy przemierzałem północne podnóże góry Bilion, w starym jodłowym lesie, który już wtedy był bardzo gęsty, podszedł do mnie mędrzec i zapytał: "Chcesz zobaczyć miejsce, skąd pochodzą pojawiające się na naszym globie dziwne stwory?" "Chcę", odpowiedziałem naiwnie. Ale zaraz dodałem: "Czy wojskowi się nie dowiedzą, że rozmawiałem z tobą?" "Nie", odpowiedział, a ja mu od razu uwierzyłem. Przecież wszyscy wiedzą, że mędrcy nigdy nie kłamią. Długo wspinaliśmy się niemal na sam szczyt góry, przedzieraliśmy przez zarośla kłujących krzewów, przeciskaliśmy przez wąskie rozpadliny i w końcu trafiliśmy do dość obszernej jaskini. Kiedy mój wzrok stopniowo przywykł do półmroku, zrozumiałem, że w odległym kącie jaskini coś się zaczął. Było tak czarne, że nie tylko blask mojej pochodni, ale i potężne światło latarki astrokomandosa, którą trzymał w ręku, ginęły w jego absolutnym mroku, niczym złoty łańcuszek w buteleczce atramentu.

"To jest rewanawer", wyjaśnił mędrzec. "Wejdz weń, a dowiesz się wiele nowego o otaczającym cię świecie". Zaproszenie zabrzmiało co najmniej podejrzanie. Nie tylko nie gwarantował mi bezpieczeństwa, ale nawet nie obiecał niczego konkretnego. A i tak zrobiłem ten krok. Zawsze lubiłem poznawać nowe rzeczy. Ale najbardziej przekonała mnie jego latarka desantowa. Tylko starsi oficerowie mieli prawo noszenia czegoś takiego, a mędrcy... Przecież to mieszkańcy lasów! Cała moc ich legendarnej magii zawarta była w glinianych amuletach z zapieczonymi wewnątrz kornikami czy w ogonie zielonego lemurida zawiązanym specjalnym węzłem. A tu nagle mędrzec i taka latarka! To było coś nowego. Coś nieoczekiwanego.

Zrobiłem krok.

Od razu znalazłem się nad brzegiem morza. Ciepłego, przyjemnego. Czerwono-bure fale wieńczyły cytrynowo-żółte baranki, piasek był jaskrawopomarańczowy, a liście nieznanymi mi drzew miały kolor zbliżony do błękitu. Oddychało mi się lekko i swobodnie, a te zapachy...! Nie mogłem ich z niczym porównać. I nie wiem, jak to wyjaśnić, sprawa polegała nawet nie na zewnętrznych oznakach - od razu zrozumiałem, że znalazłem się na innej planecie, może nawet w innej galaktyce. To było piękne i jednocześnie straszne. Obejrzałem się. Czarna plama trzepotała pod najbliższym drzewem jak złowieszczy sztandar na wietrze. Wszedłem do niej.

"Teraz będziesz mógł przechodzić bez mojej pomocy", zakomunikował mędrzec. "Do tego pięknego morza?", zapytałem. "Nie tylko. Możesz odwiedzać inne światy. Zdobędziesz wiedzę. A ja nie jestem ci już więcej potrzebny". Mędrzec chciał odejść. "Poczekaj!",

krzyknąłem. "Dlaczego właśnie ja otrzymałem taką możliwość? Chcę wiedzieć". "Masz prawo", zgodził się. "Ale nie sądzę, by odpowiedź cię zadowoliła. Na niektórych planetach wyjaśnia się to bardzo prosto: tak chcą bogowie. Na waszej planecie (tak właśnie powiedział - waszej, a nie naszej) stosunek do bogów jest nieco inny, dlatego w ramach zrozumiałych dla was określeń możesz się uważać za najbardziej godnego przedstawiciela narodu. Rzeczywiście, gdyby wszyscy ludzie na tym globie cię znali, to wybraliby właśnie ciebie, Chironie".

I tak stałem się wybrańcem. Uwierz mi, Jasonie, do dziś nie wiem, kto mnie wybrał i do czego. Ale rzeczywiście nauczyłem się korzystać z tego rewanawera - tunelu, który dla uproszczenia nazywałem rewanelem. Mędrzec wyjaśnił mi, że słowem rewanawer, jednakowo wymawianym w obie strony, starożytni określali miejsce, w którym czas płynie w obie strony jednocześnie, a przestrzeń jest złożona w harmonijkę i podróż przez nią na dowolne odległości nie przysparza kłopotu. Okazało się, że rewanawer nie jest nazwą własną czy nazwiskiem jakiegoś uczonego, jak myślałem wtedy. Można było doskonalić zarówno ten termin, jak i sam sposób podróży. U pewnego niezbyt trzeźwego starszego oficera wymieniłem skórę olbrzymiego plamistego niedźwiedzia na szczegółową mapę Galaktyki z załączonym do niej grubasnym informatorem o zamieszkanych planetach i stopniowo nauczyłem się kierować swoimi skokami w przestrzeni.

W mojej kolekcji miałem ulubione światy. Tam zatrzymywałem się na dłużej, ich mieszkańcy już mnie poznawali, gdzieś tam uznawali za boga, gdzie indziej za półboga, jeszcze w innym świecie - za tajemniczego przybysza. Ktoś mi pomagał, ja komuś. Ale jedno prawo było niezmiennie zachowane - rewanel otwierał drogę tylko na planety o niskim poziomie rozwoju technologicznego. Wśród nich Porgorstorsand był chyba najbardziej rozwiniętym światem. A potem, kiedy się dowiedziałem, co to jest Liga caratów, zrozumiałem wreszcie ostatecznie: na planetach, będących rzeczywistymi członkami tej organizacji, istnienie czarnej plamy rewanawera było niemożliwe z definicji. Dlaczego, nie wiem do dziś. Ale tak już jest.

Jork stał się jedną z moich ulubionych planet akurat wtedy gdy do władzy doszedł twój ojciec Ajzon. Czy mogłem mu odmówić, gdy prosił mnie, bym ukrył noworodka tu, w głuszy leśnej? Byłeś jego ostatnią nadzieją. Ajzon polecił, żebym zczekał do twoich dwudziestych urodzin i opowiedział ci wtedy o wszystkim. Nie spełniłem jego prośby, ponieważ przechytryłeś wszystkich i uciekłeś z naszego świata na dwa lata przedtem. A ja szukałem cię przez cały ten czas. Ale tylko na tych planetach, do których mogłem dotrzeć za pomocą rewanelu. A ty na nich nie bywałeś, bo tam nie było dla ciebie nic ciekawego. Milsze ci były technogenne komfortowe światy, zamieszkałe przez bogatych i oddanych hazardowi ludzi, z których łatwo ci było wytrząsnąć fortunę. Pyrrusa odwiedziłem na długo przed twoim pojawieniem się. Na Pyrrusie została moja córka Ocaira. Była bardzo podobna do matki i niebezpieczny romantyzm walki pociągał ją znacznie bardziej niż kosmiczne podróże. Nie potrafiłem przekonać dziewczyny, by porzuciła tę planetę. Zresztą, komu ja to opowiadam...! Oczywiście przypuszczałem, że zginęła przecież na Pyrrusie mało kto dożywa starości - ale nie wiedziałem tego na pewno, nie mogłem wiedzieć, ponieważ od pewnego czasu Pyrrus stał

się niedostępny dla rewanelu.

Raz tylko trafiłem na planetę Appsala, gdzie najzupełniej przypadkowo niemal w tym samym czasie przebywałaś i ty, Jasonie. Pamiętasz? Z powodu awarii jaką sprowokowałaś na statku jakiegoś dziwaka. Omal tam nie zginąłeś, wariacie! Wiem o wszystkim. Rozminęliśmy się o kilka lat, nie więcej, ale słyszałem już tylko piękne legendy, jakie układali o tobie Mastregulojowie i Perssonojowie.

Marzyłem o zdobyciu albo zbudowaniu gwiazdolotu. Ale to bajki! Tu jestem zaledwie farmerem, na innych planetach tylko gościem, nawet jeśli nazywają mnie bogiem. Zostało mi tylko jedno, czekać. Więc czekałem. Jak widzisz, nie nadaremnie. Mam nadzieję, że teraz rozumiesz, co powinienes zrobić. Udaj się na Jolk, by ukarać wrednego Fella i przywrócić prawowitą władzę swemu ojcu. - Wybacz, Chironie - powiedział Jason po wysłuchaniu tego niezmiernie długiego monologu. - Przecież to należało zrobić dobrych trzydzieści lat temu. Teraz pewnie i Fell, i Ajzon już nie żyją. Mogło tam dojść do szeregu pałacowych przewrotów.

- Mogło - zgodził się Chiron. - Ale nie doszło.

- Skąd wiesz? Byłeś tam nie dawno?

- Nie, w ostatnich latach i tam rewanawer zaczął otwierać się coraz rzadziej. Kapryśne urządzenie! Czasem po prostu nie wpuszczał mnie, a innym razem urządzał straszne fortele z czasem. Mogłem przebywać gdzieś rok i wrócić tu po jednym dniu, a mogłem wypaść stąd na chwilę, a okazywało się, że nie było mnie miesiąc. Maria już dawno przywykła do tego, ale nie wiedziałem, czy nie podpadnę kiedyś władzom. . . Wtedy musiałbym porzucić Porgorstorsaand, nie spełniwszy obietnicy danej twemu ojcu. Nie miałem do tego prawa i dlatego postanowiłem rzadziej wędrować po światach, obawiając się związanego z tym ryzyka. Ale mędrzec Gwahanofabrus, widząc jak cierpię, przekazywał mi czasem wieści z ulubionych planet. On właśnie całkiem niedawno opowiedział mi, że na Jolku po staremu rządzi Fell, a twój ojciec Ajzon ciągle jeszcze oczekuje twego powrotu i jest wystarczająco młody, by kierować swym krajem. Zrozum, Jasonie, twój ojciec i jego brat nie są zupełnie zwyczajnymi ludźmi. Widziałem ich i od razu to zrozumiałem. Powiedziałem wszystko. Czas ci ruszać.

Fajka Chirona zgasła, zaczął wystukiwać ją o stół z farmerską metodycznością, najpierw podłożywszy w tym miejscu serwetkę. A Jason wypalił dwa papierosy pod rząd i był gotów na trzeciego.

- Polecimy teraz do twojego ojca? - zapytała nagle Meta, przypominając o swojej obecności.

- Tak - zdecydowanie oświadczył Jason.

Nie potrafił jeszcze poprzeć argumentami nieoczekiwanej zmiany planów, ale czuł, że inaczej być nie może.

- Ale jak?

- Posłuchaj, Meto. Jolk znajduje się w tej samej kulistej gromadzie, w której wokół swoich gwiazd krążą planety Agreasy i Orhoman. Ojcze, mam rację?

- Tak, mój chłopcze. Ale co ty wiesz o tych planetach?

- Ooo! - powiedział Jason, wyraźnie szykując się do opowieści.

Jednakże Meta zdecydowanie uniosła rękę:

- Stop, Jasonie. Nie teraz. Zapomniałeś, że mamy niewiele czasu? I ty, i ja jesteśmy oczekiwani na Pyrrusie. A na dodatek do centrum Galaktyki wygodniej jest lecieć na dużym liniowcu. Przecież już o tym rozmawialiśmy. Jedyne, jaką musimy jeszcze wykonać na gościnnej planecie Saand, wybaczenie mi taki skrót, to wejść na górę Bilion i popatrzeć z bliska na słynny rewan. . . renowe. . . Jak mu tam? Może i nam uda się skoczyć gdzieś na skrót. Po co mamy zużywać paliwo?

Jason zamyslił się nad jej słowami i dopiero teraz zwrócił uwagę na Actiona. Chiron i Meta też patrzyli na myśliwego, który nagle jakby pozostał zupełnie z boku. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach i na nic nie zwracał uwagi. Gdy poczuł spojrzenia całej trójki, uniósł głowę i cicho powiedział:

- Nie mogę z wami polecieć.

- No to nie leć - mruknął Jason. - Chciałbym, żebyś mi towarzyszył, ale... Wolna wola. Masz swoje sprawy, my swoje. Nie będziemy mnożyć bytów ponad potrzeby. Tak radził William Ockham.

Jason nigdy nie odmawiał sobie okazji zaszpanowania jakimś cytatem ze starożytności.

- Już je pomnożyliście - ze smutkiem w głosie powiedział Action. - W istocie, od dziecka byłem przykładem praworządnego obywatela mojej planety. Po prostu nie powinienem być słuchać tego wszystkiego, co się tu wygadywało. Ale nie wystarczyło mi męstwa, by wstać i odejść. Jeśli władze się dowiedzą, zostaną pozbawiony kosmolotu i licencji myśliwego.

Jason osłupiał po takim oświadczeniu, a Meta łagodnie powiedziała:

- Najważniejsze, żeby cię nie zabili. W każdym innym przypadku pomożemy ci. Naprawdę.

Właśnie za to Jason najbardziej ją kochał, za prostolinijność. Action natomiast popatrzył na piękną Pyrrusankę szalonym wzrokiem i nawet się nie uśmiechnął w odpowiedzi.

- Nie chcę ryzykować - wymamrotał. - Przepraszam.

I wyszedł z pokoju. Lepiej późno niż wcale.

Wtedy Jason powiedział umyślnie głośno:

- Stalowego dzika i tak spróbujemy stąd wywieźć.

Góra Bilion okazała się nadspodziewanie wysoka. Zazwyczaj to, co wydaje się ogromne w dzieciństwie, potem, kiedy człowiek dorasta, maleje, staje się prawie jak zabawka, czasem aż żałosne. A góra Bilion jakby rosła wraz z Jasonem. Teraz również sięgała obłoków i bardziej pasowałaby do niej śnieżna czapa niż kłujące krzewy na zboczu.

Meta szła przez całą drogę swoim tempem, to znaczy tempem szybkiego ataku, więc Jason w końcu stracił oddech i sapał, wysunawszy język, jak wybiegany ponad miarę pies. Poszukiwania wśród skał zajęły im niewiele ponad trzy minuty. Znaleźli zakamuflowane wejście do jaskini i wtedy, jak spod ziemi, wyrósł przed nimi mędrzec.

- Gwahanofabrus - przedstawił się. - Wiem już, co chcecie odnaleźć. Ustawiłem wszystko jak należy. Tylko się spieszcie, przyjaciele. Rewanawer za chwilę się zablokuje, i to na długo. Chodźcie.

- Cóż, prowadź, przyjacielu - powiedział Jason niedbale, czując, że ogarnia go dziwna, niepasująca do sytuacji wesołość. Meta uśmiechnęła się również, ale raczej z uprzejmości i trochę nieufnie.

W jaskini było wilgotno duszno. Z czeluści dobiegł odgłos głośniego kapania wody. Przed oczami wędrowców wisiała gęsta mgła. Jak w łaźni. Dziwne, pomyślał Jason. Chiron nic nie mówił ani o mgle, ani o wodzie. Z bodem nawet dałoby się określić, gdzie znajdowało się owo metafizyczne przejście. Ale kiedy Jason mu się przyjrzał, poczuł ciarki na plecach. Absolutnie czarny kleks bardzo, ale to bardzo przypominał mu uniwersalny pochłaniacz materii Solvitza. Również Mecie przyszedł na myśl ich wspólny znajomy, o czym świadczył odruchowo wskakujący w dłoń pistolet.

- Śmiało, moi przyjaciele - mruzczał mędrzec. - Już wam mówiłem, należy się spieszyć. Maszerujcie do przodu pojedynczo. Jasonie, pan pierwszy

Jason nie opanował. Jak pierwszy, to pierwszy. Tylko że wrota do innego świata zaczęły się zmniejszać. Czyżby przegapili swoją szansę?

- Szybciej, Jasonie! - usłyszał głos z tyłu. - Nie ma już czasu na kroki. Skaczcie!

Dwa razy nie trzeba mu było powtarzać. Jason skoczył jak do wody - głową i rękami do przodu. W tej samej chwili poczuł, że jakiś mocny strumień porywa go w czarną dziurę. Nagle lewa noga zaczęła o coś i musiał dobrze wyteńczyć mięśnie, by nie zostać rozdartym na dwie części. Ryzykował co najmniej zerwanie więzadeł, ponieważ obie siły, ciągnące go w różnych kierunkach, miały mniej więcej tę samą wartość.

- Nie rób tego, Meto! - usłyszał głos Gwahanofabnisa, skrzeczący, rozpaczliwy, ale cichy, bardzo odległy. - Na wszystkie gwiazdy i galaktyki, nie czyn tego!

Jason wyraźnie widział, co tam się dzieje. Jego głowa znajdowała się już bardzo daleko od jaskini w górze Bilion; a noga pozostawała jeszcze w ręku Mety. Jego wiarna amazonka, wyczuwając coś niedobrego, postanowiła przeszkodzić w rozłączeniu po pyrrusańsku, prosto i bezpośrednio. Może miała rację. Może. Mędrzy to ludzie chytry i zagadkowi. Zawsze trzeba uważać, bo mogą oszukać. Ale czy w tym, czy w innym świecie Jason wolałby

mieć obie nogi. Dlatego skrzył stopę tak, że aż zatrzeszczały paski na rzepach, i w ręku Mety został tylko but. Obuwie rzecz niewątpliwie cenna, szczególnie podczas podróży, ale problem jego kupna, czy wykonania, zależnie od okoliczności, znacznie łatwiej rozwiązać niż wyhodować nową nogę.

Góra wydawała się niezmienną. Skały, kłujące krzewy, krzywe drzewka. Tylko niebo nad głową jest jasne, błękitne, głębokie. Powietrze pachnie inaczej. Morzem. I ani śladu czarnej dziury - ani z prawej, ani z lewej, ani za plecami Jasona. Starannie zapamiętał to miejsce i niespiesznie ruszył w dół, na spotkanie z nowym światem.

Droga, usypana drobnymi kamyczkami wbijającymi się w gołą piętę, poprowadziła Jasona do rzeki. Za nią, w pewnym oddaleniu, widniały wieże muru twierdzy. Najrozsądniej byłoby ruszyć właśnie w tym kierunku. Ale Jason rozejrzał się na boki i zobaczył chłopczyka, który się kąpał przy samym brzegu, z zachwytem rzucając się w głębsze miejsca lub radośnie biegając po płycznach. Chłopiec był goły, jak go matka urodziła, a niewielka biała szmatka, leżąca na płaskim kamieniu, widocznie służyła mu za całe odzienie.

- Hej, chłopcze! - krzyknął Jason w interlingwie. - Jak się nazywa ta rzeka?

- Mi ne komprenas vin, nie rozumiem cię - odpowiedział tubylec w esperanto.

Jason przeszedł na swój ulubiony język i powtórzył pytanie.

- To jest rzeka Anawer, a tam jest miasto Jolk, najważniejsze miasto naszej planety - z powagą dorosłego poinformowało dziecko. Zachowywało się tak, jakby codziennie kontaktowało się z takimi właśnie gamoniowatymi wujkami - przybyszami.

- Anawer... anawer - rewanawer - wymamrotał pod nosem Jason.

A na głos powiedział:

- Dziękuję ci, chłopcze. Trafiłem tak, jak chciałem.

- Jeśli wybiera się pan do Jolku - miejscowy postanowił pomóc drogiemu gościowi - to najlepiej przez bród. Proszę iść prosto, tam jest płytko, nawet dla renie tylko do pasa.

Jason podziękował jeszcze raz i szybko przekroczył rzekę.

Było gorąco, ubranie schło w oczach. Rękawy kurtki musiał podwinąć, a odsłoniętą przy tym kaburę pyrusańskiego pistoletu ukrył za pazuchą. W razie czego powinien zdążyć wyjąć broń. O ile pamiętał u miejscowego ludu kiepsko było z najnowszymi osiągnięciami techniki. Raczej nie grozi mu krzyżowy ogień z cekaemów.

A gdy podszedł bliżej, zrozumiał, że cekaemów w ogóle może się nie obawiać. Po murach twierdzy przechadzali się wojownicy z włóczniami i mieczami. Dokładnie tak samo uzbrojeni strażnicy powitali Jasona w bramie. Co prawda, przy bliższych oględzinach wyszło na jaw, że spod wyczyszczonych na błysk miedzianych hełmów sterczą mikrofony, a w kitach pióropuszy drżą antenki. Brakowało tylko magnetycznych czujników do sprawdzania dokumentów i pieniędzy. Ale nikt nie zajął od Jasona paszportu, padło tylko pytanie:

- Dokąd?

- Szukam Ajzona, syna Kreta. Nazywam się Jason dinAlt.

Jason z doświadczenia wiedział, że prawda w takich okolicznościach jest najlepsza, szczególnie że nie była to cała prawda. Kto mógł tutaj znać imię nadane mu przez Chirona? Gdyby tylko powiedział, że nazywa się Dimed... Ale na wszystko przyjdzie czas. Na razie imię ojca wystarczyło.

- Szukasz Ajzona?! - ryknęli strażnicy. - Żarty się ciebie trzymają! Najpierw odprowadzimy cię do Fella.

Otoczyli go i wyraźnie zamierzali skrępować albo przynajmniej chwycić za ręce.

- Nie trzeba, pójdę sam, zgadzam się. - Jason pokojowo uniósł ręce do góry. - Ze starszkiem Fellem też mam do pogadania.

Takiego oświadczenia tutejsze psy łańcuchowe nie komentowały. W czasie drogi Jason próbował poruszyć neutralne tematy. Ale kilka pytań typu: "Macie tu jakieś miłe dziewczyny w mieście?" czy "Może byśmy się napili wina, chłopaki?" pozostało bez odpowiedzi i Jason zrozumiał, że nie idzie przez miasto, a jest przez nie prowadzony. A to znaczy, że zgodnie z regulaminem czy co tam ich obowiązuje, rozmówki z aresztowanym są surowo zabronione.

Pałac króla Fella nie wyglądał źle ani z zewnątrz, ani wewnątrz. Co prawda w dziedzinie czystości i komfortu wyraźnie przegrywał ze wspaniałymi hotelami Cassylii czy Kliandy, a tym bardziej z najbogatszymi willami Lussuozo. Tak więc Jason nie odczuł szczególnego zachwytu z powodu przejścia władzy na tej ubogiej planecie. Ale istnieje synowski obowiązek. W każdym razie istniał kiedyś. I ciekawość. Gra się toczyła i chciał w niej uczestniczyć do końca. A już kto jak kto, ale Jason wiedział: jeśli wszedłeś do kasyna, musisz przestrzegać obowiązujących w nim przepisów. Albo przynajmniej udawaj, że ich przestrzegasz.

Król Fell z całkowicie szalonym spojrzeniem szklanych oczu szedł mu na spotkanie, wprowadzając w osłupienie oszołomionych strażników. W końcu dyktator się opanował i zatrzymał, ale jego oczy patrzył w ten sam punkt. Nie, nie w twarz zatrzymanego pod bramą szpiega. Bo niby skąd Fell miał wiedzieć, jak wygląda syn Ajzona? Przecież nie dostawał pocztą sieciową tajnego cotygodniowego biuletynu "Poszukiwani przez Korpus Specjalny"! Nie. Król Jolku patrzył na stopy przybysza. Jason z rozpaczą się domyślił, że wchodzić na pokoje Jego Królewskiej Mości na poły boso, na dodatek z piętą krwawiącą po marszu przez ostre kamyki, zostawiającą brzydkie plamy na wyszukany i zadbanym parkiecie - nie wolno pod żadnym pozorem. Że może to być odebrane jako zamieszona obraza pierwszej osoby na planecie.

Chcąc szybko zatrzeć złe wrażenie, Jason zaczął improwizować. Bardzo się starał dostosować do otaczającej go archaiczno - eklektycznej scenografii i przeszedł na biały wiersz:

- O królu mój, schodząc dziś z gór, obutym jeszcze był, lecz rzekę o nazwie Anawer w bród pokonując, jeden sandał przypadkowo straciłem. - (Ciekawe, z jakiego to starożytnego tekstu wyskoczyło słowo "sandał" Zresztą wszyscy dokoła noszą właśnie sandały.

Oczywiście, przecież na ciepłych globach to najbardziej rozpowszechnione obuwie!) - Został prądem uniesion, strumieniem burzliwym w dal. Proszę więc, królu, o wybaczenie.

Jednakże wydawało się, że król Fell w ogóle go nie słucha. Ścisnął obiema rękami głowę i patrzył w sufit. Widocznie modlił się do jakichś swoich bogów. Potem opuścił ręce i nagle wydał rozkaz polecenie strażnikom:

- Zostawcie nas!

Strażnicy odeszli. Jason był sam na sam z królem.

- Kim jesteś? - rzucił król nie dając mu czasu na odpowiedź, uprzedził: - Tylko nie próbuj kłamać. I tak się dowiem prawdy. Potrafię czytać w myślach.

Ostatnie królewskie słowa dobitnie świadczyły o intelektualnych możliwościach Fella.

- Stary i mądry Chiron, który mnie wychował, uczył, że nie należy kłamać. Chociaż potem dużo podróżowałem po wszechświecie i poznałem wielu kłamców, których można było zwyciężyć tylko ich własną bronią, dziś będę wierny naukom swego mistrza.

Takim oto napszonym słowotokiem zaczął Jason swoją opowieść. Fell przychylnie odbierał ten styl.

- Zwą mnie dziś Jason dinAlt, ale Ajzon, mój ojciec, mieszkający tu, na tej planecie, nadał mi przy narodzeniu imię Dimed. O, jakże długo szukałem ojca swego i ojczyzny! Ale oto w końcu wróciłem.

- No to idź do niego - zadysponował król, nieoczekiwanie szybko kończąc audiencję. - Każę poddanym, by wskazali ci dom Ajzona. Strażnicy nie będą ci już dokuczać. Uwierz mi, Dimedzie, to było tylko nieprzyjemne nieporozumienie.

Jason nie uwierzył, ale skinął głową. Przeszedł bez żadnych przeszkód przez liczne sale i galerie i wyszedł z pałacu. Powitał go rozentuzjzmowany tłum, a nie jacyś tam poddani Fella. Strażnicy oczywiście nie zamieszali mu dokuczać - własna skóra cenniejsza. Radosny ludzki wir niósł Jasona do otwartych drzwi domu ojca.

Musiał, a jakże, wypić wino z całym towarzystwem - za pomyślny powrót, za jego, można powiedzieć, zmartwychwstanie, za poprzednie i przyszłe czyny. Wiele hałasu, mało sensu. Ktoś już ogłaszał Dimeda nowym królem, ktoś wzywał, by bojowa drużyna ruszyła na pałac Fella, ktoś proponował wybrać się na morski spacer. Inni namawiali na polowanie w górach, a znaleźli się też zwolennicy wielkiego turnieju sportowego. Na śmierć i życie czy jakoś tak, przypomniał sobie Jason, tonąc w oparach wina. Kobiety, dokładniej: piękne młode dziewice, tańczyły coraz bardziej i bardziej zmysłowo, rozpustnie kołysały biodrami i jakby przypadkowo gubiły części ubrania. Wino było lekkie i bardzo smaczne, a srebrne dzbany i złote puchary wciąż napełniano.

W końcu chyba wygrał pomysł przejażdżki morskiej na wspaniałej fregacie z jaskrawopomarańczowymi żaglami. I tam wino lało się szeroką strugą, a dziewczyny były jeszcze piękniejsze, dlatego Jason raczej nie potrafiłby ustalić, jaka była kolejność: najpierw kąpiel w ciepłej lagunie z wodą przejrzystą jak poranna rosa na małej wyspie w cieniu palm

czy polowanie w górach na dzikiego jelenia ze złocistymi rogami niewiarygodnej wielkości, czy może wesołe wyścigi w workach i skoki na boki. Dokładnie pamiętał tylko jedno: na razie szturm odłożono, szczególnie po zbiorowej orgii na olbrzymiej puchowej pościeli o wymiarach stadionu. Ciepłe fale, wielkie piękne ryby, szybkie konie, czule dziewczyny, słodkie wino...

Dopiero piątego dnia pozbyli się wesołego towarzystwa, które zmieniło się w posępny tłum ludzi zmęczonych życiem i sobą nawzajem. W ich oczach widniał teraz kosmiczny smutek, a niepewne nogi z ogromnym wysiłkiem niosły do domów obce, wydawało się, ciała i puste głowy.

Jason, który nie pierwszy raz przechodził przez coś podobnego, odruchowo pilnował przez cały czas swego NZ, nienaruszalnego zapasu niezbędnych akcesoriów astrokomandosa wszystkich tych przypiętych do ciała futerałików i piórników, łącznie ze słynną kaburą. Ani jednej czulej dziewczynie, ani jednemu wulgarnemu pijanemu marynarzowi, ani jednemu z bezczelnych chłopców nie pozwolił dotknąć żadnego z tych przedmiotów i przyrządów, które w określonych okolicznościach ratują życie.

Gdy tylko zostali bez świadków, natychmiast wyjął apteczkę i w kilka sekund uwolnił siebie i ojca od wszelkich nieprzyjemnych następstw pięciodniowego pijaństwa i innych bezceństw.

- Och, jak dawno nie odczuwałem takiej rozkoszy! - zakrzyknął Ajzon. - Apteczka astrokomandosa! Co za wspaniała rzecz! Ja tu zupełnie zdziżałem, Jasonie. Nie wyobrażasz sobie, co to za koszmar żyć w takim świecie.

- Szczerze mówiąc nie wyobrażam sobie - przyznał Jason. - Widywałem gorsze światy. Bywałem w różnych tarapatach, ojciec... Poczekaj, a na jakim świecie żyłeś przedtem?

- Nie pamiętam - westchnął Ajzon. - O to chodzi, że nie pamiętam. Przeklęty Fell coś zrobił z moją pamięcią. Wydaje mi się, że dokładnie usunął pewne ważne fragmenty. Dziś wiem na pewno tylko jedno. Ta planeta nie ma łączności ze światem zewnętrznym. Od jakiegoś czasu po prostu jest niewykrywalna z kosmosu. Uczynił ją niewidzialną. Jakiś tajemniczy ekran w stratosferze nie przepuszcza fal elektromagnetycznych. Obce statki przestały nas odwiedzać, a my nie odbieramy przekazów galaktycznych, niczego nie wiemy o innych światach. Nie mieliśmy nigdy własnego transportu kosmicznego ani własnej psi - łączności. A ta hiperprzestrzenna dziura, przez którą się tu dostałeś, otwiera się bardzo rzadko i nieregularnie. Niektórzy potrafili przez nią uciec. Prowadzę tu nędzny żywot. Pełna beznadzieja, Jasonie. Całkowita. Żadnej łączności z Wszechświatem. Totalna władza dyktatora samozwańca. Pamiętam, że nie tu się urodziłem, ale nie mogę odtworzyć w pamięci, kim byłem wcześniej. Może już nigdy sobie tego nie przypomnę? Chyba że medycyna rozwiniętych światów. . . Ale jak się do nich dostać? Gdyby udało się nam w jakiś sposób przekazać w kosmos prosty sygnał SOS...

- Ojciec, mam psi - nadajnik. Powiedziałeś chyba, że ekran nie przepuszcza tylko fal elektromagnetycznych.

- Oczywiście! - ożywił się ojciec. - Oczywiście! Przecież sam Fell stale przekazuje komuś informacje. Oczywiście, że tak! Jest mu potrzebna łączność ze światem zewnętrznym. Rozumiesz, już dawno domyśliłem się, że Fell też nie jest stąd, widocznie razem tu przylecieliśmy sto lat temu. ..

O wysokie gwiazdy! Ależ on jest gadatliwy! Gotów zagadać sam siebie. Jakby nie dotarła do niego najważniejsza rzecz.

- Ojczy mam psi nadajnik - powtórzył Jason. - Włączam go.

Ajzon znieruchomiał i w milczeniu patrzył na dawno zapomnianą płaską kasetkę z okrągłym lustrzanym okienkiem pośrodku.

Jason powstrzymał się od wysłania w eter standardowego, ślepego wezwania o pomoc. Małe szanse, że kogoś tu przyniesie po takim sygnale! Wolał wezwać Metę za pomocą umówionego kodu, znanego tylko im obojgu. Jeśli jego waleczna przyjaciółka nie pędzi w tej chwili przez podprzestrzeń, powinna odebrać sygnał. Nieważne jak daleko stąd się znajduje. A jeśli znajduje się poza naszą przestrzenią, cóż, poczekam. Prędzej czy później musi się wynurzyć przy jakiejś planecie, wykorzystując energię jej przyciągania.

- Nie masz przypadkiem nadajnika podprzestrzennego? nieoczekiwanie zapytał Ajzon, widocznie myślący mniej więcej o tym samym.

- Nie, ojczy, technika nie sięgnęła jeszcze tak daleko. Do łączności podprzestrzennej potrzeba mnóstwa energii. Nie wystarczą kieszonkowe baterijki atomowe...

Nadajnik cicho popiskiwał, ale odpowiedzi nie było. I skracając czas oczekiwania, Jason zapytał:

- Dlaczego Fell, gdy tylko wszedłem do jego pałacu, gapił się na moją bosą stopę jak na ogromną tarantulę?

- Ha! - zawołał Ajzon. - Już ci mówię! Wiele lat temu pytiasz przepowiedział Fenowi, że nieszczęście i śmierć przyniesie mu człowiek, który zejdzie z gór do Jolku w jednym sandale.

- Kto to jest pytiasz? - zaciekał się Jason.

- Pytiaszami nazywamy przepowiadających przyszłość. Ajzon prychnął. - Teraz już wiem, że ten przepowiedacz nie był zwykłym oszustem. Też zapewne przybył do nas z innego końca Galaktyki przez tę czarną dziurę. Jak Chiron. . .

I nagle usłyszeli głos Mety:

- Jasonie! Gdzie jesteś, Jasonie? Jestem na orbicie globu, z którego dotarł do mnie sygnał. Czy to planeta Jolk?

- Tak, Meto, ten świat nazywa się Jolk. Sprecyzuj kurs według naszego sygnału, dam ci zaraz bardziej skupiony, weź pół stopnia na południe i woduj w oceanie. Słyszysz mnie?

- Słyszę, ale nie widzę. W ogóle nie widzę żadnej planety. Nie rejestrują jej przyrządy, żaden prócz grawimetru.

- Wszystko w porządku, Meto! Rób, jak ci mówię. Wejdiesz w atmosferę i od razu wszystko zobaczysz. ..

- Dobrze. Wchodzę na kurs. Koniec łączności.

- No. - Ajzon zatarł dłonie. - Teraz możemy dyktować mu warunki.

- Nie gorączkuj się, tato. Pozwól, że się we wszystkim rozeznam - Pewnie masz rację, synku, pewnie masz rację... O, a to co? Daj zapalić. Chyba ze sto lat nie paliłem.

Wymięta paczka stożarów była jeszcze jednym obowiązkowym elementem NZ Jasona.

Zapaliwszy obaj podeszli do okna i zobaczyli, jak nieopodal schodzi z nieba połyskująca ciepłym tytanowym blaskiem fasetowa kopuła "Temuchina". Statek zwodował łagodnie, nawet nie wzbijając fontanny bryzg. Porywca, niepohamowana, szalona Meta potrafiła być precyzyjna i delikatna.

- Kto to? - zapytał Ajzon.

- Moja narzeczona - z przyjemnością odpowiedział Jason i tym razem niemal nie mijał się z prawdą.

Meta omal nie urwała głowy biednemu Gwahanofabusowi, kiedy goła pięta Jasona zniknęła w mroku rewanawera, ciągnąc za sobą ostatni strzęp tej zmyślnej substancji. Mędrzec chrypiał i wściekle przewracał oczami, jego słowa nie mogły przebić się przez stalowe imadło pyrrusańskich palców, a nogi rozpaczliwie machały kilka centymetrów nad podłożem jaskini. I dopiero gdy sztywne palce Gwahanofabusa wyjęły spomiędzy fałd chałatu tajemniczo migoczący w mroku kryształ, coś zaskoczyło w głowie Mety; zrozumiała, że jeśli ktoś mógłby jej teraz pomóc w odzyskaniu Jasona, to tylko ten zdechlaczek. A to znaczy, że jeszcze nie pora skręcać mu kark.

Kryształ był manualnym wykrywaczem zakrzywień przestrzeni i z dużym wyprzedzeniem sygnalizował aktywizację miejsca, w którym możliwe jest hiperprzestrzenne przejście. Mędrzec gotów był podarować jej tę zabawkę. A gdy odzyskał przytomność, wyjaśnił, że Jason udał się właśnie na Jolk, że nie zagrażają mu tam żadne straszliwe niebezpieczeństwa i że w ogóle miał wielkie szczęście - przedarł się na drugą stronę w ostatniej sekundzie aktywności rewanawera. Oboje nie mieli szans na przejście. Mecie nie pozostaje zatem nic innego, jak dogonić swego przyjaciela zwyczajnym sposobem. W każdym razie tak będzie szybciej.

- Wyobraź sobie - mówił Gwahanofabus - że spóźniliście się na ostatni wirolot. Następny będzie za dwa dni. Nie lepiej od razu skorzystać z sześciochodu?

Widocznie mędrzec zapominał, że Meta nie jest mieszkanką Saandu i wiroloty z sześciochodami są jej równie obce jak rewanawer. Ale ten sposób rozumowania przekonał Pyrrusanę co do uczciwości i dobrych zamiarów Gwahanofabusa. Dlatego też, nie tracąc czasu na dalsze objaśnienia, rzuciła się na poszukiwanie ukochanego.

Plan dojrzał szybko. Wszędołazem pożyczonym od Esłego popędziła do najbliższej

bazy wojskowej. Zewłok stalowego dzika zabrała ze sobą, nie zwracając uwagi na rozpaczliwy opór Actiona i smutne spojrzenie Chirona. Od wojskowych, po krótkich negocjacjach, pożyczyła najszybszy myśliwiec i mniej więcej po półgodzinie wylądowała w kosmoporcie. Tam już na nią czekano. Jak to się mówi, z fanfarami i kwiatami, zgodnie z rytuałem. Tylko nie wiadomo dlaczego nikt nie wpadł na pomysł ukrycia "Temuchina" i nikt też nie odłączył bloków energetycznych, a te zaniedbania bardzo ułatwiły Pyrrusance dalsze działanie. Otworzyła zdalnie luk statku, przeładowała dzika, nie wychodząc z kabiny pilota. Trofeum było przytrzymane do kadłuba samolotu jak rakieta bojowa. Kiedy zamierzała przesiąść się sama, jakieś gorące głowy postanowiły jej przeszkodzić. Może byli to nawet zawodowi żołnierze, wyszkoleni i wytrenowani, ale nikt ich, biedaków, nie uprzedził - bo kto mógł to przewidzieć? z kim będą mieć do czynienia. Co im przekazano przez radio? Dziewczyna. Sama. Porwała myśliwiec. Tylko tyle. Noto dziewczyna (sama) porzuciła tych tupeciarzy jak kocięta.

Przysięgała Jasonowi, że nie wystrzeliła ani razu i strasznie była dumna ze swego opanowania i wspaniałomyślności. Chociaż z czego tu być dumnym? Po prostu nie mogła strzelać, bo było to niebezpieczne. W końcu usiłowali ją zatrzymać żywą. A gdyby otworzyła ogień, nie wiadomo jak by się to wszystko skończyło...

Jednakże wszystko skończyło się wspaniale. "Temuchin" jest okrętem takiej klasy, jaka nieprędko będzie dostępna wojennej flocie peryferyjnej planety. Na dodatek "odrywanie ogona" w kosmosie Meta opanowała nie wczoraj i nie przedwczoraj. Więc jeśli nawet zorganizowano jakiś pościg, to jakby go nie było.

- Przypomniałem sobie! - radośnie krzyknął Ajzon po wysłuchaniu zajmującego opowiadania synowej, która oczarowała go od pierwszego wejrzenia.

- Co sobie przypomniałeś, ojczu? - zapytał Jason z niepokojem.

- Przypomniałem sobie, jak się tu dostaliśmy.

- Skąd? - szybko zapytał Jason, jakby w obawie, że zwłoka doprowadzi do zmarnowania krótkiego momentu pełnej świadomości ojca.

- Tego na razie sobie nie przypomniałem - odpowiedział Ajzon, rozkładając ręce.

- No dobra, opowiadaj.

- Było nas troje na tym statku: Nivella, moja żona, Fell przyjaciel z dzieciństwa, i ja. A statek nazywał się "Banan".

- Jak się nazywała twoja żona? - zapytał Jason w obawie, że się przesłyszał.

- Nivella. Moja żona i twoja matka. Gwiazdolot "Baran" był modelem eksperymentalnym. Jego korpus zespawano z arkuszy zupełnie nowego stopu, zdaniem wynalazców odpornego na wszelkie możliwe oddziaływania, łącznie z gorącą plazmą, strumieniem neutrinowym, promieniowaniem psi, a nawet antymaterią. Skąd i dokąd mogliśmy lecieć takim urządzeniem? Nie mam pojęcia. Ale tu znaleźliśmy się na pewno przypadkowo. Uszkodzeniu uległy silniki i generator skoków jednocześnie. Musieliśmy

natychmiast lądować. Gdziekolwiek. Tak trafiliśmy na Jolk.

Nie mogliśmy oczekiwać pomocy od miejscowej ludności, a zepsuty "Baran" okazał się trudnym orzechem do zgryzienia. Ja byłem tylko pilotem. Nivella coś tam wiedziała o silnikach i automatyce elektronicznej, ale na najnowszych systemach obrony, które na pewno testowaliśmy w tym locie, znał się tylko Fell, fizyk z wykształcenia. On zresztą od razu powiedział, że katastrofalne w skutkach awarie spowodowały właśnie nowe systemy. Coś tam wyczyniał z tą wariacką techniką - a w grę wchodziły niewyobrażalne moce! - aż w końcu pewnego pięknego dnia statku już nie dało się użyć zgodnie z przeznaczeniem. Stał na przedmieściach Jolku jako pomnik naszej głupoty.

Nadszedł czas, by wykrzyczeć SOS na całą Galaktykę. Ale okazało się, że Fell zepsuł nie tylko statek. Nad całym globem w toku, a może na skutek prac techniczno - remontowych Fella powstał nieprzenikliwy ekran. Koniec. Finito. Znalezliśmy się w pułapce, którą sami zastawiliśmy. Nie zostało nam nic innego, jak poczekać na przypadkowych gości, to znaczy mieć nadzieję na cud. Fell kontynuował swoje szalone badania, codziennie informując nas, że jeszcze - trochę, jeszcze chwila i znajdzie rozwiązanie zagadki. Ale ja już rozumiałem: on nie jest zupełnie normalny. Nivella zgodziła się ze mną i zauważyła, że nam też to grozi. Dlatego pozostawiliśmy Fella samemu sobie i postanowiliśmy jakoś się urządzać w świecie, gdzie cisnął nas los. Byliśmy młodzi i chcieliśmy żyć pełną piersią.

W końcu Jolk nie był najgorszym miejscem we wszechświecie. Poziom rozwoju? Taki sobie. Korzystając z naszej wiedzy, szybko przejęliśmy władzę na planecie. Pokojowo. Ogłosiłem się synem zmarłego rok wcześniej mądrego i kochanego przez lud króla Kreta. Fell na wszelki wypadek uważany był za mojego przyrodniego brata. Uznaliśmy, że jego ojcem może być legendarny admirał Poison, który nie tak dawno zginął w jednej z miejscowych awantur. Zaczęliśmy powoli przeprowadzać reformy. Ale nie przewidzieliśmy jednego: Fell oszalał do reszty od tej swojej fizyki. Oburzało go nasze zachowanie, krzyczał, że zdradzamy cywilizację, żądał czynnego udziału w szalonych eksperymentach, a tymczasem przy pomocy jakichś wynajętych zbirów wymordował najlepszych ludzi na planecie, wychowanych przez nas w tradycjach współczesnej kultury, i ogłosił się królem. Poddaliśmy się bez walki, chcieliśmy do minimum ograniczyć rozlew krwi. A na dodatek Nivella była w ciąży i nosiła pod sercem ciebie, Jasonie. Podły Fell zagroził, że zabije dziecko zaraz po urodzeniu, jeśli dobrowolnie nie zrezygnujemy z władzy. Zrezygnowaliśmy więc. Rozumiesz przecież, że takim ludziom nie można ufać. Bardzo chciałem cię ukryć. Urządziłem więc fałszywy pogrzeb. I wtedy pojawił się Chiron niczym sam los.

Zawsze pojawiał się niespodziewanie, ale tym razem przybył w najlepszym momencie. I na dodatek przyznał się, w jaki sposób tu trafił. To było dopiero odkrycie! Oczywiście błagaliśmy go, żeby nas stąd zabrał, ale on wyjaśnił, że to niemożliwe. Dziecko owszem, para dorosłych - nie. Dlaczego nie przekazaliśmy mu jakiegoś listu do wyemitowania w eter? Dlaczego mu uwierzyliśmy i nie próbowaliśmy wskoczyć za nim? Sam nie rozumiem. Ale właśnie od tej chwili moje stosunki z Nivellą zaczęły się psuć. Jeszcze raz skończyło się moje życie. Runęło wszystko, co łączyło nas dotychczas - władza, marzenia, wspólne wspomnienia, które w jakiś sposób usunął z naszej pamięci ten szalony

fyzyk. A miłość? Zapewne skończyła się jeszcze wcześniej.

I oto pewnej nocy, gdy spałem, Nivella odeszła. Skąd wiedziała, że właśnie tej nocy, a dokładniej o świcie, otworzy się tajemnicze hiperprzejście? Obudziłem się rano i od razu wiedziałem, co się dzieje. Ale gdy ledwo żywy wdrapałem się na tę górę, właśnie mała plamka rewanawera, jak go nazywał Chiron, kurczyła się w oczach i podrygiwała, jakby śmiejąc się ze mnie. Nivella odeszła. Już nieważne było dokąd.

Ale najdziwniejsze jest to, że zobaczyłem Nivellę raz jeszcze. Wróciła po wielu latach. Nie po mnie, a po naszego "Barana". Nawet nie chciała ze mną rozmawiać. Rzuciła tylko jedno zdanie: "Przepraszam, ale bardzo się spieszę. Potem ci wyjaśnię". I była przy tym taka obca. Weszła do kabiny naszego starego statku - pomnika, nacisnęła paluszkami jakieś przyciski i... odleciała. Statek, jak się okazało, był sprawny. A ja nawet się nie zdziwiłem ani nie rozżłościłem. Było mi już wszystko jedno. Od dawna nic mnie nie cieszyło. Tylko czekałem; czekałem, czekałem. I tak miało być.

Oczywiście poszedłem do Fella i powiedziałem mu, co się stało. Ale on już wiedział, donieśli mu jego tajni agenci. Popatrzył na mnie szalonymi oczami i powiedział:

- Twoja Nivella jest wiedźmą!

- Kto to jest wiedźma? - zapytała Meta.

- Zła czarownica - wyjaśnił Ajzon. - Kobieta, która włada siłami magii nieznanymi nauce.

- Aaa - powiedziała Meta. - Starożytne mity.

- U nas wszystko jest stare, córeńko - uśmiechnął się smutno Ajzon. - Nie tylko mity i legendy, ale i samo życie.

- Niczego więcej sobie nie przypominasz, tato? - zapytał Jason.

- Jeszcze mam wiele dziur w pamięci. A o Nivelli już nic więcej nie wiem. Nie miałem nawet czego zapominać.

- Za to ja coś wiem o Nivelli - odezwał się Jason.

I opowiedział ojcu o szyfrogramie Freiksa przechwyconym przez Berwicka.

Z takiej okazji wypalili resztę papierosów, mimo oburzenia Mety i ryzyka, że zostaną bez nikotyny nie wiadomo na jak długo. - Ajzonie, nie odnosisz wrażenia, że to wcale nie Fell steruje twoją pamięcią? - zapytała Meta. - On jest tylko narzędziem w czyichś niedobrych i bardzo silnych rękach. Proszę tylko popatrzeć, ile planet zostało wciągniętych w wasz życiorys. Toczy się jakaś duża galaktyczna gra, a my znaleźliśmy się w jej centrum. Fell to zaledwie pionek.

- Zgoda - skinął głową Ajzon. - Ale teraz pójdziemy właśnie do niego.

- Po co? - Meta poderwała się gwałtownie. - Szukać nowych przygód? Wystarczą mi problemy na Pyrrusie. Do tego Jason niedługo zacznie szukać mamusi po całym centrum Galaktyki! A ja przecież go samego nie puszczę. Niech pan pomyśli, kiedy wreszcie będziemy

mogli wrócić do domu?

- Musimy odwiedzić Fella. Nie mogę porzucić planety Jolk na los szczęścia. Zbyt wiele się z nią wiąże. Tutejszy lud mnie kocha i uważa za swego prawdziwego władcę. Chcę odlecieć stąd tylko po to, żeby się wyleczyć, przypomnieć sobie przeszłość. I żeby poczuć wolność. A potem chcę tu wrócić. Przecież to teraz mój świat, powinien należeć do mnie, a nie do Fella.

- Ojciec ma rację - powiedział Jason, biorąc ukochaną za rękę. - Powinnaś to zrozumieć. Jolk jest mu drogi nie mniej niż tobie Pyrrus.

- A tobie? - zapytała wyzywająco Pyrrusanka.

- Mnie? Na pewno niedługo będę uważał za swą ojczyznę całą Galaktykę. Ale przecież urodziłem się właśnie tutaj. Nie patrz tak na mnie! Oczywiście, nasz Pyrrus jest mi droższy. Czy tak trudno to zrozumieć?! Chodźmy do Fella.

Fell oczekiwał ich, rozwaliwszy się na tronie w umyślnie niedbałej pozie. Tajni agenci donieśli już swemu panu o wszystkich szczegółach wstrząsających wydarzeń ostatnich godzin, i to na długo przed pojawieniem się trójki buntowników na stopniach prowadzących do królewskiego pałacu. Ale Fell nazbyt starannie chciał stworzyć pozory, że ma wszystko w nosie. Widać było gołym okiem, że się denerwuje, jest załamany, że już niemal się poddał. Nie miał żadnych atutów. W każdym razie tak się Jasonowi wydawało.

Jason odezwał się pierwszy:

- Bardzo się stęskniłem za ojcem. Dlatego pięć dni temu po prostu nie miałem czasu porozmawiać z tobą, samozwańcze. Fell uśmiechnął się krzywo i nawet obelgę przełknął bez słowa. Miał minę: mów, Jasonie, mów, Dimedzie.

- Ale teraz przyszedłem ci powiedzieć, że władza na tej planecie prawnie należy do Ajzona. I jeśli nie ustąpisz dobrowolnie, będziemy zmuszeni usunąć cię siłą. Już dzisiaj wyjdiesz na plac i oznajmisz ludowi, że zrzekasz się tronu, a my znajdziemy człowieka, który będzie w naszym imieniu rządził tu czasowo. Odlecimy na krótko, żeby wyleczyć ojca. Potem wrócimy, a ty... Nie, ja cię tu nie zostawię. Ojciec ma rację, takim jak ty nie można wierzyć. Weźmiemy cię ze sobą i wysadzimy na jakiejś dzikiej planecie, gdzie nie można umrzeć z głodu, ale na której nie ma też ludzi. Jesteś niebezpieczny. Jeśli masz jakieś kontargumenty, wysłucham ich. Mógłbym też oddać cię w ręce sprawiedliwości. Nie sądzę, by ci się podobało takie rozwiązanie. Przecież bezludną planetę możesz wybrać wedle gustu, a sprawiedliwość nie pozostawi ci wyboru.

- Rozumiem, że urodziła się już galaktyczna sprawiedliwość? - szyderczo zapytał Fell.

- Wyobraź sobie, że tak - skłamał Jason bez mrugnięcia okiem. I dodał, chcąc, by zabrzmiało to jeszcze bardziej przekonująco: - Ale ty będziesz sądzony według prawa swojej planety.

- O jedno cię proszę, Dimedzie, nie blefuj! - rzucił Fell. Wydawało się, że z każdą sekundą jest weselszy, że za chwilę nie wytrzyma i roześmieje się na głos. - Przecież nie

wiesz, z jakiej planety pochodzę. Twój tatuś też tego nie wie. Bo zapomniał wszystko! - I teraz zarechotał. - Chcesz wyleczyć swojego ojca z amnezji? Głuptasie! To nie jest zwyczajna amnezja. To w ogóle nie jest amnezja, jeśli chcesz wiedzieć. Zapytasz, co to jest? A ja też nie wiem!

Zaczął się śmiać jak szalony i długo nie mógł się opanować, chociaż wyraźnie chciał jeszcze coś powiedzieć. Jason nagle wyczuł jakiś podstęp. A to znaczyło. . . Znaczyło, że Meta w każdej chwili może zacząć strzelać.

- Uspokój się, Fell - rzucił Jason twardym głosem. - Chcemy porozmawiać, a nie rechotać z siebie nawzajem.

- Ja się nie śmieję z was - wykrztusił ponuro Fell. - Po prostu coś mnie napadło. - I nagle krzyknął: - Ajzonie! Ci młodzi, w porządku, pstro w głowach. Ale ty, stary durniu, czy nie rozumiesz, że nie możesz stąd odlecieć?! Przecież ekran cię nie przepuści.

- Jak to, nie przepuści? - Ajzon zaczął się jąkać ze zdenerwowania. - Nie rozum - miem...

- Co tu rozumieć! - zdziwił się Fell. - Przecież jesteśmy więźniami tego globu, więźniami własnego eksperymentu. Spróbuj się zbliżyć do ekranu, to cię skręci taki ból, jakiego żaden człowiek nie wytrzyma.

- A ty się zbliżałeś? - zapytał cicho Ajzon.

- Tak - odpowiedział Fell. - Zbliżałem ekran do siebie. To nie jest skomplikowane. Wiele rzeczy zrozumiałem, podczas gdy ty i Nivella zajmowaliście się jakimiś bzdurami.

- My? Bzdurami?! Poczekaj ! - Ajzon jakby się dopiero obudził. - A co z Nivellą? Przecież ona opuściła ten świat, i to dwukrotnie!

- Oczywiście. Tyle że raz przez hiperprzestrzeń, a drugi raz na "Baranie". Dobrze mówię? No więc w tym rewanawerze nieźle ją skręciło, skoro zamierzała trafić na Porgorstorsaand, a trafiła na Orhoman. Wrażenia musiały być mocne, że już nie wspomnę o pamięci. Co się dzieje z jej pamięcią, tylko kosmos wie. Zresztą, niech się tym zajmują wspaniali medycy Ligi Światów. A jej druga ucieczka jest znacznie ciekawsza. Zresztą sam myślałem, że przeskoczyć ekran na naszym "Baranie" to jak splunąć. W końcu ta cholerna maszyna nie może się bać tego, co sama stworzyła. Tylko nie rozumiem, jak się udało Nivelli reanimować nasze silniki. Chcesz to wierzyć, nie chcesz to nie, ale dla mnie to prawdziwa zagadka.

- Nie wierzę - odpowiedział głuchym głosem Ajzon.

- To sobie nie wierz. Ale powiadam ci raz jeszcze: to wiedźma. - Dlaczego więc nie odleciała wcześniej?

- No, bracie - Fell nieprzyjemnie zachichotał, wypowiadając słowo "bracie". - Dla twoich dzieci nie chciała się wysilać, a dla dzieci Ahamanta, wprost przeciwnie.

- Ty bydlaku - powiedział szeptem Ajzon.

- Może i tak - odparł spokojnie Fell. - Ale mówię prawdę, a ty chyba nie wierzysz w ani jedno moje słowo. Twój syn i jego dziewczyna w takiej sytuacji mogą narobić głupstw Czy naprawdę postanowiłeś iść na skrót, wariacie? Chcesz spróbować?! Próbuj !

Fell nagle wytrzeszczył oczy i zaczął się wpatrywać w Ajzona bardzo uważnie. Hipnotyzował go. Ajzon niemal natychmiast chwycił się za głowę i już po kilku sekundach zaczął błagać:

- Nie rób mi tego, proszę!

- Czego? Ja tylko zbliżam ekran. I to zaledwie, odrobinę. Spróbujemy jeszcze trochę?

- Nie - jęknął załamany Ajzon.

Jasonowi nie chciało się wierzyć, że Fell siłą myśli rzeczywiście zbliża do powierzchni planety elektromagnetyczny czy jakiś tam inny ekran. Jako wyczulony na emocje, telepatyczne polecenia i temu podobne, Jason powinien był cokolwiek w tym momencie odczuć. A nie czuł kompletnie nic - ani impulsów mózgu ojca, ani jego kata. Co oznaczało, że to czysta fizyka i fizjologia. Najprawdopodobniej do mózgu Ajzona wszczepiono jakieś urządzenie, a Fell, wytrzeszczając gały, tylko bajeruje widzów jak zawodowy prestidigitator, a rękami, nogami albo zębami naciska ukryty guziczek...

Jason zdecydowanie przerwał dociekania. Nie to jest teraz najważniejsze. Zmienił się rozkład sił, a raczej odwrócił. Jak w pojedynku na śmierć i życie. Dopiero co wbijałeś, bracie, łufę pistoletu w skroń przeciwnika, ale wróg wykonał niepojętą, ryzykowną, sekretną woltę i oto twój własny pistolet patrzy ci w oko. Ale najdziwniejsze, że nikt nie chce strzelać. Obie strony chcą tylko dyktować warunki. I teraz nie ma co dyskutować, górą jest Fell.

- Czego od nas chcesz? - zapytał wprost Jason.

- Chcę, żebyście polecili na planetę Agreasy, odszukali nasz stary okręt i dostarczyli go tutaj. I byłoby jeszcze lepiej, gdybyście przy okazji dostarczyli tu Nivelę. Najważniejszy jest jednak "Baran". To zresztą leży w waszym interesie i chyba już ci jasno wytłumaczyłem, Jasonie, że tylko w ten sposób możesz pomóc ojcu. Zapamiętaj też, chłopcze - tak, tak, dla mnie jesteś chłopcem! - kiedy wrócicie na Jolk, "Baran" będzie należał tylko i wyłącznie do mnie.

- Ty też zapamiętaj, dziadku - czule odezwała się Meta - że jeśli w czasie naszej nieobecności cokolwiek stanie się Ajzonowi, nie pomoże ci żaden ekran. Zawlokę cię do pyrrusańskiej dżungli, porzucę tam gołego i bezbronnego i będę się przyglądała spod kopuły ochronnej, jak tam zdychasz w wielkich męczarniach. Zapamiętaj to sobie dobrze, staruszk. Idziemy, Jasonie. Ja już wszystko wiem.

Odwróciła się gwałtownie, a jej ostatnie słowa zawisły w powietrzu. Jason ruszył za nią, ale odchodząc, zwrócił się do ojca: - Odprowadzisz nas?

- Oczywiście, oczywiście. - Ajzon już ich dogonił. - Nie przejmujcie się mną. Gdyby ten typek chciał mnie zabić, już dawno by to zrobił. Zapewniam was, że nic mi nie grozi.

Z tyłu rozległ się donośny rechot, ale żadne z nich nawet się nie odwróciło.

Na ulicy Meta zapytała z dziecinną bezpośredniością:

- Jasonie, powiedz mi, skąd się biorą tacy ludzie? Przecież on jest wstrętniejszy od kolcolota!

- Brawo, kochanie! - pochwalił ją Jason. - Przed tobą stała istota ohydniejsza od kolcolota, a ty nawet nie wyciągnęłaś pistoletu.

- To komplement czy kpina?

- A jak sądzisz?

- Wiesz co, mam cię gdzieś! - Meta machnęła bez złości ręką i skierowała się do "Temuchina", zaparkowanego wyzywająco przed pałacem.

- No to jak, pilocie, dokąd teraz lecimy? - zapytał Jason, gdy już znaleźli się na orbicie i planeta Jolk zniknęła ze wszystkich ekranów oprócz ekranu grawimetru, na którym widniała w postaci ostrego zęba na skrzyżowaniu osi koordynat.

- Planeta Agreeasy, kapitanie. - Meta zaszalutowała niczym starożytny żołnierz. - Gromada kulista numer. . .

- Wróć, pilocie! Nie tak. Lecimy na Pyrrusa.

- Dlaczego?! Nie chcesz pomóc ojcu, porzucasz go? Ja się nie zgadzam.

- Ależ nie, skądże! Nikogo nie porzucam. Pamiętasz, proponowałaś, żebyśmy polecieli "Argo". Miałaś rację. Wyruszmy z całą załogą, bo inaczej na cieplej i słonecznej Agreeasy byłoby dla nas dwojga za gorąco. Przecież to glob tak samo dziki jak Jolk czy Orhoman i dodatkowo jeszcze mają zabawkę, Olśniewającego Śruboroga, czyli "Barana". Nie chce mi się wierzyć, że tamtejsi władcy niecierpliwie czekają, aż przyleci prawowity właściciel, żeby mu zwrócić maszynę. Przecież wszyscy tam są szurnięci, wierząca magię i ingerencję bogów. A bogowie, wiadomo, co im nakazali. Tak mi się wydaje. Będziemy się musieli dobrać do owych "bogów", więc przyda się i Kerk, i Rhes, i Clif, i Stan, i nawet Archie. Obawiam się, że Teca też. Bo bez lekarza.. .

- Daj spokój, Jasonie. Chodźmy lepiej popatrzeć na gwiazdy. Stanęli przez wielkim iluminatorem. Trzy warstwy grubości czterech palców: staloszkło, spektrolit, leukoszafir, a za nimi kosmiczna próżnia, mrok, zimno. Jason zawsze uwielbiał takie okna na świat. Na "Argo" nie było ich, bo i skąd, do licha, iluminatory na okręcie bojowym. Są ekrany, jest sieć kulistych czujników za burtą. Ale nie okna! Zero romantyzmu. A tu można sobie stać jak w otwartym kosmosie i chłonąć wspaniałe różnokolorowe wzory gwiazd wyrysowane na niebie. Przecież statek jest już w skoku. Jak fajnie - ty, twoja ukochana i wszechświat przed wami jak na dłoni!

Przypomniał sobie, jak stali tak we dwoje wiele lat temu, gdy po raz pierwszy razem lecili na Pyrrusa. I czując, że jest najszczęśliwszym człowiekiem w Galaktyce, objął Metę i przycisnął do siebie.

- Uśmiechasz się - powiedziała, umyślnie używając tych samych słów co wtedy. - Też

kochasz gwiazdy.

- Kocham cię, Meto.

- A ja ciebie. Chodźmy do kajuty.

- Chodźmy. Ale nie złamiesz mi ręki? Roześmiali się cicho.

Rano połączył się z Berwickiem. Opowiedział mu krótko o wszystkim. Uważał, że Berwick powinien być wprowadzony w ostatnie wydarzenia. Ani Korpus Specjalny, ani Gwarantanci Stabilności nie mieli żadnych nowych wiadomości. No i chwała Bogu, informacji mieli aż za dużo.

Podróż na Pyrrusa trwała dobę.

Planeta Śmierci nie zaskoczyła ich. Może tylko zdziwiła rzadkim ostatnio spokojem. Przed burtą? Możliwe. Tylko skąd oczekiwać tej burty? Nie odnotowano żadnych nowości typu latających igieł czy powracających pocisków. Co prawda, pojawiły się nowe postacie cyborgów, na przykład tak zwane superrogonosy z tytanowymi szpicami bojowych rogów czy miedzianozębe kajmany, które przegryzały kable zasilania i podstępnie wywoływały krótkie spięcia. Odkryto również wolframowe trzmiele - wytrzymały nawet tysiąc stopni Celsjusza, ale były na szczęście bardzo czułe na mechaniczne uszkodzenia.

Jeśli podsumować dane z całego globu, wynikało z nich, że cyborgi zachowywały się przyzwoicie, minimalnie tylko zakłócając spokój. W czasie nieobecności Jasona zginęło bądź zostało rannych zaskakująco mało osób. Aktywność flory i fauny w rejonie kosmoportu wyraźnie się obniżyła, co widać było nawet gołym okiem. "Argo" czekał po przeglądzie. Cisza i spokój, jak mawiali przodkowie. Najlepszy moment do zapoznania współplemieńców z nowinami.

Zdecydowano, że zaczną od stalowego dzika. Brucco rozmroził go, wypatroszył, przeanalizował, przygotował tysiące preparatów i sprawdził mikroelementy do piątego znaku po przecinku. Dokooptował Stana, Tecę i Archiego, ale i tak niczego nie osiągnęli. To znaczy nie doszli do najważniejszego: gdzie zostało wyprodukowane czy wyhodowane to draństwo i czy ma coś wspólnego z pyrrusańskimi mutantami.

- Koniec - powiedział Brucco, przerywając w końcu badania i ocierając pot z czoła. - Nie ma co świrować, chłopaki. Znajdziemy odpowiedzi na pytania, ale nie tak szybko, jak byśmy chcieli.

Wtedy Jason zaproponował jak, jego zdaniem, można przyspieszyć otrzymanie odpowiedzi.

Władze Pyrrusa jak zwykle z pewną dozą nieufności wysłuchały zasłużonego i niemal uznanego za swojego, ale jednak człowieka z innej planety. Kerk marszczył czoło. Rhes uśmiechał się zagadkowo. Clif i inni młodzi rwali się do boju. Znudziła im się już walka z pospolitymi stworami.

Kerk tradycyjnie odpowiedział pierwszy.

- Znowu cię nie rozumiem, Jasonie. Znowu coś kombinujesz. Zgoda, na Felicity opanowaliśmy nowy świat. Otrzymaliśmy go, zasiedliliśmy, zbudowaliśmy kopalnie. Teraz jest czymś w rodzaju kolonii, dającej niezły roczny dochód. Ale co mamy do roboty w centrum Galaktyki? Tam i bez nas jest ciasno. Co nam da taka ekspedycja? Zaspokoi czyjąś naukową ciekawość? Pyrrusanie nie mogą sobie na to pozwolić. Żyjemy na wulkanie. Dzisiaj wulkan jest cichy i spokojny, ale przecież nie wygasł.

- To prawda - zgodził się Jason. - Posłuchajcie mnie uważnie jeszcze raz. Przypomnę pokrótce główną myśl mojego wystąpienia. I jeszcze coś dodam. Pierwsza rzecz: Pyrrus znajduje się na liście planet wyposażonych kiedyś przez kogoś w urządzenia do skoków hiperprzestrzennych. Jeśli wyjaśnimy zasadę działania tych urządzeń i poznamy ich budowę, może odkryjemy tajemnicę Pyrrusa. Nie tylko zaspokoimy ciekawość badacza, ale rozwiążemy za jednym zamachem problem momentalnego transportu. Druga sprawa: pamiętajmy o "Baranie", którego zbudował też nie wiadomo kto i który może być albo potężną bronią, albo wspaniałym środkiem obrony, albo jednym i drugim jednocześnie. Czy Pyrrusowi nie przydałby się taki statek? Po trzecie, mój ojciec jest w opałach, a to znaczy, że w opałach jestem i ja, chociaż wy nie uznajecie takich sentymentalnych bzdur. Możecie zachować swoje zdanie, ale proszę was o pomoc. O pomoc dla Jasona dinAlta. Czy ja nigdy wam nie pomagałem?

Odpowiedziała mu długa cisza. Potem ktoś chrząknął z zakłopotaniem i nie podnosząc głowy, powiedział:

- Jasne, że pomożemy, nie ma co! Niech podniosą ręce ci, którzy się zgadzają.

I ręce unosiły się jedna po drugiej.

Zgłosiło się dwustu chętnych do lotu - więcej niż kiedyś na podbój całej planety. Aż tylu nie było potrzebnych. Załoga "Argo" powinna się składać z pięćdziesięciu ludzi, a pasażerowie byli zbędni. Kim są pasażerowie na okręcie bojowym? Piechotą kosmiczną. Ale Jason nie zamierzał prowadzić działań bojowych zakrojonych na szeroką skalę. No, gdyby były potrzebne, zawsze można się posłużyć regularnymi oddziałami floty Ligi Światów czy nawet oddziałami Korpusu Specjalnego. Podczas tej wyprawy przede wszystkim będą się liczyły umysły. Dlatego bez wahania zaprosił do udziału w wyprawie tak mało wojowniczego człowieka jak Archie z Uctisa.

Meta, póki trwało kompletowanie załogi i upychanie w ładowniach ekwipunku, wyruszyła "Temuchinem" w lot nad planetą. Nikt nie wiedział po co. Myślano, że chodzi o sentymalny spacer. Ale Meta była kobietą nie ulegającą sentymentalizmom. Celem jej krótkiej wyprawy było wypróbowanie kryształu podarowanego przez Gwahanofabrusa. Ciekawe, może to i prawda, że na jej ojczystej planecie znajdował się hiperprzestrzenny tunel. Może jeszcze istnieje? Chociaż Chiron twierdził, że się zamknął.

Dokąd się udała? Przed siebie? Ależ nie, intuicja podpowiedziała jej, że powinna się skierować ku morzu i dalej, do miejsca, gdzie wiele lat temu gigantyczna eksplozja zatopiła cały archipelag.

Kryształ zaczął świecić długo przed osiągnięciem celu, a maksymalną jasność osiągnął tam, gdzie kiedyś znajdowała się jaskinia, w której zostali pogrzebani odważni Pyrrusanie, polegli podczas szturm na cytadelę wroga. Teraz przetaczały się tu fale nieprzyjaznego wzburzonego oceanu. "Temuchin" to świetny statek, ale nie jest łodzią podwodną ani batyskafem. Nurkowanie musiało się odbyć z wykorzystaniem innych środków technicznych.

Meta zawróciła, odkładając na nieokreślony czas ekspedycję Podwodną.

Jason pochwalił ją.

- To, czego się dowiedziałas, jest bardzo ważne. - Naprawdę? - zdziwiła się.

- Oczywiście. Wiem teraz na pewno, że wszystkie te cyborgi przysyłał na Pyrrusa osobiście Theodor Solvitz. Mścił się na nas. - Jak to?

- Właśnie rozmawiałem z Naxą. Wiesz, co mi powiedział? Udało im się stwierdzić, że wszystkie cyborgi, niezależnie od środowiska, do którego były przeznaczone, wychodziły z morza... A ty mówisz, że niepotrzebnie się przeleciałaś...

Jason podszedł do okna. Na zewnątrz szalała ulewa z gradobiciem. A na horyzoncie niebo było błękitne i morze błyszczało w promieniach słońca.

- Ach, gdyby wtedy udało mi się was powstrzymać! - wyrwało mu się.

Meta nie odpowiedziała. Po co? Przecież wiedziała, że chodzi o ten, fatalny wybuch bomby atomowej.

- Kiedy startujemy? - rzeczowo zapytał Kerk, gdy lista załogi został uzgodniona, a każdy z uczestników wyprawy miał już wyznaczonego zastępcę na planecie.

- Jeśli o mnie chodzi, im prędzej, tym lepiej - odpowiedział Jason. - Ale zapytaj Metę. Podczas lotu ona dowodzi.

Kerk milczał chwilę, a potem zadał jeszcze jedno pytanie: - Jak sądzisz, wygramy kiedyś z tą planetą?

- Kiedyś wygramy - odpowiedział filozoficznie Jason. - Ale my dwaj akurat nie mamy się do czego spieszyć.

Centrum Galaktyki jest obszarem szczególnym. Na wielu tamtejszych planetach jest jasno nawet w nocy. Niebieskie albo zielone niebo po zachodzie słońca staje się nie czarne, ale złote z powodu obfitości gwiazd. Ale to dotyczy tylko samego centrum. Nieco dalej, w pasie środkowym, gdzie znajduje się większość zamieszkałych planet, noce nie są tak promienne. Skomplikowane, nakładające się na siebie grawitacyjne i elektromagnetyczne pola tak mocno zniekształcają metrykę przestrzeni, że z definicji wykluczają podróże za pomocą skoków podprzestrzennych.

Archie usiłował wytłumaczyć Mecie, na czym polega to zjawisko, ale ona po wysłuchaniu kilku zdań machnęła ręką. Skoro nie można skakać w podprzestrzeń, to nie można i już. Ona nie jest fizykiem, jest pilotem. Cała jej robota to naciskać na gaz i obserwować przyrządy.

Przyrządy zaś sygnalizowały obecność planet w ilościach niezwykłych dla mieszkańca galaktycznych peryferii. Planet było tu do licha i trochę, w tym wiele ziemopodobnych. I zamieszkanych. Walczących ze sobą, zawierających sojusze, handlujących, rywalizujących. A były też takie, których mieszkańcy nie podejrzewali nawet istnienia sąsiadów, a tym bardziej międzygwiazdnych środków transportu i Ligi Światów. Naturalnie, takie planety często nawet nie trafiały na stronicie galaktycznych atlasów. Stary Chiron, posługujący się w swoich wędrówkach wyłącznie skomplikowanym hiperprzestrzennym przejściem, naiwnie sądził, że każdy Jolk czy inny Orhoman można znaleźć w pierwszym lepszym wojskowym albo i cywilnym informatorze.

Prawda zaś była taka, że globy te nie figurowały w żadnych informatorach. Drogę do nich zapomniała czy też wyrzuciła z pamięci ludzkość maszerująca ostro w przyszłość. W innym przypadku Revered Berwick nie przekazywałby Jasonowi tak niekompletnych danych - szyfrogram został wysłany z centrum Galaktyki mniej więcej z okolicy gromady kulistej o numerze takim to a takim. Chcesz mieć dokładniejsze dane, poszukaj sam, nie jesteś dzieckiem! Czy stary i nader poważny Berwick pozwoliłby sobie na żarty wobec młodego przyjaciela? Wiadomo, że Korpus Specjalny ma najlepsze gwiazdne mapy w całej Galaktyce. Są na nich i takie światy, o których nie słyszeli ani biznesmeni, ani politycy. A Korpus - tak.

Korpus miał już problemy nawet z takimi zapyziałymi globami. Na przykład w jakiejś dziurze wyrósł maniak wynalazca, zbudował mocny nadajnik i dawajże figlować w eterze. Więc zaraz go pakowali do kartoteki. I planetę też. Kiedy indziej jacyś spryciarze wymyślili, że na dzikim globie postawią sobie bazę wojskową - i już siedzieli w kartotece! I baza, i planeta. Albo zdarzały się takie numery: światy, będące w stadium krańcowego regresu, wpadały w oko agentom Korpusu przypadkowo albo na skutek jakichś awarii. Takie też zapisywano w kartotece, na wszelki wypadek. Nawiasem mówiąc, powstał nawet specjalny program badania i klasyfikacji zdegradowanych planet, utworzono też fundusz pomocy słabo rozwiniętym cywilizacjom. Ale problem przekraczał siły Ligi Światów, która ciągle nie mogła zająć się nim poważnie. A Korpus Specjalny? Oni mają swoje lokalne, konkretne zadania. Trzeba im przyznać, że wypełniają je niezłe.

Ale nawet najlepsi znawcy Korpusu nie mieli zielonego pojęcia o Agreasy, Jolku, Orhomanie, Delfie i Dardanelli. Natomiast Jason i Meta byli trochę w lepszej sytuacji. Po prostu już byli na Jolku. Pozostałe światy, jak podpowiadała logika, musiały się znajdować gdzieś w pobliżu, oczywiście też w centrum Galaktyki. Niepełne dane nie pozwalały na precyzyjne wyliczenie namiarów, ale istniały pewne przypuszczenia i hipotezy. Poszukiwania nie odbywały się więc zupełnie na oślep. Do tego zawsze istniała szansa na spotkanie z pilotem jakiegoś czółna kursującego na miejscowych liniach i zasięgnięcie języka! Ale na razie żadnego obiektu nie było w okolicznej przestrzeni, to znaczy w promieniu setek tysięcy kilometrów Pyrrusanom przyszło więc lądować na pierwszym lepszym globie ziemskiego typu, żeby przeprowadzić rekonesans i - być może - sprecyzować trasę.

Żeby wszystko było w porządku, już z orbity usiłovali nawiązać łączność radiową, ale odnotowano zerową aktywność w eterze. Oddelegowano więc czółno z dziesięcioosobową załogą. W trakcie lądowania spektrometr odnotował na powierzchni globu znaczne ilości

metalą nagromadzonego w jednym miejscu. W tamten właśnie region udała się ekipa zwiadowcza. Oczywiście skupisko metali mogło być zwyczajnym złóżem czy śmietnikiem dawno zaginionej cywilizacji. Ale okazało się, że to kosmodrom. Porzucony, co prawda, ponury, z przekrzywionymi latarniami i gęstą trawą przebijającą się przez rdzę. Od wielu lat, a może i wieków nie lądowały tu statki. Służby dyspozytorskie nie istniały, podobnie jak oddziały naziemno - pomocnicze. Jednakże jakiś rodzaj służb - może obserwacyjne? - działał, ponieważ w pięć minut podjechał kołowy pojazd zaprzężony w trójkę parzystokopytnych świniopodobnych stworów o kędzierzawej sierści. Z pojazdu wyskoczyła lekko ubrana i wielce ładna obywatelka. Nad wyraz poważna i surowa. Dźwięcznym głosem wykrzyczała jakieś krótkie hasła w nieznanym języku. Jason w odpowiedzi zaproponował esperanto i dialog się rozpoczął.

Przede wszystkim lekkomyślnie ubrana damulka oświadczyła, że wjazd do jedynej na planecie miasta o nazwie Elesdos (planeta nosiła to samo imię i do takiego obyczaju Jason już przywykł) jest kategorycznie zabroniony mężczyznom i dzieciom. Pyrrusanie nie mieli żadnych dzieci ze sobą, ale obrazili się w imieniu mężczyzn. A najbardziej Meta. Wysforowała się naprzód i korzystając z usług Jasona jako tłumacza, sama zaczęła wypytywać, o co tu chodzi. Natychmiast wyszło na jaw, że przedstawicielka miejscowej ludności o imieniu Spelida włada również interlingwą i rozmowa weszła w nową fazę.

Okazało się, że na Elesdosie żyją tylko kobiety, rozmnażają się partenogenetycznie, nie rozwijają nauki i przemysłu, z nikim nie walczą, nie latają w kosmos. A jedzenie zawsze miały, i to dobre, bo gleby Elesdos rodzą w nadmiarze magiczny owoc kuromago. Jest to jednocześnie i produkt żywnościowy, i lekarstwo, używane we wszystkich życiowych okolicznościach. Nawet w ciąży bez niego zajść nie można, i do rozrywki służy tutaj kobietom on właśnie, i tylko on. Wszystko to brzmiało bardzo interesująco, ale niestety, na pytanie Pyrrusan o lokalizację planety Agreasy Spelida nie potrafiła odpowiedzieć.

- Czyż mogłabym osiąść jakąkolwiek pożyteczną wiedzę, nie zjadłszy z siostrami kuromago? - zapytała retorycznie.

- A gdybyś zjadła? - zaciekawiał się Jason.

- To pewnie będę wiedziała.

Brzmiało to równie interesująco, ale wysyłanie na zwiad samej Mety Jason uznał za nadmiernie ryzykowne. Z drugiej strony zaś - lecieć z powrotem na "Argo" tylko po to, żeby ściągnąć kobiece wsparcie? Zaproponowano Spelidzie, by się zastanowiła lub poradziła kogoś, czy nie mogliby odwiedzić miasta w grupie mieszanej. Albo, w najgorszym razie, żeby Przynajmniej Para gości przełamała się z gospodarzami boskim czy innym kuromago i dogadała się w najważniejszych sprawach.

Spelida zniknęła na krótko, a potem wróciła z całą delegacją. Ogłoszono nad podziw demokratyczny werdykt: wchodźcie wszyscy, dzisiaj wolno. A jakie babeczki! Co jedna, to piękniejsza - toczony figurki, smagłe, o boskich biodrach, piersiaste, a ubrania... ! Ach, czyż można te wszystkie paski, tasiemki i strzępki nazwać ubraniami? Spelida miała na sobie jakby

tunikę, niemal przezroczystą, ale miała. A teraz chyba zaczął się konkurs striptizu. Wszystkie panienki były nadzwyczaj zadowolone. Nawet Spelida, taka za pierwszym razem skoncentrowana i poważna, wróciła z uśmiechem od ucha do ucha niczym prowadząca telewizyjny program rozrywkowy. Cieszymy się, osiągnięto konsensus i wszyscy mężczyźni z Pyrrusa mogą odwiedzić Elesdos, miasto kobiet, po raz pierwszy od sześciuset lat. Ale coś niepokojącego wisiało w powietrzu. Chyba dziewczyny zdążyły przekąsić kuromago, nie czekając na drogie gości, i jak się wydaje, nie tylko przekąsiły...

- Nie podoba mi się to - wycedziła Meta przez zęby - Same baby dokoła i jakie bezwstydné! Nigdy bym cię samego nie puściła.

- Chyba żartujesz - odparł Jason. - Przecież to nawet nie są kobiety w naszym rozumieniu. Rozmnażają się jak pszczołki czy te, no, dafnie.

- Jakie znowu dafnie?

- Jak to jakie, dafnie, wodne pchły, krzaczastowase, rakokształtne - zaszpanował Jason niedawno wyczytaną informacją, która wpadła mu w oko podczas zapoznawania się z fauną Jolku.

- Faj, ale obrzydlistwo! - skrzywiła się Meta.

- Właśnie mówię, obrzydlistwo - podchwycił Jason. - A co najważniejsze, one nie mają najmniejszego pojęcia o seksie!

Meta przypomniała sobie, że rozmowa wcale nie dotyczy pcheł, zmierzyła Jasona długim, uważnym spojrzeniem i rzuciła:

- W przeciwieństwie do ciebie.

- Och, madame, za kogo pani mnie bierze?!

- Za zwyczajnego międzygwiazdowego babiara - wyskandowała Meta. - Nie odstępę cię na krok. Jasnej

Świniopyskie barany rażno sunęły przed siebie, powozy już wjeżdżały w bramę jasnego, kolorowego, tonącego w kwiatkach miasta. Aromaty przyprawiały o zawrót głowy. Nie wiadomo było, czy zacząć płaszać, czy nakładać maski gazowe. Tera poradził, by wszyscy wstrzyknęli sobie antynarkotykowy preparat i na wszelki wypadek przygotowali filtry do nozdrzy. A na razie zalecał płytkie oddychanie. Tak też postąpiono.

Przyjęcie było bardzo uroczyste. Aż nie chciało się wierzyć, że godzinę wcześniej obowiązywał totalny zakaz odwiedzin w tym mieście. Co się stało?

- Nic się nie stało - wesoło wyjaśniały dziewczyny, szczebiocąc jedna przez drugą. - Po prostu od wieków bezmyślnie, tępo przestrzegane było stare, głupie prawo. Myślicie, że często do nas przylatują obcy? Wręcz przeciwnie, bardzo rzadko! Nawet nie wiedziałyśmy, jak wygląda mężczyzna. Nasze matki pewnie też nie, może babcie widziały... Spelida tylko tak powiedziała odruchowo, nie pomyślała i palnęła, że nie wolno, nie należy... A myśmy się naradziły i postanowiły zacząć nowe życie. Pomożemy wam znaleźć tę planetę, a wy

pomożecie nam. Dobrze? Przyślecie tu, na przykład, drużynę mężczyzn. ..

- A po co wam mężczyźni? - ostrożnie zapytał Stan.

- Mówi się, że kiedyś byli potrzebni do czegoś. Może się dowiemy, do czego można was wykorzystać!

Wszyscy się śmiali. Było bardzo miło. Co prawda, należało uwzględnić, że opróżnili już po szklaneczce na powitanie. A wino wyrabiane było ze sfermentowanego soku kuromago. Dziewczyny zapewniały, że w ogóle wszystkie dania na stole są z tego wyjątkowego owocu. Owoc wyglądał zwyczajnie: z kształtu jak banan, wielkości raczej dyni, koloru ciemnej śliwki, z miękiszem jak surowe mięso. Aż zgroza ogarniała, gdy spod noża, przy krojeniu, tryskała prawdziwa krew Ale smak. . . ! Zaiste magiczny. I nie jeden smak wiele smaków, w zależności od sposobu przygotowania.

Oczywiście, zanim skosztowali tego wszystkiego, Teca wykonał ekspresową analizę tej wspaniałości i ustalił: szybko działających trucizn, narkotyków, trankwilizatorów, depresantów i środków usypiających brak, ale za to jest sporo nieznanymi złożonych środków organicznych. Więc nie należy przesadzać i najlepiej, żeby każdy sam kontrolował własne odczucia.

Ostatnie zadanie okazało się niełatwe. Załoga narażona była na całą masę nowych wrażeń i odczuć, w tym sporo niby zrozumiałych, ale tak mocnych, że mogły nieść ze sobą pewne zagrożenie.

Po pierwsze, niezwykła dekoncentracja, wyluzowanie całego ciała, w ciepłe, przytulnej i bezpiecznej atmosferze - po wielu godzinach, dniach, a w niektórych przypadkach nawet latach ustawicznego napięcia i walki. Po drugie, zwyczajna alkoholowa euforia wywołana przez świetne wino. I wreszcie po trzecie, prymitywne, ale wcale przez to nie mniej przyjemne seksualne pobudzenie.

Dziewczyny z miasta Elesdos rzeczywiście nie wiedziały co to seks i erotyka, ale były wręcz bajecznie śliczne nieświadomą urodą, jak ptaki, motyle czy koty. Zadziwiająco wysportowane i muzykalne, grały nieludzko piękne melodie, przebijając struny długich drewnianych dek wygiętych na kształt owocu kuromago, i tańczyły. Ich ręce pięknymi ruchami przypominały chwilami skrzydła ptaków, a ciała gięły się z płynnym wężowym wdziękiem. Dziewczyny były kuszące i bezwstydne, ale bezwstydne jak dzieci, a nie doświadczony hetery, wznosząc się tym sposobem na szczyty erotyki.

Jason zachwycił się tancerkami z pozycji smakosza i znawcy. Pyrrusanie, których życie płciowe było tradycyjnie dość prymitywne, niemal zbliżone do rytuałów godowych psów czy koni, reagowali na czary Elesdianek jeszcze prościej i naturalniej.

Czym to się skończy? - zastanawiał się Jason.

Oczywista odpowiedź wydała mu się śmieszna. Ale zerknąwszy na Metę, Jason od razu zauważył, że jego ukochana wcale się dobrze nie bawi. I jeszcze jeden człowiek czujnie mrużył oczy i mocno zaciskał wargi - stary dobry Kerk.

A może nie powinniśmy się tak nabzdyczać, przemknęło przez głowę Jasona.

W tym momencie z lewej strony (z prawej siedziała Meta) przysunęła się całkowicie golotka ślicznotka i szepnęła tajemniczo:

- Przyniosłam to, o co prosiłeś.

I rozłożyła na kolanach Jasona szczegółową mapę tutejszej gromady kulistej z dokładnym oznaczeniem wszystkich zamieszkaných światów. Mapa została wydrukowana na bardzo cienkiej jedwabistej tkaninie, zapewne utkanej z liści kuromago. Dziewczyna zaczęła wyglądać pomarszczoną powierzchnię tkaniny. Robiła to z zapalem godnym lepszej sprawy, szepcząc coś do ucha Jasona, który stopniowo zaczął tracić twardy grunt pod nogami. To było nieco nieprzyjemne. Chwyając za krawędzie odpływającej rzeczywistości, zadał dziewczynie nieoczekiwane pytanie:

- Powiedz mi, kochanie, gdzie się podziali ci wszyscy mężczyźni, którzy tu kiedyś żyli?

- Oni nie byli nam wierni - odpowiedziała młoda wróżka namiętym szeptem. - Pewnej nocy zarżnęliśmy ich i zrzuciliśmy do morza.

Niepotrzebnie to powiedziała.

Szept był wystarczająco głośny, by usłyszała go Meta. Pyrrusanka gwałtownie odwróciła głowę w lewo. Przechwyciła spojrzenie Jasona, następnie równie gwałtownie popatrzyła w prawo, gdzie napotkała spojrzenie Kerka. Wychodzimy! - powiedziały jej oczy. Kerk i Meta podnieśli się jednocześnie.

Jason przyglądał się tej scenie spokojnie i obojętnie, jakby oglądał czyjś sen. Patrzył na wszystko z boku i z pewnej odległości. Oto długi stół zastawiony zakąskami i dzbanami z winem, oto przepiękne młode tancerki, oto weseli, pijaniutcy Pyrrusanie. Oto Kerk i Meta, trzeźwi i źli, a oto on sam - w objęciach jakiegoś golusieńkiego głupiatka. Koszmar!

Poderwał się i nagle odniósł wrażenie, że jest ogromny jak międzygwiazdny krążownik, a cała ta szalona uczta odbywa się gdzieś w dole, pod jego nogami. Ludzie są tam sympatyczni i bardzo, bardzo malutki. A on nie może zrobić kroku, bo mógłby kogoś rozdeptać. . . Ale Meta, również olbrzymia, pociągnęła go za rękę. Naprzód! Do drzwi! I oto stał się malutką mrówką, a tam, w rozdziawionej paszczy drzwi, między dwoma kolumnami wysokimi i grubymi jak dwa drapacze chmur, stały dwie rozjuszone olbrzymki z błyszczącymi szablami, ale nagle zaczęły się osuwać na ziemię i przy akompaniamencie strasznego grzechotu rozpadać na kawałki. . .

Jason odzyskał przytomność i sprawność umysłową dopiero na pokładzie "Argo". Tylko dwaj członkowie załogi ucierpieli tak mocno - on i Gryf: Ale Gryf był jeszcze młody Pyrrusanie dorosłeli szybciej niż większość ludzi, ale fizjologii nie da się za bardzo oszukać. Nie do końca ukształtowany organizm plus młodzieńcze neuumiarkowanie we wszystkim. Gryf zjadł i wypił niemal tyle samo co cała reszta razem wzięta. A Jason. . . Czego się można spodziewać po przybytku, rozłożyłyby ręce Pyrrusanin. Sam Jason miał inne zdanie w tej

sprawie. Na razie nie spieszył się z wygłaszaniem: pomysł musiał dojrzeć. Uważał, że powodem jego wpadki jest nadwrażliwość psychiczna espera, a poza wszystkim wyczuwał tu świadome działanie zmierzające do usunięcia z gry właśnie jego. Ale czyj to był plan? Najważniejsze pytanie, które pozostawało na razie bez odpowiedzi. Musi zlokalizować złoczyncę.

Teca bardzo łatwo i prosto wyjaśnił, co się właściwie stało. Kilka magicznych owoców zabrał ze sobą i wraz z Brucco tym razem zbadali je dokładnie. Sok kuromago zawierał, jak się okazało, końską dawkę bardzo mocnego psychodelicznego halucynogenu z grupy lizerdów, zakamuflowanego biochemicznie jako nieszkodliwy złożony związek molekularny.

- Kto mógł coś takiego sprokurować?! - zawołał zaskoczony Archie.

- Przyroda, ewolucja - spokojnie odpowiedział Brucco.

- Oj, nie wierzę - oponował młody astrofizyk, ale nie sprzeczał się z doświadczonym biologiem.

Co się tyczy aspektu społecznego, sprawa była jeszcze prostsza. Elesdianki nie rozmnażały się ludzkim sposobem, podział komórki jajowej inicjowany był za pomocą substancji zawartych w owocach kuromago. Partenogeneza. Na tym nie koniec wszystkie kobiety planety były nieuleczalnie chore, zatrute toksynami i żyły właściwie tylko dzięki psychodelikom. Nic dziwnego, że w ich od dawna irracjonalnym świecie ataki histerycznego zachwyty i miłości do wszystkiego zmieniały się w ataki nienawiści, niekontrolowanego strachu i sadystycznego dążenia do cięcia i szarpania żywego ciała.

Clif, nieodrodny syn swojej planety, proponował rzucić planetarną bombę na przeklęte miasto narkomanek - lesbijek.

- Należy takie potwory niszczyć jak szkodliwe owady, wypalać niczym pyrrusańską florę, wybijać jak kolcoloty! - gorączkował się.

- Ależ nie - odpowiedział mu zmęczonym tonem Kerk. Nawet pyrrusańską florę, jak się okazało, lepiej jest zachować, a tu mamy przecież do czynienia z ludźmi. Ty sobie zrzucisz bomby, a kto się będzie tłumaczył na posiedzeniu Komisji do spraw Człowieka w Lidze Światów? Ty? Czy może wujek Kerk poleci tam z podwiniętym ogonem? Nie wolno, bracie, tępzić ludzi jak owady. Nie wolno. Tu trzeba trochę pomyśleć. Jason też ci to powie. Dobrze mówię, Jasonie?

- Nad czym się tu zastanawiać? - rzucił Gryf, nie czekając na słowa Jasona. - Kobiety trzeba ewakuować, a słońce, którym nas nafaszerowały, wykorzystać do sztuki.

- Może to jakieś wyjście - w zadumie powiedział Brucco. Ale nic nie jest takie proste, jak ci się wydaje, Gryfie...

- A co najważniejsze - przerwał mu Stan - nie mamy teraz na to czasu.

- Właśnie! - poparła go Meta. - Wesolutki glob sobie wybraliśmy na pierwszy kontakt, nie ma co. Jeśli tak dalej pójdzie, możemy nigdy nie dotrzeć do błogosławionej ziemi

Agreasy. A właśnie, gdzie jest mapa, którą dostał Jason?

- Tu - powiedział Stan, wskazując rozek chusteczki do nosa sterczący mu z kieszeni. - Po tym kuromago dostałem potwornego kataru, nic nie pomaga. Teca powiedział, że to hiperalergia i że niedługo się skończy. A tkanina świetnie się nadaje na chusteczki, miękka taka i w ogóle...

- Nie rozumiem - pokręciła głową Meta.

- Zupełny kit, a nie mapa - wyjaśnił Stan i kichnął.

Następnym globem typu ziemskiego podróżnicy rozczarowali się jeszcze bardziej. Cywilizacja wprawdzie tam istniała, ale dawno. Może zresztą nie tak dawno, ale co za różnica?

Żywych ludzi już tam nie było. Chyba że zasiedlili morga, co jest raczej wątpliwe. A z resztek umarłej kultury na jedynej wielkiej zamieszkałej niegdyś wyspie wylaniał się mało przyjemny obraz olbrzymiej rzeźni z zastosowaniem, broni masowego rażenia. Przy tym łatwo było zauważyć, że wszyscy tubylcy, mordujący się wzajemnie, uduszeni, spopieleni w piekielnym ogniu czy rozszarpani na strzępy wybuchami, nie znajdowali się, delikatnie mówiąc, nie na tym szczeblu rozwoju, by mogli sami podobną broń produkować. Wyglądało więc na to, że jacyś łajdacy, dysponujący zaawansowanymi technologiami, przeprowadzili jakiś eksperyment socjologiczny albo rozwiązywali tu swoje problemy, których sedna można się było tylko domyślać.

Liga Światów zabraniała współpracy w dziedzinie militarnej planetom o zbyt dużej różnicy w rozwoju cywilizacyjnym. W praktyce flota interwencyjna nie była w stanie wszędzie zdążyć i takie przypadki były dość częste.

Oto kolejny glob stracony dla ludzkości, pomyślał Jason. A przecież mieszkali tu ludzie, pewnie coś na początku wydobywali, troskliwie dbali o starożytną technikę, chronili wiedzę, ich wysiłek miał cel i sens. Skąd się potem wzięła taka złość i zawiść, okrucieństwo, całkowita degradacja i wreszcie śmierć?

Takie myśli dręczyły czasem Jasona. W żaden sposób nie potrafił znaleźć rozwiązania odwiecznego problemu ludzkości. Gdzie leżą źródła nienawiści? Co to jest zło? Skąd się bierze? Może na te pytania nie ma odpowiedzi?

- Smutek - powiedziała Meta, ostatni raz patrząc na koszmarny widok małego Armageddonu.

- To może nazwiemy tę planetę Smutek - zaproponował Kerk.

Tak też zrobili.

Następnego dnia Jason otrzymał od Berwicka pilny komunikat.

"Nasi specjaliści, korzystając z poszlak, ustalili, że gwiazdolot "Baran", inaczej zwany "Olśniewającym Śruborgiem", został zbudowany bardzo dawno, może nawet kilka tysięcy lat temu, datowanie w toku. Zbudowano go dla przygotowywanej wówczas wyprawy do

innego wszechświata. Z dużym stopniem prawdopodobieństwa można twierdzić, że doktor Theodor Solvitz nie miał z tym projektem nic wspólnego, ale na pewnym etapie swej działalności wykazywał duże zainteresowanie gwiazdolatem zaginionym w nieustalonych okolicznościach".

Ot i wszystko. Informacja Korpusu Specjalnego potwierdzała domysły Jasona. A właściwie dlaczego Berwick połączył się z nimi w imieniu Korpusu? Stwierdzono po prostu: "nasi specjaliści". Raczej mowa o specjalistach ze Stowarzyszenia Gwarantów Stabilności.

W celu omówienia ostatnich nowin Jason zaprosił do siebie tylko troje gości. Tylko Kerk, Meta i Rhese mogli poznać tak tajne dane.

- Przyjaciele, nie wykluczam, że mamy znowu do czynienia z Solvitzem - powiedział Jason, gdy wszyscy zapoznali się z tekstem psigramu Berwicka. - Albo z jego agentami. Dlatego proszę was, na wszystkich planetach bądźcie czujni, szczególnie jeśli chodzi o to, co się dzieje dokoła mnie. Z boku zawsze trochę lepiej się widzi. I postarajcie się odróżnić zwyczajne niebezpieczeństwa i trudności, których nie da się uniknąć w kosmosie, od specjalnie zastawionych na nas pułapek i przeszkód. Jeśli potrafimy na czas zrozumieć, kto jest kto, będzie nam znacznie łatwiej.

Na dużym ekranie widniał już jaskrawobłękitny dysk kolejnego ziemiopodobnego globu.

Jonosfera nie była pusta. Miejscowi zajmowali się nie tylko audycjami czy przekazami radiowymi, ale również namierzaniem radiowym. To nasuwało określone skojarzenia, a częste eksplozje na powierzchni planety zdecydowanie potwierdziły niespecjalnie oryginalne przypuszczenie: oto kolejny kandydat do totalnego samowyniszczenia.

- Jak sądzisz - zapytał Archie, uśmiechając się do Stana jak ostatni cynik - za ile lat ta błękitna siostrzyczka wszystkich cywilizowanych światów stanie się kolejnym Smutkiem?

- Może nie minie nawet rok - filozoficznie zauważył Stan. - A może się jeszcze wygrzebią. Spróbujmy się rozeznać, co, Jasonie? Mam nadzieję, że wojskowi prędzej przekażą jakieś wiadomości niż na wpół szalone panienki.

- No nie wiem, nie wiem - powiedział niepewnie Jason. Miłość do wojny to też kompletne wariactwo.

Niespecjalnie wyszła mu ta aluzja. Niemal wszyscy Pyrrusanie jednocześnie odwrócili się do niego, odruchowo podnosząc pistolety.

- Dobra, dobra, nie chciałem was urazić!

I żeby szybko zmienić temat, zaproponował:

- Może nazwijmy ten glob Droga do Smutku?

Pytanie było oczywiście żartem. Planeta już od dawna miała nazwę. Słuchając rozmów i audycji radiowych, Pyrrusanie szybko poznali ją, a przy okazji zdobyli wiele innych pożytecznych wiadomości.

Rozdarta sprzecznościami kula nosiła nazwę Bipchinia. Ale zasiedlali ją nie Bipchinianie, a Bubrikowie, Memrikowie, Dydrikowie i Wiawrikowie. Według jakiej zasady dzielono ludność na te cztery grupy, nie udało się zrozumieć, ale szybko stało się jasne, że wszystkimi wojującymi plemionami rządzi jednocześnie jeden władca o imieniu Homek. To znaczy uważał, że rządzi. W opozycji do władcy stał nieformalny demokratyczny lider, wódz wszystkich skrzywdzonych i udręczonych - Hawrik, który przyswoił sobie dziwny, ale dumny tytuł Spikera.

- W przekładzie ze staroangielskiego speaker znaczy "ten, kto mówi" - wyjaśnił Jason.

- Krótko mówiąc, pyskacz - zauważyła Meta.

Spiker Hawrik był przekonany, że to właśnie jemu podporządkowana jest cała ludność Bipchirii. Kiedy uważnie wsłuchali się w radiowe przekazy, zrozumieli, że prawdziwą władzę w tym szalonym świecie mają tylko dowodzący oddziałami wszystkich czterech zwaśnionych stron. A ich liczne, udręczone wojną, ale już do wszystkiego przywykłe wojska, nie mając scentralizowanego dowództwa, prowadziły trwające dzień i noc bezładne działania bojowe.

- Posłuchaj, jak to możliwe? - oburzyła się Meta. - Cztery strony konfliktu, a liderzy dwaj. Czy oni są ze sobą w sojusznicznych parach?

- Nie rozumiesz. Oni się wzajemnie nienawidzą - zaczął cierpliwie objaśniać Archie. - Przywódców mają nie dwóch, a stu dwudziestu dwóch. Ci dwaj najważniejsi pozostali pewnie z jakichś zamierzchłych czasów. Zauważ, że żaden z tych dwóch nie ogłasza, że należy do Mimraków czy do Wewraków - czy do kogokolwiek.

Archie umyślnie pomylił głoski w nazwach wrogich klanów, ale tego dowcipu nikt prócz Jasona nie docenił.

- Język można sobie połamać - mruknęła Meta, która w ostatnim czasie podłapała trochę starych powiedzonek od Jasona; znanego miłośnika martwych języków i wszelkich zabytków filologicznych.

- A kto ci się bardziej podoba? - zapytał Stan. - Mnie Bubrikowie. Ich interlingwa wyróżnia się kulturą.

- No to co? - uśmiechnął się Jason. - A Dydrikowie lepiej od innych władają esperanto. To znaczy, że są potomkami starożytnych mieszkańców imperium i może jeszcze zachowali jakieś pożyteczne dane z tamtych czasów.

- Czy będziemy roztrząsać z nimi problemy językoznawstwa? - wtrącił się Rhes.

- Sądzę, że nie - bez uśmiechu odpowiedział Kerk. - Ale z kimś musimy zacząć rozmowy. Właśnie się zastanawiamy z kim. - Sądzę, że powinniśmy uderzyć do króla Homka - powiedział Archie.

- Dlaczego? - zdziwił się Clif. - Przecież sam powiedziałeś, że nic tu nie znaczy.

- Przecież nie zamierzamy brać udziału w wojnie, a tylko dowiedzieć się kilku rzeczy,

szczególnie że interesujące nas dane dotyczą zamierzchłej historii.

- Archie ma rację - poparł go Jason. - Zaczynijmy od króla. Jednakże i Archie, i Jason posługiwali się w swoich planach logiką, a na planecie Bipchinia akurat z logiką nie było najlepiej. Dlatego z Homkiem nie udało im się porozmawiać, natomiast wzięli udział w działaniach wojskowych.

Osobisty sekretarz Homka kategorycznie odmówił jakiegokolwiek kontaktu ze statkiem przybyszów.

- To jest ingerencja w wewnętrzne sprawy planety Bipchinia! - rozległ się w eterze jego wrzask. - I żądam od was natychmiastowego opuszczenia orbity. W innym przypadku złożymy skargę w Radzie Najwyższej Ligi Światów. Wasza obecność w tak bliskiej odległości od naszej jonosfery łamie pierwszy punkt Umowy Generalnej o prawie światów do samostanowienia!

Wykrzykiwał coś jeszcze, ale już było wiadomo: obsługa medialna tego władcy nie odpowie na żadne pytania. Cała rozmowa została oczywiście przechwycona, nagrana i wysłuchana przez lidera opozycji. Tak więc Spiker Hawrik bardzo szybko i na dodatek osobiście nawiązał kontakt z Pyrrusanami. Czego nie chce król, może chceć Spiker, a czy to dobrze dla planety, inna sprawa. Kto w ogóle w takiej sytuacji myśli o planecie? Komu jest ona tu potrzebna? Hawrik był już niemal gotów biec na spotkanie przybyszów z otwartymi ramionami. Jednakże na wszystkie pytania wysyłane drogą radiową nadeszła jedna odpowiedź, nie lepsza od królewskiej:

- Proszę mi wybaczyć, panowie, ale czy ja mogę o czymś poważnym rozmawiać w eterze, kiedy na każdej fali pełno wrogich uszu?!

Tym razem na planecie lądowało nie zwyczajne czółno, a kuter, dobrze chroniony i wyposażony w wiele rodzajów broni desantowej. Drużynę zwiadowców uzupełniała grupa żołnierzy, przyzwyczajonych nie tyle do myślenia, co do działania, a takich wśród Pyrrusan nie trzeba było długo szukać. Dowodził nimi oczywiście Clif i przeczuwając prawdziwą męską robotę, był wesoły i niezwykle podniecony. Potrząsając jasnymi lokami, powtarzał co chwila:

- No, te lebiegi zaraz wyśpiwają mi wszystko! Ale lebiegi, niestety, niewiele wiedziały. Zresztą nie powinny nic wiedzieć. Informację zazwyczaj wyciąga się od oficerów czy generałów, a do dowódców wysokich stopni na planecie Bipchinia nie było łatwo się dostać.

Hawrik zaproponował pyrrusańskiemu desantowi, by lądował dokładnie według nici namiarowej. Ale trzy kilometry od powierzchni nic zawiodła, ponieważ na tej samej częstotliwości działało jeszcze z pół tuzina innych radiostacji, które podawały podobne sygnały. Autopilot kutra desantowego po prostu zwariował i zaczął się zachowywać jak osioł, przed którym ustawiono nie dwa, a sześć żłobów. Spóźnione przejście na ręczne sterowanie nie mogło już niczego naprawić, szczególnie że w tym samym czasie oficjalnie zaproszony statek Pyrrusan został ostrzelany z kilku punktów przez artylerię przeciwlotniczą i rakiety.

Korpus i ważne systemy, rzecz jasna, nie zostały uszkodzone, ale rzuciło nimi nieźle. Ponieważ nikt mimo wszystko nie oczekiwał takiego ciepłego i przyjaznego powitania, nie obeszło się bez siniaków i guzów.

Załoga zaczęła sinieć ze złości. Jason pomyślał, że jeśli nie uda się ich powstrzymać teraz, to po prostu podbiją ten świat, załatwią wszystkich Bubrików i Memrików, jak swego czasu zwyciężyli jakoby niezwycięzonych konnych barbarzyńców na planecie Felicity. Tam wystarczyło stu trzydziestu ośmiu wojowników z białą bronią. Cóż, tutaj, uwzględniając zdobycze techniki militarnej, może wystarczyłoby dwudziestu, a jeśli wziąć po uwagę, że w rezerwie jest jeszcze trzydziestu...

Tok na wpół żartobliwych, na wpół poważnych rozważań przerwały słowa Kerka, który podnosił się z podłogi i ryczał:

- No, ktoś nam za to odpowie!

- Nie gorączkuj się. Oni przecież nie wiedzą, co robią.

Powiedział to Archie, choć powinien był Jason. Jemu, staremu druhowi, wiele wybaczano, ale takie słowa z ust młodego obcego przybysza z jakiegoś peryferyjnego Uctisa?! Stary pyrrusański wódz oniemiał ze złości.

Na pomoc Uctisaninowi przysłała w bardzo odpowiedniej chwili Meta.

- Uspokój się, Kerku. Archie ma rację. Jeśli damy zaraz salwę z broni pokładowej, to kto odpowie na nasze pytania? Proszę mnie puścić do sterów. Po prostu uciekniemy spod ognia i wylądujemy gdzie się da, a potem zdecydujemy, jak najlepiej dotrzeć do tego pyskacza Hawrika.

Weteran Planety Śmierci uspokoił się równie szybko, jak rozjuszył. Mimo wszystko on też się trochę zmienił przez kilka ostatnich lat.

A Meta już prowadziła kuter po wymyślnej krzywej, miotając się między trajektoriami pocisków kierowanych, promieniami laserowych celowników i dymami wybuchów, dziarsko unikając samonaprowadzających rakiet i - w razie konieczności rozwalając je. Pomagał jej Clif, przy okazji uważnie przyglądając się działaniom Mety.

Meta była wspaniała, kiedy prowadziła statek - sama przeciwko całej armii, sama przeciwko żywiłowi. Jason zagapił się na nią zachwycony. To była jego amazonka. Nie, walkiria! W tym momencie miał ochotę właśnie tak ją nazwać. Walkiria brzmi bardziej kobieco i ładniej. Bo amazonki, jak pamiętał, obcinały sobie prawą pierś, by wygodniej im było strzelać z łuku. Czy to normalne? Pięknej Mecie nigdy nie przeszkadzała jej wspaniała pierś, ani w boju, ani przy sterze.

No właśnie, bój!

Kuter plasnął o ziemię na zielonym polu z wypalonymi łysinami, w największy ogień walki - oczywiście - zaraz został ostrzelany z miotaczy ognia, broni strzeleckiej i kilku luf lekkiej artylerii. Ale tylko z jednej strony, gdzie nad okopami pojawiały się i znikwały czerwone mundury i hełmy.

- No, trzeba będzie odpowiedzieć - rzucił Jason. - Walcie! Nie celujcie, ale dajcie im próbkę nawały ogniowej. Niech zrozumieją, z kim mają do czynienia. Inaczej nie będziemy mogli wyjść na zewnątrz.

Nie musiał tego powtarzać. Już po pięciu sekundach po tej stronie pola, która przejawiała nadmierną agresję, płonęło wszystko, co tylko mogło płonąć. Po drugiej stronie zaobserwowano pospieszne wycofywanie się pod las żołnierzy w niebieskich mundurach. Ten widok umocnił Jasona w przekonaniu, że postąpił słusznie. Niebiescy nie tylko nie zaczęli ostrzeliwać niezidentyfikowanego obiektu lądującego, ale również nie usiłowali wykorzystać sytuacji do ponowienia ataku. Woleli się wycofać. Racjonalnie i humanitarnie.

- Ruszajmy w kierunku lasu - poprosił Metę.

Włączyła poduszkę grawitacyjną i popęzli za niebieskimi, w zasadzie nie unosząc się nad ziemię i z rzadka tylko strzelając, jeśli któryś z czerwonych ośmielał się otworzyć ogień.

Niebiescy byli Dydrikami, zresztą nie miało to w praktyce żadnego znaczenia. Poza tym, że komunikować się z nimi musiał właśnie Jason. Przecież poza esperanto kapral Gumna nie znał żadnego języka. To on dowodził plutonem i gdyby zaatakował przybyszów, skazałby na śmierć cały swój oddział.

- No, chłopcy - sapał kapral, nie wierząc we własne szczęście. - Uratowaliście mnie! Zawróciliście z tamtego świata. Jason nie zrozumiał, o jaki świat mu chodzi, ale nie pytał, po prostu zapamiętał, żeby na "Argo" zajrzeć do wielkiego słownika idiomów wszystkich czasów i narodów.

- No to teraz ty nam pomóż, kapralu! Opowiadaj, jak możemy znaleźć pana Hawrika.

Uh! - jęknął kapral. - Po co wam ten zundej!?

Jason nie wytrzymał i zadał pytanie, choć odpowiedź jakby narzucała się sama.

- Kto to jest zundej? - roześmiał się Gumra i przyłożywszy do głowy sterczące pionowo kciuki zabczał: - Beee!

- Jasne, baran - skinął głową Jason. - Ale wybacz, kapralu, zundej czy nie, bardzo jest nam potrzebny.

- Ale po co? Po co, pytam! - nalegał kapral.

Jason wyjaśnił. Kapral zamyslił się głęboko. Potem rzekł:

- Spróbuję wam pomóc. Jeśli przerwa będzie wystarczająco długa, połączę się ze swym kolesiem. On walczy po stronie Memrików na drugiej półkuli. Nie znam nikogo innego, kto miałby do czynienia z Białymi Ptaszynami Zemsty.

- A co to takiego? - zdziwił się Jason.

- To cyborgi z planety Kreyzick. Kilka lat temu walczyły razem z Memrikami - jedyny taki przypadek w historii naszego globu, kiedy do wewnętrznych spraw Bipchinii wmieszali się obcy: Mojemu przyjacielowi Ptaszyny zostawiły na pamiątkę koordynaty Kreyzicka. A stamtąd do Agreasy już rzut beretem, serio.

- Dziękujemy ci, kapralu, ale spróbujmy jednak razem przedostać się do zundeja Hawrika.

- Aleś ty uparty - uśmiechnął się Gumra. - Niech ci będzie. W tej chwili rzeczywiście kryje się w pobliżu. Zobacz.

I kapral rozwinął na ziemi topograficzną mapę okolicy.

Hawrik powitał honorowych gości chlebem i solą. Stół był nakryty, a wysztafirowane kelnerki roznosiły dania i napoje. Grała cicha muzyka, w powietrzu pachniało domowym ciepłem, dymem z kominka, dobrą, whisky i markowymi perfumami, zupełnie inaczej niż na ulicy - gdzie cuchnęło prochem, potem, krwią, spaloną ropą i nadpalonym mięsem. Ale wrażenie przytulnego ciepła psuł sam gospodarz. Mówił i mówił bez przerwy, o wszystkim naraz i o niczym, o polityce odległej przeszłości i swojej burzliwej młodości, o jasnych perspektywach Bipchunii i o właściwej demokratycznej drodze obranej osobiście przez niego, Hawrika Mówił o konieczności pełnej debubryzacji z równoległym neobubryzowaniem i nikt już niczego nie rozumiał. Pyrrusanie męczyli się, oczekując na chociaż jedno, dwa sensowne zdania, ale gdzie tam! Hawrik nie dawał im najmniejszych szans na wtrącenie się! Spiker to Spiker.

W końcu Jason walnął o podłogę talerzem i wykorzystując chwilę ciszy, głośno oświadczył:

- Panie Hawrik, bardzo byśmy byli wdzięczni, gdyby pan pomógł nam w odnalezieniu namiarów planety Agreeasy. Znajduje się gdzieś w waszej kulistej gromadzie. Nie może pan jej nie znać.

- Agreeasy - odruchowo powtórzył Hawrik. - To wszystko, czego potrzebujecie? Koordynaty jakiejś nieszczęsnej planetki! Zaraz wydam polecenie i za dziesięć minut, no, może piętnaście, będą odszukane. To przecież nie problem. Betka! O czym tu mowa?! Proszę lepiej posłuchać, na czym polega sens mojego ostatniego projektu...

Beznadzieja, pomyślał Jason. I powtarzał swój trik jeszcze kilka razy:

Po szóstym czy może nawet siódmym przypomnieniu Hawrik poderwał się i zapytał:

- Dlaczego ciągle tłucze pan naczynia?

O, to już był wyraźny postęp! Hawrik zainteresował się czymkolwiek poza własną osobą. Cóż, najważniejsze jest dobre wrażenie na początek!

- To na szczęście! - bezczelnie odpowiedział Jason. - Ludzie mają taki zwyczaj, stary zwyczaj.

Hawrik uśmiechnął się dziwnie, może nawet nieśmiało, dzięki czemu przez chwilę milczał.

- Proszę więc pójść i zarządzić wreszcie poszukiwanie współrzędnych Agreeasy! - bardzo głośno, niemal skandując powiedział Jason.

- Tak, tak - skinął głową Hawrik i natychmiast wyszedł. Ale wrócił podejrzenie

szybko. Na dodatek w otoczeniu kilku ludzi z kamerami.

- Jasonie, uwaga! - oświadczył. - Zaraz będzie nas słuchała cała planeta. Wyjaśnij, proszę, wszystkim, że jestem jedynym człowiekiem na tej planecie, któremu można zaufać. Jedynym, którego uznają nawet inne cywilizacje.

- Dobrze - zgodził się Jason - ale proszę pamiętać, że będę mówił tylko prawdę.

Hawrik uśmiechnął się głupio; nie miał pojęcia, czy przybysz z innej planety raczy żartować, czy robi jakieś aluzje. Ustawiono kamery. Hawrik polecił je włączyć. Długo i kwiecicie perorował o kontakcie, o Pyrrusanach, ale na szczęście nic idiotycznego, w dodatku po esperancku, więc prócz Rhesa nikt z nich niczego nie rozumiał. Zresztą czasami wystarczała im intonacja, by w ruch poszły pistolety, ale tym razem jakoś się upiekło.

W końcu Hawrik przedstawił Jasona; przed nos wjechał mu olbrzymi mikrofon. Niemal doszło do konfliktu: Meta, nie znając takich barbarzyńskich sposobów rejestracji wywiadów, rzuciła się na ratunek. Ale i ten incydent jakoś udało się załagodzić.

- Bracia w rozumie - zaczął Jason - mogę zaświadczyć, że pan Spiker Hawrik rzeczywiście jest jednym człowiekiem na tym globie, który zaprosił nas do siebie i przyjął z całą gościnnością w czasie, gdy inni tylko walczyli z nami lub proponowali, byśmy się stąd wynieśli. Ale ja zwróciłem się do pana Spikera z malutką prośbą o współrzędne planety Agreasy. Prośba ta to zupełny drobiazg, można ją spełnić w ciągu kilku minut, mimo to ja i moi przyjaciele sterczymy tu już trzy godziny, a sprawa nadal jest w lesie. Wciąż nie znamy współrzędnych, tak więc oceńcie sami swojego Spikera, bracia w rozumie...

W tym momencie Jason zauważył, że transmisja już chwilę temu została przerwana, a mikrofon zniknął.

Hawrikowi oczywiście nie spodobało się jego wystąpienie. No, cóż, drogi Hawriku, jeśli mam być szczerzy, nie miałem nadziei, że ci się spodoba. Potrzebuję tylko współrzędnych Agreasy, nic więcej, skomentował w duchu Jason.

- Wszyscy są wolni! - dźwięcznie wykrzyknął Hawrik. Odwrócił się do Jasona.

- Było mi przyjemnie poznać was. Do widzenia, do nowych spotkań we wszechświecie. A teraz, panowie, proszę o wybaczenie. Obowiązki wzywają.

- A współrzędne Agreasy? - zapytał Jason.

- Poszukiwania trwają - Hawrik skłamał nie mrugnawszy okiem. - Zostaną wam przekazane później. Czekajcie na odpowiedź.

Jason przetłumaczył wszystko Karkowi, który dość beznamiętnie zaproponował, by oderwać Spikerowi głowę.

Jason tylko machnął ręką:

- Jedźmy stąd. Mamy jeszcze tego kaprała w rezerwie.

Pluton, na szczęście, jeszcze nie został przesunięty na inne pozycje. Przerwa w działaniach się przeciągała. Wyczerpani żołnierze odpoczywali w okopach. Gumra,

pochylony nad kociołkiem, pochłaniał jasnożółtą kaszę z kawałkami mięsa.

- No i jak tam, kapralu? - zapytał Jason bez specjalnej nadziei w głosie.

- W porządku, szefie - zaszalował kapral. - Ja splacam swoje długi. Trzymaj.

Współrzędne zostały zapisane atramentem na kawałku kartonu z jakiegoś opakowania.

- Zapisywałem ze słuchu, ale wszystko jest w porządku. Naprawdę, szefie. A do tego zundeja toście niepotrzebnie pojechali. Lepiej było wrębać tu z nami trochę kaszy.

Planeta Kreyzick mogła zadziwić każdego, nawet najbardziej zblazowanego gwiazdowego podróżnika. Jason od razu wyjaśnił wszystkim, że jej nazwa w przekładzie ze staroangielskiego i z poprawką na pewne zniekształcenia oznacza "szalony". Oczywiście, nie trzeba było długich badań, by zrozumieć przyczynę tak obrazowej nazwy. Urządzono tu wszechświatowy śmietnik, galaktyczne gnojowisko. Widocznie na jakimś etapie burzliwej kolonizacji centrum Galaktyki, nie wiadomo dlaczego, właśnie na tę ziemio-podobną tlenową planetę zaczęto zwozić elektromechaniczne, elektroniczne, chemiczne, syntetyczne i inne odpady cywilizacyjne ze wszystkich okolicznych systemów gwiazdnych, a może i całej gromady kulistej. W każdym razie niczego naturalnego, roślinnego czy zwierzęcego, nie dało się namierzyć pod tą wielowiekową warstwą kulturową.

Ale śmieć śmieciowi nierówny. Znajdowały się tu zarówno całkowicie zardzewiałe żelastwa nieokreślonego kształtu, jak i niemal całe, niemal gotowe do wykorzystania urządzenia. Właściwie chyba więcej było na tym globie absolutnie sprawnych maszyn i mechanizmów, tak przynajmniej wyglądały. Nic więcej sensownego nie można było o nich powiedzieć.

Wtedy Jason przypomniał sobie, że czytał kiedyś o planecie noszącej nazwę Szalona. Na pewno. Musiał teraz szybko przypomnieć sobie gdzie i kiedy. Jeśli się okaże, że nie ma mowy o pomyłce, załoga "Argo" zdobędzie ważne dla dalszego lotu dane. Przynajmniej raz podczas tej podróży Pyrrusanie nawiążą kontakt nie na oślep. W końcu chyba po coś Jason wlecze ze sobą ogromną bibliotekę, zawierającą najpełniejsze z możliwych wiadomości o wszystkich zamieszanych planetach Wszechświata?

Skończyło się tak, że póki potężny okręt jak drapieźny jastrząb krążył nad globem, wypatrując zdobyczy, Jason grzebał się w gwiazdnych katalogach niemal na oślep, bo przecież nie pamiętał, w jakim języku planeta nosiła nazwę Szalona. Ale udało się! Pierwszą nazwę, w niewyobrażalnie odległych czasach, otrzymała w języku ormiańskim. Jason nawet nie słyszał o takim języku. Potem to wpadające w ucho słowo nie wiadomo dlaczego było tłumaczone siedemnaście razy na siedemnaście języków Dziwna taktyka, zazwyczaj takie wyrazy pisano, używając innego alfabetu i zachowując pierwotne brzmienie. Ale nie w tym wypadku. W każdym razie przynajmniej współrzędne globu się nie zmieniały przez cały ten długi czas. Chodziło o ten sam śmietnik i Jason mógł z czystym sumieniem streścić załodze statku przeczytaną w archiwum historię.

Świat, będący powszechnym śmietniskiem, wyposażony był w najnowsze w owym czasie urządzenia techniczne. Działy tu roboty - utylizatory, roboty - ładowacze i roboty -

transportery. Zapewne zostały kiedyś przywiezione na Kreyzick jako personel obsługujący, ale każdy wie, że najprostszy automat - utylizator czy mechanizm załadowczo - wyładowczy może się stać po nieznaczej ingerencji samoczącym się robotem remontowym. Tak właśnie się zdarzyło. W tej chwili można było tylko zgadywać, kto i po co to zrobił, ale efekty były widoczne: roboty przez długie wieki wyremontowały na planecie wszystko, co dało się wyremontować, a co się nie dało - zostało odtworzone.

W ten sposób na planecie Kreyzick w ciągu dość długiego czasu trwała autentyczna nekroewolucja, o której naukowcy spekulowali od dawna.

W praktyce sprawa okazała się bardziej złożona niż sądzono. Był to proces skomplikowany, kompleksowy, z walką o przetrwanie, z selekcją naturalną. Roboty doskonaliły również same siebie, osiągając przy tym zupełnie nieoczekiwane efekty. O nowych typach maszyn pisano w niektórych starych informatorach, nawet usiłowano je klasyfikować. Ale potem zainteresowanie minęło, regularne rejsy na Kreyzick ustały. Zmechanizowana planeta nie brała udziału ani w wojennych działaniach, ani w handlu międzygwiazdowym. Nigdzie nie odnotowano, czy nadal zwozi się tam odpady. Nie wspomniano też nigdzie o mieszkańcach planety. Zwyczaj liczenia "pogłowia" robotów po prostu nie istniał, zresztą nie każdy z nich miał głowę. . . Natomiast ludzie. . .

Nie figurowali w danych archiwalnych, a obserwacja Pyrrusan też nie wykazała ich obecności.

Kiedy "Argo" zawisł na orbicie Kreyzicka, cała ta wesoła elektroniczno - mechaniczna kompania nie wykazała najmniejszych śladów agresji i zainteresowania. Sygnały radiowe, które roboty musiały odebrać, wpadły jak w czarną dziurę. Nie otrzymali nawet odpowiedzi typu: "Słyszemy was, słyszemy, ale po tu się pchacie?!"

- Ludzie zareagowaliby inaczej - powiedział Stan. - W każdym razie ludzie dysponujący taką ilością techniki.

- Masz rację - zgodził się Archie - ale wyobraź sobie, że na tym wariackim świecie wszystko stoi na głowie. Władcami planety są maszyny, a ludzie im służą. Jak w takim razie zachowają się maszyny w chwili kontaktu z nami?

Jason poczuł ciarki przemykające po plecach. Pyrrusanie również się skoncentrowali.

- Co proponujesz? - zapytał praktyczny jak zawsze Kerk.

- Na razie nic. Proponuję myśleć i zachowywać maksymalną ostrożność. Na tej planecie nie powinniśmy lądować jak na wszystkich poprzednich, zamieszkałych przez bardzo różnych, ale jednak ludzi. Na razie muszą nam wystarczyć wyniki analizy wizualnej i nieudanego kontaktu radiowego.

Jason nagle przypomniał sobie Białe Ptaszyny Zemsty, które na przekór historycznym informacjom brały udział w wojennych działaniach na sąsiednim globie, i przyszło mu do głowy coś strasznego.

- Zastanówmy się, przyjaciele - zabrał głos. - Czy mogło się zdarzyć tak, że przez

wszystkie długie wieki na tym gruzowisku, które stało się jednym wielkim samodzielny mechanizmem, ani razu nie wylądował człowiek?

- Mało prawdopodobne - powiedział Brucco.

- Też tak sędzę - przytaknął Jason. - przy tej gęstości zasiedlenia na jeden sześcienny parsek. Moim zdaniem, istnieją cztery warianty dalszego rozwoju wydarzeń. Pierwszy: ludzie mogli zwyciężyć, opanować mechanizmy i przycziąć się. Chyba nie z takim wariantem mamy do czynienia. Drugi: wszyscy ludzie, którzy się tu wpakowali, zostali zlikwidowani. Trzeci: to, o czym mówił Archie. Ludzie trafili do niewoli maszyn i teraz służą im. I wariant czwarty

Jason umyślnie zrobił pauzę. Wtedy odezwała się Meta: - Mogła powstać synteza człowieka i maszyny.

- Właśnie! - uśmiechnął się radośnie Jason.

Chociaż niby z czego się tu cieszyć? Po prostu nie chciał sam tego powiedzieć, wołał, by zrobił to ktoś inny. Wtedy taka hipoteza zabrzmi szczególnie mocno.

- Właśnie! Zuch, Meta! Synteza. Chciałem przypomnieć o cyborgach. O bojowych ptakach, z powodu których tu przylecieliśmy, o stalowym dziku i innych żyjątkach, które co jakiś czas pojawiają się na Saandzie, i w końcu o tych nowych pokoleniach pyrrusańskich potworów...

- To jakaś kaszana, Jasonie - mruknął Brucco.

- Owszem - zgodził się Jason wzdychając. - Po prostu stawiam hipotezę wszystkim pod rozwagę. Zróbmy tak: urlop do jutra, a rano zbieramy się na naradę. Wydaje mi się, że w najważniejszym punkcie Archie ma rację: nie możemy się pakować w ten zmechanizowany śmietnik z karabinami na ramieniu. Nic głupszego nie moglibyśmy zrobić.

Poranna narada się nie odbyła. Dokładniej - odbyła się, ale miała charakter nadzwyczajny i była maksymalnie krótka. Załoga "Argo" jeszcze nie zjadła śniadania, gdy wachtowy Gryf uruchomił alarm. Do okrętu Pyrrusan z dość dużą prędkością zbliżał się nieznany obiekt. Sądząc po trajektorii i stale zmieniającym się zakresie promieniowania, był to obiekt pilotowany.

- Niby nie pocisk ani torpeda, ale może być niebezpieczny - skomentował Clif i natychmiast usiadł przy sterowniku artylerii taktycznej.

Słowa te przekazano przez interkom do wszystkich pomieszczeń statku, więc Jason bardzo się spieszył do sterówki, by zapobiec strzelaniu. Wpadł do pomieszczenia jednocześnie z Metą i Kerkiem.

Niezidentyfikowany obiekt widniał już wyraźnie na ekranie, a jego szybkość znacznie spadła. Rozpoznali uniwersalną maszynę latającą. Miała szeroko rozłożone skrzydła. Ich przeznaczenie jest oczywiste w atmosferze, w przestrzeni kosmicznej mogły spełniać co najwyżej funkcję baterii słonecznych. Dziobowa część tego samolotu przypominała ładne ludzkie oblicze o wyraźnie kobiecych rysach, a skojarzenia to powiększały pełne piersi w dolnej części kadłuba. Przypominały się nader odległe czasy, kiedy na dziobach żaglowców,

przemierzających oceany, mocowano figury ludzi czy zwierząt jako ozdobę czy symbol magiczny. Funkcjonalność tego typu detali w konstrukcji samolotu wywoływała spore wątpliwości.

W tym czasie śnieżnobiały ptak się zbliżył. Wszyscy jak zaczarowani przyglądali się jego lotowi. Jason zrozumiał, że słowa "ptak", "ptaszyna" przyszły mu do głowy w sposób naturalny i nieprzypadkowo. Biała Ptaszyna Zemsty. Czy to nie ona?

- Maksymalnie dużo światła na obiekt! Cała informacja o obiekcie na ekrany! Włączyć wszystkie systemy obrony, ale w żadnym przypadku nie strzelać! Spróbujcie przekazać jej naszą propozycję współpracy.

Tak, właśnie jej, pomyślał Jason. Ten latający aparat po prostu wymaga stosowania rodzaju żeńskiego.

- Nie ma odpowiedzi? Próbujcie dalej ! Nie strzelać ! ! Jason rzucał polecenia, nie uzgadniając ich z nikim, ale Meta energicznie kiwała głową. Kerk również, wprawdzie tylko spojrzeniem, ale aprobował działania Jasona.

Im bliżej podlatywała kobieta, tym mniej wydawała się niebezpieczna. Większość już oszacowała gabaryty latającego aparatu, ale to Meta powiedziała pierwsza:

- Przecież ona jest wielkości człowieka! Nawet mniejsza! To nie jest statek, nie urządzenie, to... cyborg.

Jason podzielał jej opinię.

Cyborg czy nie, biała ptaszyna podleciała do "Argo" niemal na styk, złożyła skrzydła i wysunął koła - nie, nie koła, a zwykłe ptasie łapki! - usiadła na konsoli rakiety jak na grzędzie. Na jej korpusie nie było widać żadnej broni, a jeśli chodzi o niewidoczne środki agresji, to, jak głosi mądrość ludowa, wszystkiego nie da się przewidzieć. Ale w tym przypadku wygląd mówił wiele: ni to mewa, siedząca na skale, ni to gołąb pokoju, dobry wysłannik, uspokajający jak biała flaga parlamentariusza.

Nie było standardowej odpowiedzi na sygnał radiowy. Chyba zgodnie z tradycją, bo nic w tych okolicach nie nosiło znamion standardu. Ale po jakimś czasie - akurat Pyrrusanie zdążyli się pozbierać i już zaczęli przebierać nogami z niecierpliwości - na czole kobiety zapłonęły cyfry i zaczęło się odliczanie wsteczne.

Za niecałe siedem minut coś miało nastąpić.

Dwie minuty z tych siedmiu Jason poświęcił na to, by kolejny raz przekonać Pyrrusanie, że wyprzedzające uderzenie nie jest dobrym pomysłem. Clif na przykład uważał, że biała ptaszyna, na dodatek Biała Ptaszyna Zemsty, jest zwyczajną bombą z mechanizmem zegarowym. Jason wybił jemu i innym z głowy ten pomysł - czy wtedy ktoś normalny uprzedzałby o momencie eksplozji? Poza tym konwencjonalna broń raczej nie zagrażała superpancerzowi "Argo" z siedmioma dublującymi się systemami ochrony. A jeśli to jakaś naprawdę poważna bomba, powiedzmy, anihilacyjna, to tym bardziej nie należy jej strącać za pomocą rakiety. Jedyne, co można w takim wypadku zrobić, to wysłać w przestrzeń kogoś,

kto uprzejmie poprosi ptaszka, by stąd odleciał, a w fazie odmowy oderwie go i ciśnie gdzieś daleko stąd.

Nikt nie chciał się zajmować podobnymi głupstwami, a na dodatek wyświetlacz na czole gościa zmienił temat i pokazał tekst nadawany w trzech językach: "Proszę za mną". Po czym odliczanie zostało wznowione. Pozostały trzy minuty z hakiem.

W końcu postanowiono usłuchać Jasona, który zarządził:

- Desantowy kuter do startu! Migiem!
- A jeśli to pułapka? - zapytał Kerk.
- To się zobaczy - uśmiechnął się Jason.

Kerk uśmiechnął się również. Czy Pyrrusanie kiedykolwiek unikali pułapek? Wręcz przeciwnie, pakowali się w nie, zadowoleni jak dzieci, żeby po rozbiciu wroga wydostać się z nich.

A nowy, trwający dziesięć sekund napis głosił lakonicznie: "Korytarz otwarty. Proszę za mną. Dystans około kilometra".

To raczej nie jest pułapka, pomyślał Jason. Chyba że osobiście na mnie. Przecież nikt inny by się w nią nie pakował.

Sidla? Nie ma się czego bać. Przecież przybył tu specjalnie po to, by je odnaleźć.

Meta próbowała odchylić się od kursu wytyczonego przez ptaszynę, co udowodniło nader wyraźnie, że korytarz jest wycięty w polu elektromagnetycznym o wręcz fantastycznej odporności. Od tego typu pola każdy metalowy przedmiot odskakiwał jak gumowa piłka od ściany. W ten sposób droga na planetę bez specjalnego pozwolenia była wolna dla wszystkich chętnych, ale wyłącznie w prostych plastikowych skafandrach, bez noży, pistoletów i przyrządów elektronicznych. Nie maco zazdrościć dywersantowi, kiedy trafi do królestwa techniki z długą historią.

Łądowanie odbyło się pomyślnie - na niewielkim placu, który był widocznie do tego właśnie przeznaczony. Ale cała reszta otoczenia, szczerze mówiąc, mało przypominała kosmoport. Na wprost przed nimi w ogromnej stercie, jeśli nie użyć słowa "górze", technicznego chłamu otwierała się czarna gardziel jaskini, a może tunelu. Od lądowiska do otworu powierzchnia planety też zavalona była nieczynnymi urządzeniami, drobnymi częściami zapasowymi albo odłamkami większych elementów. Właściwie widzieli już to wszystko z kosmosu, ale teraz, z bliska, zadziwiało szalone połączenie: śnieżnobiała kobieta - ptak, wspaniała w swej doskonałości, majaczący w oddali olbrzymi robot z wypucowanym do błysku pancerzem i dokładnymi, oszczędnymi ruchami poruszające się tu i tam samosterowne wózki na kroczących kolczastych kołach - wszystko to na tle od wieków nie sprzątanego śmietnika. Widocznie wyobrażenia robotów i cyborgów o estetyce różniły się od ludzkich, choć zamieszkiwały tlenowy świat, gdzie zwyczajny Homo sapiens mógłby spokojnie wychodzić na powierzchnię planety i oddychać bez aparatury wspomagającej.

Pyrrusanie wyskoczyli na ziemię, ale już stojąc na chrzęszczących pod stopami

odłamkach, stracili kontenans i jakoś zmarkotnieli. Bez żadnego komunikatu na czole ptaszyna poderwała się do lotu, odleciała w niebo i zniknęła. A z jaskini - oto niespodzianka! - wyszedł na spotkanie gościom wysoki chudy starzec z długą brodą, nie mniej białą niż upierzenie niezwyklej ptaszyny. Android? Cyborg? Chyba człowiek. W każdym razie tak uznał Jason. Pyrrusanie też skłaniali się ku tej opinii.

- Kinney - przedstawił się siwowłosa tubylec i zaczął przemawiać w jakimś starym, nieznanym nawet Jasonowi języku.

Na szczęście współczesny międzynarodowy język Galaktyki okazał się zrozumiały dla starca i dalej wszystko potoczyło się niezłe.

Jednak człowiek kierował robotami, a nie odwrotnie. Kinney był swego rodzaju nadzorcą złomowiska. Nie był pewny, czy jest tu sam, ale ten problem, jak się wydawało, niezbyt go interesował. Czcigodny starzec prowadził życie pustelnika, ale gdy zobaczył w niebiosach ogromny statek, dawno uspiona ciekawość obudziła się w jego duszy i postanowił zaprosić rzadkich w tych okolicach gości do siebie.

- Tak więc to pan przysłał do nas taką piękną ptaszynę? chciał się upewnić Stan.

- Można powiedzieć, że to ja.

Wszystkie odpowiedzi cechowało takie właśnie unikanie konkretów.

- Rzeczywiście jest panu podporządkowana? - nie ustawał Stan.

- Wszystkie są posłuszne, ale nie zawsze i nie we wszystkim.

- A dokąd teraz odleciała?

- Sądzę, że poleciała zawezwać koleżanki.

Rozmowa toczyła się niespiesznie, niemal buksowała w miejscu. W tym czasie okazało się, że wózki mają prócz kółek również długie manipulatory, przypominające ludzkie ręce. Mechaniczni słudzy szybko ustawili pod gołym niebem długi stół, rozstawili dokoła niego krzesła i zaczęli znosić dzbany z napojami i tace z potrawami, sprawnie jak dobra obsługa hotelowa. Te prymitywne urządzenia (czy może istoty?) widocznie słuchały swego pana lepiej niż ptaki. Natomiast ptaszyny - co na to można poradzić?! - są istotami (czy może urządzeniami) wysoko zorganizowanymi. Dlatego są dumne i latają, gdzie chcą.

- A czy bez ptaszyn może nam pan załatwić korytarz z powrotem na orbitę? - poważnym tonem zapytał Kerk.

- Niech się pan tym nie przejmuje - zapewnił starzec Kinney - Nie spieszcie się. Posiedzimy, wypijemy i przekąsimy, a potem się zobaczy

Kerka niespecjalnie cieszyła taka perspektywa, ale na stole były potrawy wyglądające zupełnie zwyczajnie, nawet apetycznie, a poza tym Pyrrusański wódz już zrozumiał, że w centrum Galaktyki chwytanie byka za rogi nie jest najlepszą metodą postępowania. Tu należy się przysłuchiwać opiniom Jasona i cierpliwie czekać. Inaczej nic nie wychodzi. Zaś dobra przekąska nie jest zła.

Ale, niestety, nie zdążyli nic zjeść.

Właśnie usiedli, właśnie ręce sięgały do grubościennych plastikowych kubków i po wielozębne wytworne widelczyki, gdy z nieba, łopocząc skrzydłami, nadleciały białe ptaszyny. Teraz było ich wiele. Bardzo wiele. Jason nawet nie próbował odgadnąć, która przywiodła ich do jaskini Kinneya. Ptaszyny utraciły całą kobiecość i urok. Chwytały łapami i zębami wszystkie potrawy jak leci, rwały je na kawałki, łykały, nie przeżuając, ryczały, ciamkały, splotowały, dławili się i w kilka chwil zmieniły wspianiały stół w taki sam śmietnik, jaki panował dokoła. Tyle że nowe śmiecie miały charakter organiczny. Były to sterty ohydnych resztek i kości, które pływały w śmierdzących kałużach wina, sosów, przypraw i naturalnych ptasich odchodów.

Sympatyczne białoskrzydłe panny odleciały równie niespodziewanie, jak się pojawiły Pyrrusanie, oczywiście, mieli w dłoniach broń od razu, gdy tylko usłyszeli szelest skrzydeł, ale nikt nie strzelał. Nie było przecież zagrożenia życia, a żarcie... Co tam żarcie! W końcu nie oni są tu gospodarzami. Może taki jest miejscowy obyczaj - pierwsze porcje oddaje się ptaszynom. Co prawda za duże to porcje jak na takie nieważkie istoty, ale... Osąd nie należał do Pyrrusan. Siedzieli i cierpliwie czekali na wyjaśnienia.

A starzec zasłonił twarz rękami i nagle zobaczyli, że pomiędzy jego palców płyną łzy.

- Co to znaczy? - zapytał w końcu Jason.

Wtedy Kinney otarł łzy rękawem płaszcza i zaczął opowiadać prawdę. Tak właśnie powiedział:

- Teraz opowiem wam prawdę. Skończył się czas niedomówień i uników. Posłuchajcie mnie. Byłem ci ja królem na planecie Agreasy...

Jason drgnął i przygotował się do słuchania ze wzmożoną uwagą.

- Byłem władcą - kontynuował starzec - ale zrzucił mnie z tronu Suleli, zważy się Isaakiem Danielem Jotą. Zrzucił mnie, powołując się na wolę bogów. Że niby uznali moje panowanie za nadmiernie okrutne w stosunku do poddanych i zesłali mnie tu za karę. Mam na Kreyzicku wielu służących, ale wszyscy są niemi. Wszyscy są nieożywieni albo na wpół tylko żywi. A najważniejsze wśród nich są Białe Ptaszyny Zemsty, ponieważ sam wyhodowałem te sługi. Sam wynalazłem tę postać syntetycznego bioelektronicznego życia. Teraz hoduję je jak indyczki na farmie. Co roku mam więcej swoich wspianiałych ptaszyn i kiedyś w końcu staniemy się niezwyciężoną armią. Wówczas zwałę całą moc swej zgromadzonej przez te lata zemsty na starożytną, zbezczeszczoną przez niegodziwców ziemię Agreasy. A na razie... Na razie nie jesteśmy jeszcze tak silni. Moje ptaszęta uczestniczyły w dwóch niewielkich kampaniach. Na przykład na Bipchinii poparliśmy pewnego razu Memrików.

- Dlaczego akurat ich? - szybko zapytał Jason.

- Młody człowieku! Bardzo dawno temu moi synowie odlecieli stąd i stali się Memrikami.

- Rozumiem - włączył się do rozmowy Archie, którego zaczęła irytować gadatliwość

starca. - Ale jeszcze nie usłyszeliśmy, dlaczego pańskie wspaniałe służebnice wrąbały nasz poczęstunek. Czy może jakoś opacznie to zrozumiałem?

Zapewne młody Archie pospieszył się z tym pytaniem. Siwobrody ponownie zalał się łzami i przez jakiś czas nie mógł mówić, a potem szepnął:

- Widać oszukał mnie wieszcz...

Po tych słowach Pyrrusanie posmutnieli. Liczyli na to, że pójdzie im łatwiej niż z Hawrikiem. Wydawało się, że planeta Agreeasy już jest w zasięgu ręki - dwa razy została wspomniana w rozmowie i bliska jest teraz jak... no tak, jak łokieć, którego nie da się ugryźć. A starzec wyraźnie ześwirował. Nie da się z niego wycisnąć nic sensownego i niedługo wspaniałe ptaszyny nie tylko jedzenie mu pożrą, ale i jego samego.

Jason patrzył zupełnie inaczej na powstałą sytuację. Cieszyło go, że Pyrrusanie zachowują się rozsądnie i nie wszczynają żadnych działań. On sam już się nauczył czekać, umiał słuchać innych, potrafił się nie gorączkować i nie spieszyć. Dlatego tylko puścił do Archiego niemal niewidoczne oko: "Spokojnie, przyjacielu, nie rób zadymy, zaraz się dowiemy wszystkiego".

I dowiedzieli się.

- Ptaszyny moje są bardzo mądre, tylko nie potrafią mówić. Ale wszystko rozumieją. Od początku wiedziały, że lubię sobie podjeść. O, nawet sobie nie wyobrażacie, jakim jestem strasznym smakoszem! I żarłokiem. Największym dla mnie nieszczęściem jest brak jedzenia. Właściwie to tak właśnie mnie ukarano. Ześlanie samo w sobie, tfu! Co mi za różnica, gdzie będę żył? Jest tylko malutki detal. Tu, na Kreyzicku, zupełnie nie ma żywności. Tak więc... Ptaszeta zaczęły mi przynosić skądś jedzonko, prawdziwe, smaczne. Ja się z nimi, rzecz jasna, dzieliłem. Ptaszków było coraz więcej i jedzenia przynosiły coraz więcej. A potem coś się popsuło. Jedzenia nie starczało dla wszystkich. One, niestety, wiedziały, że ja nie muszę koniecznie, więc zaczęły jeść pierwsze, a dla mnie nie zostawało już nic.. I taki się wytworzył zwyczaj. Od lat. Jak tylko siadam do stołu - już są! I zjadają wszystko co do okruszka. Ukryć się nie można nigdzie: ani w jaskini, ani w maszynie jakiejś, ani w łóżku, ani pod nim. .. Dosięgną wszędzie i zawsze. Pożrą moje śniadanko, obiad i kolację do ostatniego okruszka. Już im proponowałem, zabierzcie wszystko naraz, nie będę miał pretensji. E, nie, patrzą na mnie jasnymi swymi oczkami, milczą i jakby podpowiadają: Nie leń się, Kinney, nakrywaj do stołu częściej"! I tak dręczą mnie codziennie od niemal trzystu lat.

- Od ilu? - zapytał Archie z naiwnym zdziwieniem prostaczka bożego. - Tak długo pan żyje? Jakim cudem?

- A to niby po co? - smutno zapytał Kinney i rozpiął zamek błyskawiczny chałatu.

Z piersi starca wystawało płaskie połyskujące pudełeczko. - Bioelektroniczna bateria - wyjaśnił. - Energia słoneczna, trafiając na moją skórę, przekształca się w chemiczną, chemiczna, o tu, w biochemiczną i to działa! Metabolizm w porządku. Żyję. Ale jeść mi się chce. Nie wyobrażacie sobie jak bardzo! Tak więc - dodał po pauzie - wieszcz obiecał mi, że ten problem rozwiąże się sam, gdy na planetę Kreyzick przybędzie ogromny statek kosmiczny

z silnymi i odważnymi wojownikami na pokładzie.

- Wdzięczni jesteście za komplement - podziękował Jason. - A teraz posłuchaj uważnie, dziaduniu. Wieszczyk przepowiedział wszystko prawidłowo, tylko należy pamiętać, że żadne problemy same się nie rozwiązują. Ale - Jason uniósł palec - my, jako odważni wojownicy, potrafimy ci pomóc. Ale w tym celu musimy odwiedzić Agreasy. Tak więc szybko wskaż nam drogę, a my wracając nie zapomnimy tu wstąpić i uwolnimy cię od tego wieloletniego nieszczęścia. To co, zgoda? Przybijamy?

Stary Kinney patrzył na Jasona oszołomiony. Wyglądało na to, że wcale nie zamierzał ukrywać współzręcznych Agreasy i nie wierzy we własne szczęście. Pewnie jeszcze nigdy w życiu nie spotkał porządnego człowieka. Teraz poczuł, korzystając z nadzwyczajnego wycucia cyborga, że go nie oszukają. Gotów był opowiedzieć wszystko, co tylko wiedział. Ale sama gotowość to jeszcze za mało.

- Jak mam wam wyjaśnić, gdzie leży Agreasy, skoro przywieziono mnie stamtąd w zamkniętym kontenerze? - wrzasnął starzec i nadzieje wszystkich Pyrrusan runęły raz jeszcze.

Tylko Archie zdobył się na pytanie:

- Czyżby, drogi Kinneyu, na całej tej planecie żaden robot, android, cyborg czy komputer nie znał lokalizacji nieobcego wam przecież globu z sąsiedniego systemu gwiazdowego? Nigdy w to nie uwierzę.

Kinney zamyślił się ciężko, potem bez słowa zakłaskał w dłonie. Nawet Jason uznał, że szkoda na to wszystko czasu i pora stąd się oddalić.

Jednakże po dziewiątym klaśnieciu przyleciała Biała Ptaszyna Zemsty i posłusznie przycupnęła na skraju stołu zaświnionego przez swoje krewniaczki.

- Oto jest - odezwał się siwobrody Kinney. - Ona wie, gdzie jest Agreasy.

Potem starzec przycisnął wielkiego ptaka do piersi i powiedział świszczącym szeptem:

- Planeta Agreasy, moja jaskółeczko. Leć i zabij Suleli. A oni polecą z tobą i pomogą ci. Nie zgub ich, to najważniejsze.

- Nie obiecywaliśmy ci, że weźmiemy udział w zabójstwie twego brata Sulek - warknął Kerk, umyślnie przechodząc na "ty".

Kerk bardzo nie lubił, gdy ktoś decydował za niego, co ma robić, a czego nie.

- Ale przecież chcieliście trafić na moją ojczystą planetę?

- Tak - przyznał Kerk.

- No to nie zwracajcie uwagi na moje słowa, tylko lećcie za nią.

- Z jaką prędkością będzie się poruszała twoja ptaszyna? zapytała Meta.

- Rozumiem - przerwał jej starzec. - Ona się dostosuje do was. A w ogóle to dwie dziesiąte światła nie stanowią dla niej problemu.

- Jasne, może być - zgodziła się Meta.

O tyle jeszcze rzeczy chciał Jason zapytać zwariowanego mieszkańca stukniętej planety. . . Przecież nie porozmawiali o robotach, o historii, o innych ludziach, którzy kiedyś tu przylatywali...

Ale Kinney nagle odezwał się głośno i uroczyście:

- Będę was oczekiwał. A teraz się spieszcie. Korytarz zostanie otwarty za minutę. Powinnicie lecieć.

Agreasy była trzecią planetą w systemie małej żółtej gwiazdy, znanej wśród astronomów pod nazwą Nowy Kokos. Kto by pomyślał! Archie w czasie studiów pisał pierwszą samodzielną pracę naukową na temat: "Uwarunkowanie natury cyklicznych zmian natężenia blasku gwiazdy na przykładzie żółtego karła Nowy Kokos"! Jakże mały jest wszechświat! Student Archie był w owym czasie święcie przekonany, że w takim systemie gwiazdowym nie mogą istnieć żadne zamieszkane planety. A teraz się okazywało, że nie tylko z planetami, ale i z blaskiem młody astrofizyk nieźle dał ciała.

Przyczyna leżała nie w samej gwieździe, ale w niestandardowej powłoce otaczającej słońce w mniej więcej jednakowej odległości od orbit trzeciej i czwartej planety. Zwarte pasmo meteorów o grubości dwudziestu kilometrów. Wzruszająca zgodność ze, znaną z podręczników historii, grubością pierścieni Saturna w przedwojennych czasach, zanim rozszabrowano je na przeciwarmadowe kurtyny. Pas meteorów dookoła Nowego Kokosa był nie tylko zwarty, ale również niezwykle ruchliwy, co wyraźnie świadczyło o jego młodym wieku.

Ale tego typu obserwacje interesowały może tylko Archiego, który chłonał wszystko szeroko otwartymi oczami, w naukowym zachwycie. Pozostali członkowie załogi "Argo" zaprzętnięci byli praktycznymi sprawami. A właściwie jednym problemem jak się przebić przez ten pasz minimalnymi stratami? Na hura? Można. Ale to oznacza olbrzymie straty energii, ryzyko, że uszkodzeniu ulegną ważne systemy okrętu i że zbyt wiele przy tym będzie hałasu. W końcu przybywaj ą na Agreasy nie w charakterze długo oczekiwanych gości i najchętniej zbliżyliby się, nie wzbudzając niepotrzebnego zainteresowania.

No to jak? Manewrować? Można, ale zmarnuje się kupę czasu na poznanie prawideł poruszania się meteorów i ustalenie szczegółowego programu dla silników marszowych, sterujących i hamowniczych.

Trzeciego wariantu właściwie nie było. Tylko pośredni: manewrować na oko, na aby - aby, a jeśli się nie uda - strzelać. Bardzo podobny do pierwszego.

Kiedy się zbliżyli na minimalną dopuszczalną odległość do strumienia straszliwych, bezszelestnie zderzających się, kruszących, wirujących, rozpadających głazów i odłamów, przewodnik Biała Ptaszyna, lecąca przed nimi, wyhamowała niemal do prędkości zerowej, odwróciła się i ukazawszy się na ekranie centralnego monitora, włączyła wyświetlacz na czole.

"Uwaga!", głośił przepływający przezeń tekst. "Za chwilę w strumieniu meteorów powstanie luka, wystarczająca do przeskoku do centrum sfery. Niebezpiecznego zetknięcia z największymi fragmentami planet można uniknąć tylko pod jednym warunkiem: lećcie dokładnie sto metrów za mną. Cokolwiek będzie się działo dokoła, nie wolno zmienić kierunku ruchu, szybkości i odległości od punktu orientacyjnego. W przypadku zniknięcia punktu orientacyjnego poruszaj się z poprzednią prędkością i poprzednim kursem."

Nie od razu dotarło do nich, co znaczy "w przypadku zniknięcia punktu orientacyjnego". Dowiedzieli się tego znacznie później. Po wejściu w strumień przez jakiś czas poruszali się nad podziw sprawnie. Nie było to dziwne: ptaszyna i statek przemieszczali się zgodnie ze starannie wyliczonym przez kogoś programem. Ale potem. . . Każdy program może nawalić, w każdej sprawie może się zdarzyć coś nieprzewidzianego.

Dwie olbrzymie skały, precyzyjnie stuknąwszy się szerokimi płaskimi występami, zmiażdżyły małego białego ptaszka i natychmiast zaczęły się rozsuwać na boki, unosząc na sobie zielono - bure plamy jeszcze przed chwilą czynnego, wspaniałego, skomplikowanego i bardzo niegłupiego urządzenia (a może jednak istoty rozumnej?).

Palce Mety nie zadrżały. Skały się rozsuwały, "Argo" napierał, pot spływał obficie po twarzach wszystkich Pyrrusan, którzy w tym momencie nie mogli pomóc swemu pilotowi. Mogli tylko milczeć, zacisnąć zęby i nie przeszkadzać, by nie wystraszyć do końca furtki, już umykającego sprzed nosa.

Ocierając się niemal o skały, poruszali się z wyjątkowo małą prędkością i tylko dzięki temu kamienne maszyny stuknęły się ze sobą już za nimi, a dwa inne giganty rozsypały się w pył dosłownie na kilka sekund przez pojawienie się statku w niebezpiecznej strefie.

Dalej było już czyste czarne niebo, kolorowe gwiazdy i mała, a jednak wyraźnie większa w porównaniu z innymi żółta kulka Nowego Kokosa. Teraz można było śmiało, bez zastanawiania się wdusić gaz. Tak właśnie postąpiła Meta. Cała załoga zwała się na podłogę i czuła się jak pod kołami olbrzymiego wszędołaza. Nikt nie zdążył wskoczyć w antyprzeciążeniowy fotel, przecież niemal wszyscy stali za plecami pilota w sterówce. Ale też nikt się nie obraził. Siedemnaście G. Drobiazg.

Kosmodrom Agreasy był wystarczająco cywilizowany: czyściutki, zadbany, ze sprawną służbą dyspozytorską, z brygadami obsługi naziemnej, z policjantami i posterunkami celnymi. Mógł przyjąć "Argo", ale oczywiście swój potężny statek Pyrrusanie pozostawili na orbicie. Dyżurowało na nim tylko siedmiu ludzi pod dowództwem Stana, minimalna załoga jak na liniowiec. A pododdział, co do liczebności będący plutonem kosmicznej piechoty, nie mieścił się w zwykłym kutrze. Musieli wyekspediować na Agreasy pojemniejszą i groźniejszą kanonierkę. Jason nie wiedział, kto czy co oczekuje ich na końcu długiej i skomplikowanej drogi, ale na wszelki wypadek chciał mieć do dyspozycji maksymalnie dużą siłę uderzeniową. Nie, lufy dział nie zostały wysunięte na zewnątrz, na sobie też nie wieszali niczego zbędnego, nawet nieodłączne pyrrusańskie pistolety postarali się ukryć w umyślnie szerokich rękawach. Po co niepotrzebnie straszyć ludzi? Widzicie? Jesteśmy zwykłymi turystami. Oczka szeroko otwarte i uśmiechy od ucha do ucha.

A pogoda była naprawdę turystyczna: bezchmurne niebo, upalne słońce i widoki z kosmodromu iście rajskie: góry, morze, piaszczyste plaże, palmy. Policja i celnicy powitali przybyszów chłodno, ale uprzejmie. Noszenie broni, na szczęście, nie było tu zakazane, a na pytanie o narkotyki każdy z Pyrrusan mógł z czystym sumieniem odpowiedzieć, że ich nie posiada. Przecież nawet wzięty do badań owoc kuromago pozostał na pokładzie tego».

W kosmoporcie nikt ich nie pytał o cel wizyty, co było dziwne. Tak mogli zachowywać się policjanci na wysoko rozwiniętych światach, od dawna będących członkami Ligi, gdzie przedstawiciele władz natychmiast, po znakach rozpoznawczych, odróżniali delegacje swoich kolegów po fachu. Oczywiście pytanie o cel przybycia uważano za niepotrzebne i nawet nie na miejscu również wtedy, gdy na planecie trwała wojna, a z przestrzeni kosmicznej spadał nowy bojowy pododdział. Ale tutaj nie wchodziło w grę ani jedno, ani drugie. Wszędzie panował spokój i porządek, a jednocześnie nie tylko Liga Światów, ale i Korpus Specjalny nie miał żadnych informacji o trzecim globie w systemie Nowego Kokosa. Może coś się komuś poplątało?

Nie ryzykując pytania policjanta o takie bzdury, Jason chwycił za klapy kierowcę, który zapraszał pasażerów w interlingwie. Kierowcy w kosmoportach zawsze potrafią porozumieć się w kilku językach, choć często dość kiepsko. Ale zawsze wiedzą wszystko. Ten osobnik kręcił na palcu kluczyki do swojego środka transportowego, a głowę zdobiło mu niesamowite nakrycie - płaskie jak lądowisko, ze dwa razy większe od średnicy głowy i do tego miało daszek.

- Powiedz, przyjacielu, czy możesz nas dowieźć do miejscowego oddziału Ligi Światów?

- Gdzie, gdzie, kochany? Nie rozumiem.

- Liga Światów. Liga - powtórzył Jason możliwie wyraźnie wymawiając słowa.

- Od razu trzeba było tak mówić, amchanagi! - ucieszył się kierowca, wstawiając miejscowe słówka do interlingwy. - Wiem, to jest taki nasz dobry sastumro. Rozumiesz, amchanagi? Hotel Liga.

Jason od razu się zgodził:

- Jedźmy do hotelu.

Właściwie było już jasne - to nie pomyłka i żadne nieporozumienie, po prostu nie ma na tym globie przedstawicielstwa Ligi. Należy działać inaczej, ale najpierw trzeba gdzieś zamieszkać. Coś przekąsić, poznać miejscowe obyczaje, dowiedzieć się kilku rzeczy w ogólnie dostępnej sieci informacyjnej, jeszcze raz się połączyć z Berwickiem. A właśnie, pierwsze informacje o Agreasy Jason przekazał "szefowi" jeszcze z pokładu "Argo". Teraz był po prostu pewien, że dobry hotel to najlepsze posunięcie dla jego oddziału.

- Hej, przyjacielu - przypomniał sobie Jason. Nie przewidziałem jednego: jest nas trzydziestu chłopów.

- Za kogo ty mnie masz, amchanagi. Moja mankana nawet pięćdziesięciu weźmie.

Mankana okazała się zwyczajnym autobusem, dość komfortowym w porównaniu, powiedzmy, ze środkami transportu na Porgorstorsaaandzie. Koszt przejazdu również zaskoczył swoim umiarkowaniem, a życzliwy kierowca, nie wahając się ani chwili, przyjął w rozliczeniu kredyty. Perłowo mieniające się banknoty były mu dobrze znane jako środek płatniczy, choć w kosmoporcie nie było specjalnego punktu wymiany wszechgalaktycznych pieniędzy na miejscową walutę, jak zauważył Jason. Ale równie spokojnie międzygwiazdne kredyty zostały przyjęte w hotelu, kiedy delegacja z nikomu tu nieznanego planety Pyrrus poprosiła o - to nie żarty! - trzydzieści trzy miejsca w pokojach o standardzie "lux".

Jason zostawił w kosmoporcie dziesięciu ludzi na czele z Rhesem. Mieli pilnować stojącej na polu startowym kanonierki i obserwować inne startujące i lądujące statki. Zadaniem tej grupy było zapoznanie się z okolicą, przyglądanie się podejrzanym typom i pozostanie w stałym kontakcie z dowództwem, to znaczy z Jasonem, Metą i Kerkiem. Niewątpliwie na planecie z takim poziomem technologii muszą istnieć nowoczesne służby specjalne, obserwujące niezwykłych gości od chwili ich wejścia na orbitę, a może jeszcze wcześniej.

Asastumro, to znaczy hotel, rzeczywiście nie był zły. Co prawda, nazywał się Lido, a nie Liga, ale to nie miało żadnego znaczenia. Zabawne nieporozumienie, może nawet, w pewnym sensie, sprzyjające. Jason zamienił kilka słów z portierem i dowiedział się, że nazwę nadał hotelowi pierwszy właściciel - pewien Italczyk o imieniu Fermo.

- W jakim sensie Italczyk? - zapytał Jason. - Gdzieś tu jest planeta Italia?

- Nie wiem - szczerze przyznał portier. - Może gdzieś jest. Ale Fermo był z bardzo odległej planety, o takiej dziwnej nazwie... coś jak Szkolna...

- Scoglio - odpowiedział Jason.

- Właśnie! - ucieszył się portier. - Scoglio. Dziękuję ci, amchanagi, żeś mi przypomniał. Teraz będę wszystkim opowiadał.

Jason nie pamiętał człowieka o imieniu Fermo, ale zanotował w pamięci: zdobyć informacje o pierwszym właścicielu hotelu. A proste słowo lido przetłumaczył z na wprost zapomnianego języka z łatwością. Znaczyło ono "wybrzeże" i idealnie nadawało się na nazwę.

Za oknami rozciągał się niepowtarzalny, przewspaniały widok. Miało się ochotę rzucić wszystko i iść popływać. No bo ile można pracować i pracować?

- Może pójdziemy się wykąpać? - marzycielskim tonem zapytała Meta, odwracając się od okna i siadając w głębokim miękkim fotelu. - Podoba ci się tu!

- No pewnie - odpowiedział Jason. - Ale teraz weźmiemy prysznic i pójdziemy na obiad. Jeśli zdążymy.

- Fe, aleś ty nudny. - Meta wyduła wargi. - Nawet nie pozwalasz mi pomarzyć. I dlaczego mielibyśmy nie zdążyć na obiad?

- Dlatego, że prosiłem Gryfa, by odnalazł telefon sekretariatu miejscowego władcy i

przekazał mu, że przybyły na planetę książę Dimed, syn Ajzona, chce się z nim widzieć.

- Książę to ty, no nie? - parsknęła Meta.

- Oczywiście, że ja. I wydaje mi się, że moje pierwsze imię, nadane mi przy urodzeniu, pamiętane jest tu lepiej, niż, powiedzmy, imię sławnego gracza Bauhilla, który oskubał kasyno Mgławica.

Jason się nie pomylił. Nie tylko w kwestii imienia. Obiad w restauracji Lido tego dnia nie był im pisany...

Dziesięć wspaniałych, połyskujących metalem mankana, na osobiste polecenie władcy Isaaka Daniela Joty, podstawiono prosto pod wejście do "Lido". Przez jakieś piętnaście minut kawalkada pędziła po wspaniałych magistralach wzdłuż morza, następnie skręciła w wąską, ale nie mniej gładką szosę, zamykaną szlabanem i stromo wspinającą się w górę. Królewski pałac zbudowany został w niezwykle pięknym miejscu i stał tu już niejednym wiek: ściany połyskiwały na słońcu dziewiczą bielą, ale były szorstkie i nawet miejscami wykruszone, niczym wycięte z cukru. Z kolei miedzianoczerwone szpile na wieżach lśniły, jakby codziennie je polerowano. Może tak zresztą było, a może pokrycia dachów i karoserie samochodów zrobiono z innego materiału, a nie z pospolitej miedzi.

Obiad był, ma się rozumieć, wspaniały. Do stołu nakryto w sali głównej - przyjechał w końcu nie byle jaki gość, a krewniak. Lude, araki i gwino łały się strumieniami. A potem się okazało, że lude to dość mierne piwo, araki - kiepska wódka. Tylko wśród napojów rozweselających, łącznie określanych mianem gwino, trafiały się bardzo znakomite przykłady prawdziwych win gronowych. Jason od razu się domyślił, że chodzi o miejscową specjalność, ale nie przesadzał z piciem. Czekająca go przecież audiencja u króla. A szkoda. O wiele przyjemniejsze byłoby wylegiwanie się gdzieś na plaży z flaszeczką niechby nawet najprostszego lude. I żeby o niczym nie trzeba było myśleć!

- Chodźmy, Dimedzie - przymilnie powiedział Jota, ostrożnie podchodząc do Jasona od tyłu. Nachylając mu się niemal do ucha, dodał: - Nastał czas, by porozmawiać w cztery oczy

- Dobrze - zgodził się Jason i dodał takim samym konspiracyjnym szeptem, jakim posługiwał się władca: - Ale ze mną będzie kobieta.

- Dlaczego? - zdziwił się Jota.

- Jest moją żoną.

Argument wywarł wrażenie. Jota się zamyślił i nie sprzeczał. Czy to wiadomo, jakie obyczaje panują na odległej planecie Pyrrus? Może uważają tam, że żona jest ważniejsza od osobistej ochrony? Świta Jasona wygląda potężnie, w razie sprzeczki wtrąca się wszyscy ci goryle. Potem więcej będzie kłopotów niż korzyści: góry trupów, sterty tłuczonego szkła, wszystko zachlapanie krwią A remonty są takie drogie! Lepiej niech już będzie kobieta.

- Chodźmy, Dimedzie - powtórzył król.

Jason skinął głową Kerkowi, że niby wszystko w porządku, jest w kontakcie, Meta

idzie z nim i mają broń. On i Meta wstali, podziękowali królowi, pochwalili kucharzy i kelnerów Jason wykorzystał zdolności językowe, by wygłosić podziękowanie w miejscowym narzeczu, co wywołało zachwyt Agreasjan. Potem w towarzystwie dwóch ochroniarzy z ogromnymi obnażonymi przedpotopowymi mieczami - taki tu panował styl - opuścili jadalnię i znikli w królewskich pokojach audiencyjnych.

Jason usiłował sobie wyobrazić, jak może wyglądać specjalny pokój do rozmów z ważnymi gośćmi i tajnych pertraktacji na tak dziwnej planecie jak Agreasy, gdzie osiągnięcia współczesnej cywilizacji wymieszane są z archaicznymi dziwactwami jak groch z kapustą. Na pewno będzie tam pełno źle ukrytych kamer, mikrofonów, aparatury rejestrującej, automatycznej broni uruchamianej głosem, mechanicznych pułapek i innych sprytnych gadżetów. Miał zresztą nadzieję, że nie dojdzie do żadnych ekscesów. By pokojowo osiągnąć pożądany rezultat, naprawdę ważne jest tylko jedno: trzeba precyzyjnie poprowadzić rozmowę.

- Meto - szepnął do swojej ochroniarki. - Nie odzywaj się, póki nie poproszę cię o zdanie. Zgoda? I nie obrażaj się.

Meta nie obrażała się już o nic. Ale przy pierwszym zagrożeniu życia Jasona czy swojego, postąpi tak, jak podpowiedzą jej wyssane z mlekiem matki Pyrrusańskie odruchy.

- Co masz do opowiedzenia, chłopcze? - zaczął Jota protekcyjnym tonem, od razu przechodząc na "ty".

- Bo to niby nie wiesz, wujaszku! - dostosował się Jason. Przyleciałem odebrać należący mi się gwiazdolit "Baran", dostarczony na twą planetę przez mojego brata Freiksa z polecenia naszej matki Nivelli. Freiksa też bym chętnie zabrał. Powiadają ludzie, że od dawna już chce wrócić, razem z żoną i dziećmi. Jeśli coś przekreśliłem, to mnie popraw, wujaszku!

Wujaszek LD. Jota po prostu oniemiał na taką bezczelność i zaczął wrzeszczeć:

- To nie tak! Wszystko nie tak! ! Posłuchaj mnie. Wysłuchaj i zapamiętaj. Freiksa nie ma na tym świecie. Umarł kilka lat temu. Jego dzieci tu są, ale czy zechcą z tobą wracać - oto jest pytanie. Wdowa po Freiksie, Halka, zastanawia się, czy nie wyjść za męża, i to nie byle gdzie, a właśnie tu, na naszej planecie, najlepszej w całym wszechświecie. A na razie wraz z moją córką Midi i synem Feitonem wspaniale się bawią. Przecież jesteś, Dimedzie czy może jednak lepiej nazywać cię Jasonem? - moim bratankiem, a ja jestem twoim wujem, ponieważ Nivella jest moją rodzoną siostrą. Oto dlaczego Olśniewający Śruboróg... Śruboróg! Rozumiesz? A nie gwiazdolit! Oto dlaczego znalazł się na mojej planecie. Ale pamiętaj, Jasonie, pamiętaj, Dimedzie, że gdy tylko Olśniewającego Śruboroga wyprawiono z Orhomana na Agreasy, ja wysłałem mu na spotkanie ślepy szyfrogram, bo nie wiedziałem, dokąd kierować sygnał: "Dziękuję ci, Nivello, za ten prezent, ale ani ciebie, ani twych mężów Ahamanta i Ajzona nie życzę sobie widzieć. Wystarczająco dużo napsuliście mi krwi. Teraz za pomocą specjalnych urządzeń, znajdujących się na pokładzie "Barana", odgradzę się od całego świata. Moja planeta będzie żyła lepiej od innych we Wszechświecie, a wy, szaleni fanatycy nauki, możecie sobie kontynuować swoje badania, gdzie chcecie, ale już beze mnie.

Pozdrowienia dla Fella". Tak to było! Pamiętam dokładnie wspaniały tekst tego szyfrogramu. A przy okazji... Nie wiem, czy Nivella otrzymała to posłanie, ale udało mi się wykreślić nazwę Agreasy ze wszystkich galaktycznych informatorów i atlasów. A pas meteorów, którym dawno temu opasali moją planetę bogowie, pozwolił się nam naprawdę odizolować od bliskich i dalszych zazdrośników i złośliwców. Tak, Jasonie! Ale ty dowiedziałeś się o mnie i przedarłeś tu. To bardzo wyraźnie poprawia twoje szanse, ale twierdzić, że jedna z najcenniejszych rzeczy wszechświata, gwiazdolit "Baran", jak go nazywasz, należy prawnie do ciebie - to już przesada! On należy do mnie! ! ! Od prawie trzydziestu lat.

Po co mówi to wszystko? Chce mnie zastraszyć? Przekonać? Śmieszne! Nowe informacje zawsze umacniają przeciwnika. A może władca Agreasy uważa, że Jason i tak to wszystko wie? Jason wiedział znacznie więcej, ale i w tym, co powiedział Jota, było sporo nowych i ważnych danych. Wszystkie elementy obrazka zostały ułożone, dopasowane do siebie i Jason poczuł, że jest niezwykły, przynajmniej w wojnie informacyjnej. Oto przypomniał sobie prawdziwe imię króla Joty, które podano mu dwukrotnie, Freiks w szyfrogramie i Kinney osobiście.

- Pięknie przemawiałeś, ale teraz posłuchaj mnie, Suleli. Władcą wstrząsnął dreszcz na dźwięk tego imienia, ale powstrzymał się od gwałtowniejszego okazania emocji i strzelanina, na szczęście, nie wybuchła.

- Powtarzam: posłuchaj mnie. Nie wiedziałem, że jesteś moim wujem. Naprawdę. Dziękuję ci za tę informację, ale wyrzekam się ciebie. Nie potrzebuję takich krewnych. Nawet na tej wspaniałej i bogatej w sensie przyrodniczym planecie. Potrzebuję tylko złotego poszycia. Jeśli je oddasz, wraz z całą świtą opuszczę twój glob w ciągu kilku godzin.

- Łiesz! - krzyknął król Jota.

Prawdziwy Suleli, żeby nie powiedzieć: dureń.

- Łiesz! Widziałem, z jakim wojskiem przybył następca tronu książę Dimed na moją planetę. Jeśli z małego statku wysiadło czterdziestu ludzi z hakiem, to ilu ich wysiądzie z wielkiego, wiszącego teraz na orbicie? Wiem, że chcecie podbić ten świat. Zamierzacie podporządkować sobie jeszcze jedną planetę i sami korzystać z jej naturalnych zasobów. Zdobyłem informacje. Wiem, że Pyrrusański oddział w sile stu trzydziestu ośmiu ludzi zawojował całą planetę. A dziś chcecie podbić jeszcze jedną, Agreasy. Nie uda się wam!

Wujek Suleli - Jota był jednak patologicznym idiotą. Słuchanie go przestało sprawiać przyjemność, ale w poszczególnych fragmencikach ujawniły się ważkie dane. Na przykład ta o zdobyciu informacji. Ciekawe gdzie? Jakimi kanałami? Podobno planeta jest całkowicie odizolowana od świata, a jednocześnie podał na przykład dokładną liczbę sto trzydzieści osiem. Widocznie poza siecią informacyjną Korpusu Specjalnego istnieje inna sieć. Wroga. Tylko co za głupek dopuszcza do supertajnej sieci takiego LD. Jotę!?

- Słuchaj mnie uważnie, siostrzeńcze! Wasz plan zajęcia planety ostatecznie padł. Jeśli zechcę, nie wypuszczę na zewnątrz nikogo z tych, którzy znaleźli się w moim pałacu. Nieważne, ile będzie mnie to kosztowało. Wszystkich agentów Pyrrusa, pozostawionych poza

tymi murami, zneutralizują moi superwojownicy z tajnych służb. A okręt na orbicie... Po prostu będzie zmuszony opuścić przestrzeń około planetarną. Dlaczego? Nie powiem. Niech to będzie dla was niespodzianką.

No i chwała Bogu, pomyślał Jason, przypominając sobie ulubione powiedzonko doktora Solvitza. Nareszcie postanowił coś zachować w tajemnicy. Bo już myślałem, że zaraz zaczniesz mi dyktować hasła do komunikowania się ze swoją ochroną osobistą.

- Wujku - powiedział Jason czule - nie strasz mnie, wujku, takimi bzdurami. Powtarzam ci jeszcze raz: przyleciałem tylko po "Barana". Gdy go otrzymam, natychmiast stąd odleczę razem z całą drużyną. Nawet pozwolę wam ich policzyć, żebyście nie podejrzewali, że ktoś został.

Zaczął mówiąc do wuja "wy", mając nadzieję, że takie pełne szacunku zwroty uspokoją rozjuszonego władcę.

- Zwróć mi gwiazdolit - powtórzył. - I odlecimy. Słowo honoru.

Król Agreasy zamyślił się. Sam proces myślenia był już dlań ciężką sprawą i Jasonowi w pewnej chwili zrobiło się żal starca. Ale Jota w końcu uporał się z postawionym sobie zadaniem i ogłosił werdykt, uprzedziwszy go pytaniem:

- Kto jest władcą na tym globie? Ja?

- Ty, wuju - zgodził się Jason.

- Zatem wysłuchaj mojego warunku. Wykonaj jedno dość ciekawe zadanie, a w zamian zwrócę ci wszystko, o co tylko poprosisz.

- Co to za zadanie? - zapytał nieufnie Jason.

- Ależ proste, naprawdę proste. Dla takiego herosa! Zgódź się, Jasonie, bo inaczej... Może nawet nas zwyciężycie, może. Ale jucha tu popłynie szeroką strugą! .. Och, nie chciałbym, żeby na starość moje oczy oglądały takie bezeceństwo! A poza tym bogowie nam nie wybaczą.

- Jacy bogowie? - szybko zapytał Jason.

Reakcja Jota była równie szybka:

- Ja i ty, na przykład.

A potem jakby się ocknął i zaczął znowu swoją smętną pieśń: - Och, nie zbijaj mnie z pantałyku, Dimedzie, nie zbijaj mnie, Gautamo, Tristanie, Bauhillu i jak ci tam jeszcze. Mam tyle sił, by dyktować warunki każdemu. Zgadź się, Jasonie, albo każę straży, by was ujęła.

W tej samej chwili z rękawa Mety wyskoczył pistolet i wpadł jej w dłoń. Na szczęście prócz Jasona nikt tego nie zauważył, nawet automaty nie zareagowały.

A Meta - zuch! - poskromiła emocje i szepnęła:

- Zgódź się, Jasonie!

Wstrząsająca historia! Odezwała się bez pozwolenia, ale wypowiedziała właśnie te słowa, których od niej oczekiwał. Cud! Pewnie tylko prawdziwa miłość jest do tego zdolna.

- Zgadzam się - cicho powiedział Jason. - Mów, co mam zrobić.

W tym momencie do królewskich pokoi weszła krucha, czarnowłosa, niebywale piękna dziewczyna. Bez uprzedzenia, po prostu otworzyła drzwi i ominęła osłupiałych strażników, którzy zdobyli się tylko na pochylenie głów. Miała na sobie wyszukany strój do konnej jazdy: czarny frak, białe obcisłe bryczesy, wysokie czerwone buty, czapkę z daszkiem, a w ręku trzymała długi palcat.

- Ojciec - powiedziała piękna nieznajoma. - Właśnie jechałam z Feitonem wzdłuż morza.. .

Nagle zerknęła na Jasona i osłupiała. Jej oczy otworzyły się szeroko, nie mogąc powstrzymać napływających uczuć.

- Moja córka Midi - odezwał się Jota.

Jason uśmiechnął się uprzejmie, zamierzając przedstawić siebie i Metę, ale piękna Midi nagle jęknęła, chwyciła się za serce i zaczęła się wolno osuwać na podłogę.

Strażnicy zamarli. Ale pierwszy rozkaz władcy nie był do nich adresowany:

- Wezwijcie lekarza! - sapnął Jota. - Szybko! A Meta rzuciła się do drzwi i krzyknęła:

- Teca! Pomocy!

Możliwe, że w pałacu byli lekarze lepsi od Teco, ale na pewno nie potrafili tak szybko biegać.

Gość z odległej planety Pyrrus udzielił królewskiej córce pierwszej pomocy.

Nie było to nic strasznego, zwykle omdlenie. W wieku młodzieńczym zdarzają się takie rzeczy, szczególnie jeśli z samego rana, po lekkim tylko śniadaniu, dziewczę pędzi na spotkanie morskiego wiatru na żwawym delfickim wierzchowcu.

Jason oczywiście znał prawdziwy powód omdlenia Midi, ale w tym towarzystwie nie należało o takich sprawach mówić głośno! Szczególnie że rozmowa o interesach jeszcze się nie zakończyła.

- Kiedy więc, wasza królewska mość - przypomniał Jason - przedstawisz mi swoje warunki?

Pyrrusanie grzecznie odmówili skorzystania z zaproponowanych im w pałacu apartamentów i już po godzinie znaleźli się w hotelu, który tak im się spodobał, w Lido na malowniczym wybrzeżu.

Kerk natychmiast zwołał naradę. W dwuosobowym apartamencie "lux" było im trochę ciasno. Najpierw wysłuchano Jasona, który szczegółowo zrelacjonował rozmowę z królem. Potem zaczęto wysuwać coraz śmielsze projekty siłowego przejścia Olśniewającego Śruboroga. Każdy z przedstawiających starał się być lepszy od przedmówcy, taka już jest

natura mieszkańców Planety Śmierci. Jason wysłuchał wszystkich, ale nie wypowiedział swojego zdania, tylko, pośpiesznie kończąc naradę, rzucił hasło - odpoczynek. Przed nowym trudnym dniem rzeczywiście powinni złapać oddech.

- Posłuchajcie mnie! Powinniśmy przecież w końcu wykąpać się w tym ciepłym morzu, prawda? Zamierzam to zrobić właśnie teraz.

Pomysł podtrzymali wszyscy i Pyrrusanie, jako grupa beztroskich wczasowiczów, ruszyli na plażę.

- Chyba się udało - powiedział Jason do Kerka. - Zagraliśmy jak z nut.

- No, zdążyłem uprzedzić chyba tylko z dziesięć osób, a pozostali sami wyczuli co i jak. Może moi chłopcy nie są tytanami intelektu, ale gdy idzie o życie lub śmierć, chwytają szybciej od innych.

- Tak jest, Kerku - zgodził się Jason. - Lepszych wojowników niż Pyrrusanie nie widziałem nigdzie we wszechświecie. I głowy też mają na odpowiednim miejscu. Nie bądź taki skromny.

Schodzili wąską ścieżką do morza, nie obawiając się teraz podsłuchu, nie jak kilka godzin temu przed głównym wejściem do pałacu królewskiego, gdzie w każdej różyczce mógł się kryć mikrofon. Ale właśnie tam Jason zaryzykował i szepnął Kerkowi do ucha:

- W hotelu pewnie wszystko jest na podsłuchu. Odbywając naradę będziemy atakować króla, obrzucać go błotem, ale o najważniejszych sprawach milczymy. Rozumiesz? Uprzedź innych. Prawdziwą radę odbędziemy na świeżym powietrzu.

Naradzali się więc na morskim brzegu, wśród skał jakoś tam kryjących przed wścibskimi oczami. W celu zachowania konspiracji Pyrrusanie byli niemal rozebrani - tylko w strojach kąpielowych, z nieodłącznymi pistoletami w kaburach - i leżeli w niedbałych pozach, popijając cudowne wino i chrupiąc soczyste miejscowe owoce. Komu przyjdzie do głowy, że ci osłabieni moczem i słońcem turyści opracowują strategię i taktykę jednej z największych w historii Galaktyki wojskowych operacji.

Nawiasem mówiąc, Jasonowi bardzo zależało na tym, żeby operacja miała pokojowy, a nie wojskowy charakter. Ale głupi władca planety Agreeasy i, niestety, jego rodzony wuj Suleli - Jota, sam się prosi, żeby mu dołożyć.

Wymyślił sobie zadanie dla siostrzeńca!

"Masz iść na pole za moim pałacem", zaczął wyjaśniać groźny władca, gdy Midi w końcu została ocucona i wszyscy trochę się uspokoili. - "I obsiać je zębami smoka".

"Tego ogniem dyszącego smoka, który ochrania gwiazdolot »Baran«, zapytał Jason.

"Nie gwiazdolot »Baran«, a Olśniewającego Śruboroga, i właściwie nie Śruboroga, a tylko złote poszycie, które po nim zostało", skorygował Jota. "Oczywiście nie są to żadne zęby. To specjalne ziarna, ale starożytni nazwali je zębami smoka, ponieważ od czasu do czasu właśnie smok wypluwa je ze swojej paszczy. Zasiejesz nimi pole i w krótkim czasie

wyrośnie z każdego ziarna wspaniałą odważny wojownik. Zwycięzsz wszystkich, a skóra Olśniewającego Śruboroga będzie twoja.

- Mniej więcej się domyślam, chłopaki, co to będą za wojownicy wyrastający z zębów smoka - oświadczył Jason, łyknąwszy delikatnego różowego wina z wysokiego plastikowego kielicha. To zdanie otworzyło historyczną naradę na plaży. Roboty. Możliwe, że bojowe roboty służb specjalnych. Takie trudno pokonać w pojedynkę, nawet uwzględniając wspaniałą szybkostrzelność naszej pyrrusańskiej broni. Szczególnie jeśli liczebność wroga przekroczy dziesiątkę. Tak więc w zasadzie przyjmuję propozycję Clifa dotyczącą ogniowego wsparcia, ale dopiero wtedy, kiedy sam dam umówiony znak. Tylko pomyślcie, chłopaki, jakie to kuszące: wykonać zadanie Joty uczciwie i zabrać, co się nam należy, za zgodą!

- Ale on i tak ci nie odda - zauważyła Meta smutnym głosem. - Wymyśli kolejne świństwo.

- Może masz rację - zgodził się Jason. - Mój wuj jest nie tylko durniem, ale i oszustem. Ale musimy spróbować. Wojnę zawsze zdążymy rozpocząć. Zauważcie, że w tym świecie nie będziemy walczyli z narkomankami. Tu staną przeciwko nam prawdziwi zawodowcy. A na wojnie, chłopaki, zdarzają się ofiary. . .

Wszyscy milczeli. No bo co jeszcze można było powiedzieć? - Jeśli na mój sygnał grupa Clifa wyruszy do walki - ciągnął Jason - drugi oddział musi natychmiast przesunąć się do Lasu Arskiego, gdzie pod pieczę tak zwanego smoka znajduje się potrzebny nam przedmiot. To niedaleko stąd. Rhes zwerbował kilku agentów w tym mieście i już zlokalizował Olśniewającego Śruboroga z dokładnością do kilkuset metrów. Informację tę przekazałem na "Argo". Jutro rano Stan usunie nasz liniowiec z pola widzenia radarów i zawiesi dokładnie nad tym punktem. Na wszelki wypadek. Mam nadzieję, że ze smokiem poradzicie sobie bez wsparcia z kosmosu. To tyle. Ale powtarzam: pokojowa droga jest znacznie lepsza.

- Pokojowa droga - zauważył mądry stary Brucco - to nie tylko pertraktacje, to również spryt. Zastanówmy się, jak wykiwać Jotę.

- Pierwszy sposób jest prymitywny: znaleźć sojusznika w okopach wroga - zaproponował Archie niezbyt poważnym tonem.

- Szpiegowskie ciągotki - uśmiechnął się Jason. - Poważni agenci są szkoleni i wdrażani przez całe lata. A my mamy do dyspozycji jeden wieczór i jedną noc.

- Właśnie - zgodził się Kerk - ale Brucco ma wiele racji. Jasonie, przecież w pałacu Joty wszyscy są twoimi krewniakami: bracia, siostry, różni tam kuzyni, ciotki i inne pociotki... Strasznie to wszystko pogmatwane. Na Pyrrusie po prostu wszyscy są braćmi. Zastanów się, kto z twoich krewniaków może przejść na naszą stronę.

Jason zamyślił się, ale Meta wyprzedziła jego odpowiedź: - Midi. Należy zacząć spiskować z tą dziewczyną. A właśnie, Jasonie, dlaczego ona tak wytrzeszczała na ciebie gały, zanim gruchnęła na ziemię?

- Dlaczego? - zapytał Jason jakby skonfundowany, ale zaraz wypalił: - Zakochała się we mnie!

- Skąd wiesz? - wojowniczym tonem zapytała Meta.

- Ach, kochanie! - westchnął Jason. - Zapominasz, że choć jestem przede wszystkim wojownikiem i graczem, mam również inne specyficzne zdolności. Nie potrafię wprawdzie czytać w ludzkich myślach, ale emocje wyczuwam bez problemów. Ona zakochała się bez pamięci. Dlatego zemdlą.

- Nie sądziłem, że takie rzeczy się zdarzają - zdziwił się Archie.

- Owszem - odpowiedział Jason. - Rzadko, ale się zdarzają.

- Tym bardziej należy ją wykorzystać - zauważył Kerk.

- Jestem przeciw - powiedział Jason. - Wydaje mi się to nieprzyzwoite w stosunku do dziewczyny...

Ale nie chodziło tylko o moralny aspekt tej sprawy Jasonowi strasznie się nie podobało sedno spontanicznie zrodzonego pomysłu.

- Nie będziemy cię pytać o zdanie - cynicznie oświadczył Kerk. - Przylecieliśmy tu zwyciężać, a nie gadać o moralności. Meta, pochyliwszy głowę, wpatrywała się w dno swojej niemal pustej szklanki. Jason wyraźnie czuł, że i ona jest przeciwna pomysłowi. Ale jego piękna amazonka nagle uniosła głowę i powiedziała:

- Niech ta królewska córka i kuzyneczka naszego przyjaciela Dimeda nam pomoże. Ale to ty będziesz z nią rozmawiał, Kerku. Ja, do licha, nie będę jej obiecywała w nagrodę Jasona!

I nie czekając na odpowiedź Meta wstała, odwróciła się i szybko pomaszerowała w stronę morza, żeby jeszcze raz zanurzyć się w jego ciepłych i słonych falach, raz po raz ciskających na brzeg piękne, ale nieprzyjemnie śliskie meduzy.

Kerkowi udało się spotkać młodą królową w nocnym klubie "Weshli", co w miejscowym języku znaczyło "jabłko". Według danych wywiadu Rhesa, dość często spędzała tam wolne wieczory. Midi zrozumiała od razu, kto przysłał do niej siwowłosego atletę z innej planety, zwolniła osobistą ochronę i nie zmuszała pyrrusańskiego wodza do nadzwyczajnego krasomównstwa. Dla lasom była gotowa pomóc każdemu, a to, że przyjdzie jej działać przeciwko rodzonemu ojcu, wcale jej nie przeszkadzało.

Młodsza następczyni tronu od dawna czuła się udręczona tępotą starego Suleli i jego nie zaspokojoną żądzą władzy. Od lat marzeniem królewskiej córki było wyjść za mąż za przybysza z innego świata i zwiąć na zawsze z tej może pięknej, ale już obmierzłej planety. Starsza siostra Midi, Chalcha albo Halka, jak nazywał ją Freiks i jak teraz lubiła ją nazywać Midi, tak właśnie postąpiła. Ale Freiks był dość dziwnym przybyszem - nie spieszył się z powrotem na ojczysty glob, wszystkiego się bał, był nieufny w stosunku do ludzi i w końcu zginął w zagadkowych okolicznościach, nie wykluczających umyślnego zabójstwa. Poza tym Halka nie kochała Freiksa. Było to typowe małżeństwo z rozsądku, u jego podstaw legły

żądza władzy i tajemnica Olśniewającego Śruboroga, tego samego, który dawno temu przyniósł młodego Orhomańczyka na Agreasy.

Na tej planecie wszyscy wychodzili z siebie, usiłując zrozumieć, z czego i jak wykonana została okrotkawi - tak w miejscowym narzeczu nazywano skórę Śruboroga, bo archaiczna nazwa "Baran" była z niewiadomych powodów zakazana. Nikomu nie udało się zgłębić sekretu magicznej mocy okrotkawi, najbliższej chyba był Freiks, za co prawdopodobnie zapłacił życiem. Midi z kolei zgłębiła treść starych plików i katalogów w głównym komputerze planety. Nie znalazła niczego na temat Śruboroga, ale niezłe wzbogaciła swoją wiedzę. W każdym razie po takim gruntownym samokształceniu rozmowy z ojcem stały się dla Midi absolutnie nieciekawe.

Rozczarowana i zmęczona szarzyzną dworskiego życia, zajęła się aktywnie sportami - skokami do wody, rzutem oszczepem do tarczy i jazdą konną. Niespodziewanie stała się również osobą religijną. Zapewne również z nudów. W komputerowym archiwum Midi odkryła bogaty zasób informacji dotyczących tysięcy różnych odmian wierzeń istniejących na Ziemi. To za ich pomocą sprawowano rządy dusz na długo przed Epoką Wielkiej Ekspansji, ale tu, na Agreasy, istniała tylko jedna oficjalna religia, nosząca w interlingwie nazwę dziewiesizm.

W zasadzie wszyscy Agreasjanie czcili Dziewiesa zdobywcę podprzestrzeni i pogromcę komet, ale tylko formalnie. Tutejsi ludzie, w zależności od intelektu i wykształcenia, bardzo różnie odnosili się do teologicznej koncepcji dziewiesizmu i do moralnego kodeksu wiernych. Midi, podchodząc do sprawy w swoisty sposób, postanowiła dotrzeć do jądra problemu.

Korzystając ze swej pozycji społecznej, zaprzyjaźniła się z arcykapłanem świątyni Dziewiesa ojcem Fiodorem i godzinami rozmawiała z nim, konfrontując wiedzę zachowaną przez kapłanów z wiadomościami, które udało się jej wychwycić z komputerowych archiwów. Obraz otaczającego świata rysował się przed jej oczyma z coraz większą wyrazistością. Czasem cieszył ją, ale marzenie pozostawało bez zmian: mąż z innego świata i gwiazdne podróże. Nie знаła dotąd nikogo, z kim mogłaby dzielić marzenia. Teraz uznała, że ze starszym ochroniarzem następcy tronu Jolka - a Kerk musiał przełknąć tę swego rodzaju zniewagę może mówić szczerze, ponieważ nie wyglądał na plotkarza! Najważniejsze jej martwienie dotyczyło nawet nie męża, ale prawdziwej, wspaniałej, gorącej miłości.

I doczekała się. Takiego uczucia Midi nie poznała nigdy w swym długim, dwudziestotrzyletnim życiu. I była już pewna, że nie istnieje na świecie nic piękniejszego.

Tego szalenie długiego, zdaniem Kerka, dziewczęcego monologu poważny Pyrrusanin musiał wysłuchać z uwagą, szacunkiem i pokorą. Zresztą połowę słów, które składały się na sympatyczny szczebiot, z czystym sumieniem puszczał mimo uszu, ponieważ miał pewność, że Jason i Meta słuchają z maksymalnym zaangażowaniem wszystkiego, co dociera do nich za pośrednictwem ukrytych w jego mundurze mikrofonów.

A na finiszu tej romantycznej randki, już pod rozgwieżdżonym niebem Agreasy, Kerk

zobowiązał się, że przekaże swemu "patronowi" (też coś, ale dobrze, że nie "władcy") dokładne miejsce i czas spotkania. Świątynia Dziewiesa o północy, przy wejściu. I oczywiście bez towarzystwa.

Towarzystwo, jakżeby inaczej, było, ale kulturalnie i fachowo trzymało się w odpowiedniej odległości. Wykryto również "towarzystwo" z drugiej strony, które następnie zostało humanitarnie wyłączone, co do sztuki, za pomocą chemicznej neutralizacji - bez uszkodzeń i z możliwością powrotu do normalnego życia.

Jason minął wspaniały portyk z kolumn wyrzeźbionych w białym marmurze, złowrogo zielonkawych w świetle trzech jasnych księżyców, i od razu zobaczył w uchylonych wysokich drzwiach świątyni toczoną figurę Midi. Zobaczył i zatrzymał się niezdecydowany. Młoda księżniczka skinęła mu leciutko głową i tak samo niemal niezauważalnie wskazała głową wewnątrz.

Jason wszedł do świątyni Dziewiesa i zastygł w bezruchu. To ci świątynia! Prawdziwe muzeum astronautyki, słowo honoru! Modlono się tu do wizerunków starych rakiet i astronautów w grubych niezgrabnych skafandrach, tu czczono bogów ciekłego paliwa i bogów astronawigacji. Tu otoczono kultem zapomnianą umiejętność zwijania przestrzeni i wykorzystywania energii pól grawitacyjnych. Na ołtarzu zaś znajdował się niezwykle kształtu, pomalowany w wesolutkie pasy silnik gwiazdolotu piętnastego czy szesnastego pokolenia, ale wyraźnie udoskonalony przez jakąś złotą rączkę z ludu. Jasona od razu zainteresowała ta niezwykle konstrukcja i rozmowa z Midi zaczęła się właśnie od niej.

Arcykapłan cicho odszedł, nawet się nie przywitawszy. Jason widział tę wysoko postawioną personę, zajmującą szczególne miejsce, tylko z daleka. Jego imię, nawiasem mówiąc, było dla miejscowej ludności nie do wymówienia. Jason wiedział już, że w języku tego świata nie ma nawet litery "f". W rysach twarzy i oczach człowieka owiniętego od stóp do głów w różowo - kremowy ubiór nieokreślonego kroju było coś dziwnie znajomego. Ale odszedł i Jason przestał myśleć o wszelkich dziwnych zagadkach i podejrzeniach. Czy to mało jest podobnych do siebie ludzi w Galaktyce! A kapłan został najwidoczniej poinformowany wcześniej o poufnym charakterze spotkania królowny z przybyszem z innej planety, dlatego zachowywał się tak dziwnie.

Jason, nie odczuwając już skrępowania z powodu obecności służi bożego, obszedł dokoła silnik, nawet pociągnął kilka razy za elementy o nieznanym przeznaczeniu.

- To jest to, co skrywała okrotkawi - wyjaśniła Midi. - Ojciec usiłował wykorzystać silnik do napędzania innych statków, ale jego inżynierowie nie poradzili sobie z tym zadaniem i w końcu silnik wylądował w świątyni Dziewiesa. Freiks lepiej od innych poznał budowę gwiazdolotu "Baran". - Podczas wymawiania ostatniego słowa Midi zabawnie błysnęła oczami, jak uczennica używając nieprzyzwoitego słowa. - Twierdził, że silnik nie ma żadnych specjalnych cech, zwykłe drobiazgi. Najważniejszym wynalazkiem odległych przodków jego matki jest złote poszycie, właśnie okrotkawi. Rozumiesz?

- Rozumiem. A kim jest Dziewies?

- Dziewies to najwyższy i najważniejszy z bogów.

- Nie, pytam oto, kim był w życiu, może jakimś starym astronautą? Natrafiłaś na to imię w archiwach komputerowych? - Nie, ale sądzę, że raczej był twórcą całej tej techniki. Wielkim konstruktorem.

- No, teraz zaczyna się poważna rozmowa! Powiedz mi, proszę, co to za bóg Diboran?
- zapytał Jason, przemieszczając się wzdłuż ścian i przypatrując dziwacznemu ikonostasowi.

- Bóg ciekłego paliwa. Chwaląc go, ludzie zanurzają się w strumieniu Diboran i stają się potężni jak międzygwiazdny krążownik.

- Do takich legend, dziecko, powinnaś już w tym wieku odnosić się krytycznie - zganił ją Jason. - Po pierwsze, diboran jest w pokojowej temperaturze gazem. Za ciekłe paliwo może być uważany co najwyżej pentaboran i jeszcze cięższe związki. Po drugie, wszystkie te borany to straszne świństwo, barbarzyńskie paliwo Makietowe wczesnego okresu rozwoju kosmonautyki i nie radziłbym nikomu się w nich kąpać...

- Jasonie - przezwalała mu Midi - po co tu przyszedłeś?

- Prosić cię o pomoc.

Jason nagle się ocknął. Podniecony otaczającą go historią astronautyki i techniki, rzeczywiście zapomniał, że rano ma się zetrzeć nie wiadomo jeszcze z kim, a tajemnica zwycięstwa jest w ręku tej dziewczyny.

- No to słuchaj uważnie - powiedziała akcentując słowa jak matka czyniąca wyrzuty niegrzecznemu dziecku.

Jason omal się nie roześmiał, ale przygotował się na wykład. Wtedy Midi, zmęczona odgrywaniem różnych ról, zamknęła oczy i wyszeptała po prostu namiętnie:

- Kocham cię, Jasonie!

Zwrot akcji był dość nieoczekiwany i w tej chwili niezbyt pożądany. Przecież po rozmowie o technice ta czarnowłosa dziewczyna podobała się Jasonowi jeszcze bardziej. Ale teraz jej zachowanie tylko go rozpraszało! Czasu zaś mieli coraz mniej...

Jason chwycił małe dłonie Midi, zimne i drżące z podniecenia i strachu. Czego oczekiwała, czego się bała? Należało powoli przejąć inicjatywę.

- Wiem, kochanie, wiem - szepnął Jason stosowne słowa i szybko zapytał: - Co mam zrobić jutro? Opowiedz mi.

Midi opanowała drżenie, wpiła się paluszkami w dłonie Jasona i powiedziała:

- Opowiadam.

- Nikt nas tu nie podsłucha? - upewnił się Jason.

- Nie, wiem to na pewno.

- Skąd?

- Mam takie specjalne urządzenie.

Midi wyjęła z małej torebki czarne płaskie pudełeczko podobne do zestawu kosmetycznego, ale zamiast podmalować sobie brwi, nacisnęła jakiś guzik. Napięcie pola wokół niej zwiększyło się i znana już Jasonowi ekranizująca kula zamigotała błękitnym jarzeniem.

Opóźniona planeta! pomyślał Jason. Dziki glob, nie ma co! A głośno zapytał:

- Kto tu buduje takie urządzenia?

- To подарował mi Freiks na dwa dni przed śmiercią. Słuchasz mnie, czy nie?

Pożerała go oczami, w których płonęło coś podobnego do urazy, jakby Midi zajrzała w przyszłość i poznała plany Pyrrusa w stosunku do niej.

- Słucham - możliwie czule wyszeptał Jason, odpędzając inne nieprzyjemne myśli.

Midi zaczęła opowiadać.

Wszystkie urządzenia techniczne, jakimi dysponuje jej ojciec, są jej dobrze znane. Na przykład ziarna, które jutro dadzą Jasonowi, rzeczywiście wytwarza tak zwany smok, to znaczy uniwersalny robot - ochroniarz, jak głosi plotka, wynaleziony przez Kobaltu z planety Delfa. Tak, tak, tego samego Kobaltu, ojca Inny, która rozbiła rodzinę Ahamanta i Nivelli i która skazała na śmierć Freiksa.

No to układ sił powoli się wyjaśnia, pomyślał Jason. Wrogowie stają pod wspólnymi sztandarami: Fell, Jota, Inna, Kobalt... Kto jeszcze? Nie ukrywa się za ich plecami demoniczna postać doktora Solvitza? No, no, ciekawe, co jeszcze opowie czarująca Midi?

Zęby smoka czy też ziarna smoka są w rzeczywistości techno-zarodnikami, cybernetycznymi embrionami samowytwarzających się robotów - wynalazek stary, ale dość dawno zapomniany. Kobalt, mieniący się w odpowiednich kręgach Kadmusem, zachował sekret szybko rosnących robotów i spekuluje nim gdzie trzeba i nie trzeba. Roboty z ziaren Kobaltu - Kadmusa są mocne i agresywne, pancerze odporne na pociski, nawet eksplodujące i kumulujące, ale najprostszy pistolet plazmowy pozwala je zniszczyć.

No i świetnie! - pomyślał Jason.

Ale to nie było jeszcze wszystko. Midi udzieliła mu dwóch ważnych rad. Pierwsza: należy wsadzać ziarna do ziemi nie jednocześnie, a po kolei, bo wtedy można będzie niszczyć roboty w miarę ich powstawania. I druga: na wypadek, gdyby ten proces stał się zbyt szybki, daruje mu specjalny dezintegrator, udający zwyczajny odłamek granitowej skały. Należy go cisnąć w największy gąszcz wrogów, a wtedy, dzięki awarii w swoich programach, zaczną się niszczyć nawzajem.

Jason szczerze podziękował za wszystko, a kamyk - dezintegrator starannie ukrył w wewnętrznej kieszeni kurtki astrokomandosa. Ale na tym instruktaż się nie zakończył.

- Jesteś najsilniejszy, Jasonie, jesteś najmądrzejszy - szeptała Midi. - Najpiękniejszy - dodała, wyraźnie przesadzając. Ale i tacy herosi jak ty popełniają czasem błędy. Dlatego na

wszelki wypadek weź jeszcze to. Chcę, żebyś się nie przejmował żadnymi błędami, jakie popełnisz w walce z robotami Kadmusa. Połkniesz moje tabletki, przyciśniesz ten guzik i możesz wejść nawet pod ogień artyleryjski.

Jason przyjął i ten dar. Przeczytał oznaczenia na cienkiej plastikowej fiolce z jasnopomarańczowymi kapsułkami i zaniemówił ze zdumienia. Była to psyrocylina - preparat od dawna zakazany w Galaktyce: sześciokrotnie zwiększał siłę biopola człowieka. Jego skutki uboczne były nieprzewidywalne, dlatego śmiertelnie niebezpieczne, ale badania wykazały, że wszystkie dodatkowe efekty ściśle zależały od czasu oddziaływania preparatu na ludzki organizm. Znaczyło to, że odpowiednio krótkie oddziaływanie można było uważać za praktycznie nieszkodliwe. Na opakowaniu widniała również wyrazista jak reklamówka uwaga: lekarstwo ma działanie impulsowe, czyli mechanizm wzmocnienia biopola włącza się tylko w razie absolutnej konieczności i na bardzo krótko. Ograniczało to szkodliwe oddziaływanie do minimum. Jason słyszał kiedyś o tym wynalazku, ale nigdy wcześniej nie miał go w ręku. Miniaturowy przyrząd był prostym, ale nadzwyczaj wygodnym transformatorem energii psi na elektromagnetyczną, z automatycznym przestrajaniem. Krótko mówiąc, włączywszy urządzenie i łyknąwszy tabletki, każdy mógł, mając do dyspozycji tylko swoje ciało, odbijać pociski, bomby, czołgi w ich pełnym biegu i strategiczne gwiazdoloty w maksymalnym ciągu.

- Dziękuję - szepnął Jason raz jeszcze. - Nigdy nie zapomnę twojej pomocy.

Midi milczała i patrzyła na swego przybysza oczyma pełnymi łez. Nie wiadomo, czy przewidziała, że ich znajomość skończy się wielkim oszustwem, czy dręczyła ją popełniona wobec ojczyzny zdrada, a może zazdrość o wspaniałą blondynkę, która przyleciała z Jasonem. W każdym razie gwiazdny włóczęga, honorowy Pyrrusanin i następca tronu Jason dinAlt nagle poczuł współczucie dla tej kruchej dziewczyny, która z potrzeby serca ratowała mu życie. Zrobił krok do przodu, objął ją, nawet na sekundę nie zapominając o Mecie, i., pocałował, wyobrażając sobie, że całuje swą ukochaną walkirię.

Nie należało tego robić. Pocałunek był nad wyraz długi. Jason bardzo szybko poczuł, że choć to nie Meta lgnie do niego, odczuwa wielką przyjemność. Zawstydził się, zasmucił, zrobiło mu się przyjemnie i strasznie. . . Czyżby on też się zakochał? Tego jeszcze brakowało!

Oderwał ją od siebie i patrząc w płonące radością czarne oczy, powiedział poważnie:

- Żegnaj. Naprawdę nigdy nie zapomnę twojej pomocy.

- Do widzenia - poprawiła go Midi, oślepiając uśmiechem. - Zobaczymy się jutro. Tu, o tej samej porze. Wszystko będzie dobrze, ale... Musisz jeszcze zabrać okrotkawi z magicznego Lasu Arskiego, a nie zdołasz tego dokonać beze mnie. Do widzenia, Jasonie!

Jason wypadł na ulicę i spazmatycznie wdychał nocną wilgoć, przepelnioną aromatem kwiecia i morza. Odruchowo wyjął z kieszeni paczkę papierosów, zacisnął papierosa w zębach i długo szukał w kieszeniach zapalniczki.

Jego ręce może nie drgały, ale poruszały się dość chaotycznie.

- Meto, daj ognia!

Też pomysł.

- Guza tam! - uśmiechnęła się mściwie Meta. - Palenie osłabia przyrodzenie. A jeśli jutro na polu bitwy będziesz tak samo machał rękami, to raczej nie dostaniemy tu niczego poza pociskami i napalmem.

- Niepotrzebnie się złościysz - powiedział Jason, stopniowo się uspokajając. - Ta dziewczyna w świątyni dała mi broń, zapewnia zwycięstwo i wcale nie usiłowała mnie skusić. Tak więc wszystko będzie dobrze. Gorzej potem, na końcu i o tym należy już teraz myśleć.

Odnalazł w końcu zapalniczkę - przypomniał sobie o standardowym dopalaczu w sygnecie i chciwie się zaciągnął.

Meta nawet na niego nie spojrzała i choć doszli do hotelu obok siebie, nie zamienili nawet jednego słowa.

Technozarodników był cały worek. Prawdziwy worek z juty, mogący pomieścić jakieś pięćdziesiąt kilo ziemniaków czy marchwi. Na Saandzie Jason często jesienią zbierał plony do takich prostych opakowań. Smocze zęby, każdy wielkości żołądzia czy jaja małego ptaszka, ważyły znacznie więcej od ziemniaków, więc worek nie był wypełniony do końca - mniej więcej w jednej trzeciej. Ale i tak liczba potencjalnych wojowników przekraczała z całą pewnością kilka setek.

- Zaczynamy! - krzyknął raźnie i zaczerpnął pierwszą garść. Pomaszerował wzdłuż bruzdy, starannie odmierzając odstępy między nasionami.

Technozarodniki uruchamiało się za pomocą lekkiego ściśnięcia biegunów między kciukiem i wskazującym palcem. Natychmiast zaczynały brzęczeć jak duże tłuste muchy. Zalecano wkopywanie ich głęboko w ziemię, by kiełkowanie odbywało się równomiernie i bezpiecznie dla otoczenia. A przecież widzów zebrało się niemało.

Wydawało się, że dosłownie wszyscy mieszkańcy Agreasy, stolicy planety, od małego do staroego, zgromadzili się w tym momencie na stokach gór otaczających pole, na którym za chwilę miała się odbyć bitwa. Dla gości honorowych wybudowano specjalne trybuny. Nie zapomniano o komfortowej królewskiej łoży, gdzie po lewej ręce LD. Joty siedziały jego dzieci: radośnie podniecony Feiton, smutna i obojętna Halka i blada jak płótno, zdenerwowana i uroczysta piękna Midi. Pyrrusanie otrzymali miejsca na trybunach, ale tylko niektórzy je zajęli. Inni, jakby nie chcąc nadużywać gościnności gospodarza, odmówili. W rzeczywistości musieli zakamufłować nieobecność grupy Clifa, która profesjonalnie uwolniwszy się od "ogona", przyczaiła się w dużej szopie na skraju najbliższej wsi i czekała na umówiony sygnał Jasona, by zadać decydujący cios.

Jason wsadzał w głęboką bruzdę ostatnią garść smoczyczych zębów, gdy z ziemi zaczęły wykluwać się pierwsi przeciwnicy. Drapieżne i agresywne roboty nie zaskoczyły następcy tronu. Wymachując białą bronią, nie zagrażały poważnie człowiekowi dysponującemu plazmowym pistoletem najdoskonalszej, bo pyrrusańskiej konstrukcji.

Druga generacja była już mniej przyjemna. Ci wojownicy zaczęli ciskać kolczastymi kulami, jakimi zazwyczaj zdobi się kiścień, i zębatymi kólkami, czymś w rodzaju archaicznych japońskich siurikenów. Nieźle trzeba się było uwijać, by uniknąć trafienia. Jason unikał. Póki nie pojawiła się trzecia generacja.

Wydawało się, że roboty należały nie tylko do gatunku samoodtwarzających się, ale i samokształcących. Nie dały rady odtworzyć na podstawie obserwacji pyrrusańskiego pistoletu plazmowego, ale w rozpaczliwej próbie naśladownictwa niezwyciężonego przeciwnika te dranie zyskały broń strzelecką. Zaczęły się też wykluwać szybciej. Dobrze, że Jason zdążył zauważyć skierowaną w jego stronę lufę i nie zastanawiając się, czy to pałka, czy przedpotopowy piszczel, odciął napastnikowi broń wraz z metalową ręką.

No, a potem już nic innego mu nie zostało, jak tylko cisnąć w największe skupisko mechanicznych zabójców zachowany na tę chwilę kamyczek - prezent od Midi. Roboty zaczęły się kręcić w miejscu, machać kończynami, zderzać wzajemnie ze straszliwym zgrzytem, aż wreszcie rzuciły się na siebie, szatkując na kapuściane wiórki najtrwalsze stopy, kalecząc skomplikowane urządzenia elektroniczne, dziurawiąc optyczne i laserowe systemy naprowadzania. Piękny to był widok! Nie tylko widzowie się zachwycili, ale i sam Jason.

Zachwyił, rozluźnił nieco, dał sobie chwilę relaksu, tak potrzebną po kilku minutach okrutnej walki, i . . . ledwo zdążył włączyć transformator pola, gdy jednocześnie wyczuł opadający na głowę ciężki topór i strzałę nadlatującą z tyłu, a z prawej zobaczył nadbiegającego rogatego potwora. Nawet prawdziwy Pyrrusanin nie zdołałby uchylić się na trzy sposoby w ciągu ćwiartki sekundy, która mu pozostała do dyspozycji.

Jason bardzo nie chciał uruchamiać swojej magicznej broni! Nawet nie dlatego, że bał się o swoje zdrowie - w końcu połknął tylko pięć sztuk, jak należało - a dlatego, że tysiące oczu wpatrywały się w tym momencie w niego i ktoś musiałby zauważyć, że sprawa nie jest całkiem czysta, że przybysz nie tylko własną siłą zwyciężył całą armię żelaznych wojowników.

Pole obronne odbiło pierwsze uderzenie i natychmiast się wyłączyło, by Jason mógł odpowiedzieć huraganowym ogniem skierowanym na najbliższego przeciwnika. W ten sposób włączało się i wyłączało jeszcze dwa razy, póki ostatni z wojowników smoka nie runął na zryte i zavalone złomem pole.

Radosny okrzyk Jasona utonął w grzmocie oklasków. Pyrrusanie jeden po drugim podbiegali, by objąć swego bohatera, niemal traktując przy okazji biedaka. Kiedy Meta w końcu wyciągnęła go z tłumu rozegzaltowanych przyjaciół i razem podeszli do loży władcy, by stanąć przed jego obliczem i wysłuchać jego opinii, Jason przechwyił zachwycone spojrzenie zakochanych oczu Midi. Nawet nie zauważała stojącej obok niego Mety. Co tam Meta! Przecież to oni oboje - Jason i Midi - zwyciężyli wszystkie roboty!

- Wasza wysokość! Proszę ogłosić wykonanie zadania! oznajmił Jason z triumfującym zadowoleniem.

LD. Jota otwarcie nie podzielał radości siostrzeńca. Z jego aż do nieprzyzwoitości

ponurej gęby wyraźnie było widać, że liczył na nieco inny scenariusz porannego spektaklu, szczególnie w części finałowej. Teraz musiał szybko wymyślić coś innego. Nie mógł przecież oddać przechowywanej przez wiele lat relikwii! Na dodatek jeszcze nie wyjaśnił, na czym polega jej wartość, a Jason wyraźnie wie coś, czego nie chce zdradzić. Kręci, podlec...

Myśli Joty się plątały, wyszła na jaw chroniczna nieumiejętność rozumowania. Niemal niesłyszalnie król wychrypiał kilka słów, ale tylko dlatego, by nikt nie mógł powiedzieć, że milczał jak niemowa:

- Zwyciężyłeś, Jasonie, widzę to, ale obiecaną nagrodę otrzymasz dopiero jutro rano.

I. D. Jota zachwycił się w duchu swoim sprytem i pochylił głowę do syna, chcąc usłyszeć, co on tam szepcze. Feiton też nie wyróżniał się wybitnym intelektem, ale był wyraźnie mądrzejszy od ojca.

- Dlaczego? - oburzył się Jason. - Dlaczego dopiero jutro? Po powtórzeniu pytania I. D. Jota miał już gotową odpowiedź. Lewe ucho go nie zawiodło.

- Dlatego, że moi specjaliści muszą mieć czas na analizę twego triumfu. Jeśli zwyciężyłeś nieuczciwie...

- Zaraz, zaraz, wuju, chwilę! - wykrzyknął wściekły Jason. - Co to znaczy "nieuczciwie"? Nie omawialiśmy żadnych warunków.

- Co to znaczy "chwilę"? - wrzasnęła Jota, zrywając się z miejsca. - Kto tu rządzi?

W tejże sekundzie pistolet znalazł się w dłoni Mety. Sam Jason z trudem się powstrzymał od użycia broni i dobrze rozumiał, że pozostali Pyrrusanie, łącznie z grupą uderzeniową Clifa, długo nie wytrzymają takiego obraźliwego traktowania i mogą dosłownie w każdej chwili otworzyć ogień.

A na niebie, ponad obłokami, bardzo niedaleko stąd, obserwował wszystko z pokładu "Argo" Stan, gotów w każdej chwili włączyć się do akcji. Operetkowi strażnicy z obnażonymi mieczami w dłoni napięli mięśnie, a znaczyło to, że i nieoperetkowi agenci królewskiej ochrony gdzieś pod trybunami, albo na wieżach pałacu, już korygują celowniki swoich bazuk i karabinów maszynowych. Nie, nie da się uniknąć ofiar, ale ofiary nie są im potrzebne do szczęścia, nie są...

Sytuację uratowała Midi.

Młoda królewna patrzyła tylko na Jasona. Przechwyciła jego spojrzenie, szybko, prawie niezauważalnie mrugnęła doń, odrobinę pochyliła głowę, a potem intuicyjnie, nie mając najmniejszego pojęcia o załatwianiu takich spraw, nieświadoma nawet, że to czyni, wysłała do Jasona telepatyczną wiadomość: Spokój ! Zgoda! Pokora!

A najdziwniejsze, że falę tę odebrał nie tylko Jason, ale również Meta.

- Uspokój się - szepnęła jego poważna skądinąd amazonka. - Zgódź się jeszcze raz na jego warunki. Doba rozejmu i nam się przyda.

- Wybacz, Wasza Królewska Mość - głośno powiedział Jason. - Władcą tego globu

jesteś, oczywiście, ty. Zgadzam się więc poczekać do jutra. Proszę pozwolić mi odejść, chciałbym zjeść coś i odpocząć.

- Zezwalam i nakazuję ci: odpoczywaj, Jasonie! - powiedział uroczyście Jota ponad tłumem rozchodzących się już widzów.

Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie.

Na drodze prowadzącej do parkingu mankana, dogonił Jasona mizerny człowieczek w łachmanach - tacy zazwyczaj zebrzą o pieniądze - i długo mamrotał coś w miejscowym narzeczu, a potem łamaną interlingwą zakomunikował:

- Królowna prosiła wiedzieć: twoja pamiętać noc? Królowna prosił twoja powiedzieć moja.

Jason zrozumiał, o co chodzi, i powtórzył wyraźnie:

- Przekaż: Jason wszystko pamiętać.

Żebrek szaleńczo kiwał głową i wyciągał rękę po napiwek. Jason podał mu galaktyczny kredyt.

- Tsota - powiedział żebrak.

- Co za tsota? - rozeźliła się i tak już niezadowolona z tej sceny Meta.

- Powiada, że to mało - przetłumaczył Jason, niezłe już władający agreasjańskim.

- Aha, mało?! - Pistolet Mety wpatrywał się w czoło żebraka. - Spadaj stąd, pókiś cały! Resztę da ci królowna, głupcze!

Takie słowa nie wymagały przekładu - żebrak zniknął jak zdmuchnięty powiewem wiatru. Jason roześmiał się serdecznie. Głośno, niepowstrzymanie i zaraźliwie. Nic tak nie pomaga w usunięciu śladów i konsekwencji stresu jak wesoły, zdrowy śmiech.

- Znowu pójdziesz na randkę z nią? - zapytała Meta, gdy noc opadła na miasto Agreasy i trzy zielone księżycowe ścieżki drżały na cichych, oleliście czarnych falach za oknami hotelu.

- Powinienem pójść, kochanie. To nie randka, a spotkanie w interesach. Pomogła nam za pierwszym razem, pomoże i teraz.

- A nie sądzisz, że ona po prostu pomaga sobie?

- Oczywiście, nie zapomina o swoich interesach. Tylko wariat potrafi nie myśleć o sobie. Ale teraz jej stare marzenie, uciec z tej planety, zgodne jest z naszymi celami. Bez nas nie polecą nigdzie. My zaś bez niej nie możemy dostać "Barana". Ot i wszystko.

- Nie, nie wszystko. Czy zamierzasz się z nią ożenić?

- Zwariowałaś! Nie gadaj głupstw! - rozzłościł się Jason. Zamierzam tylko zabrać ją z tej planety.

- Dokąd zabrać? Na nasz statek? Przecież ta chutliwa koteczka zapewnia wszystkich i

wszędzie, że bez ciebie nie może żyć.

- Jak to, wszystkich i wszędzie? - zdziwił się Jason.

- Kerka na przykład, podczas wczorajszej rozmowy. Arcykapłana...

- Arcykapłana? Nic o tym nie wiem. Jak to?

- No. . . - Meta straciła na chwilę kontenans - ...wiesz, pozakładaliśmy w świątyni sporo pluskiew. Podśledzałam dzisiaj rano, jak modliła się przed walką, i potem, kiedy spowiadała się przed tym starcem. . .

- Meeeto! - Jason był wstrząśnięty - Chyba rzeczywiście pora nam wracać do domu. W tym przeklętym centrum Galaktyki staliśmy się intrygantami, szpiclami, zazdrośnikami, po prostu jakimiś durniami. Jeszcze trochę i oddam swój pistolet na ofiarę Dziewiesowi, a sam zacznę się modlić, by bogowie uwolnili mnie od wszelkich aktów agresji!

Meta uśmiechnęła się trochę niepewnie, ale doceniła dowcip i powiedziała cicho:

- Dobra, idź do tej swojej świątyni, już czas. Idziemy za tobą i będziemy w pobliżu jak wczoraj.

Midi przyszła na randkę w skafandrze astrokomandosa z dość pojemnym plecakiem. Jason i dziewczyna nawet nie wchodzili do wnętrza świątyni Dziewiesa. Szybko przebiegli przez krzewy, myląc ślady jak zające, przecięli łąkę, a potem w ciemnym zagajniku dziewczyna chwyciła rękę Jasona i już jej nie puściła. Na dnie jakiegoś parowu przeszli w bród strumień. Midi niczego nie wyjaśniała, tylko powtarzała co chwilę:

- Szybciej, szybciej!

Potem, na małej polance, zatrzymali się jednak i usiedli, opierając się plecami o pień szerokiego niskiego drzewa, którego korona osłaniała ich przed księżycowym światłem.

- Dokąd mnie prowadzisz? - zapytał Jason.

- Do Olśniewającego Śruboroga. Musimy zawładnąć złotym poszyciem już teraz, w nocy, póki wszyscy, łącznie z twoimi przyjaciółmi, sądzą, że po prostu wyjaśniam ci plan działania.

Oświadczenie zaskoczyło Jasona, zapytał więc ostrożnie:

- A twój papa też sądzi, że wyjaśniasz mi w świątyni plan działania?

Midi nie obraziła się, nawet nie wnikała w szyderczy podtekst tego pytania.

- Ależ niczego mój głupi papcio nie sądzi! Jak ma sądzić, skoro nie umie myśleć. Ale za godzinę, nie później, na pewno wypuści naszym tropem sforę psów i twoi przyjaciele urządzą sobie strzelaninę. Jedni bogowie wiedzą, czym to się może skończyć. Nawet nie chcę o tym myśleć. Po prostu musimy zdążyć, Rozumiesz? Musimy zrobić wszystko właśnie teraz.

- We dwoje?

- Oczywiście, że we dwoje. Zobaczysz smoka i od razu zrozumiesz: nie da mu rady

cała armia, jeśli się nie zna pewnego sekretu.

- A ty znasz?

Midi zamyśliła się na sekundę, a potem cicho i dość niepewnie powiedziała:

- Wydaje mi się, że tak...

- Tylko ci się wydaje? - zapytał nieco wystraszony Jason.

- No... W plecaku mam najważniejszą część smoka, procesor dystansowy. Ukradłam go papciowi, ale nigdy wcześniej nie korzystałam z tej zabawki, nawet jej na oczy nie widziałam. Mam nadzieję, że mi pomożesz...

- Pomogę - zapewnił ją Jason. - Powiadasz, że mamy mało czasu? No to się ruszmy.

- Jesteśmy już blisko, to jest Las Arski.

Pięć minut szybkiego marszu i między drzewami pojawiło się złociste lśnienie, a po kolejnych trzech wyszli na rozległą polanę zalaną równym światłem, które biło od leżącej na środku elipsoidy o zadziwiająco harmonijnym kształcie. Na jednym końcu zwężała się do średnicy mniej więcej metra, może półtora, a z drugiego, szerszego, zdobiły ją połyskujące spirale, rzeczywiście przypominające rogi barana. I wcale nie trzeba było kończyć kosmicznej akademii, aby rozpoznać w tym kształcie naturalny i przemyślany model statku kosmicznego.

Jeszcze bardziej od kształtu zadziwiała faktura złotego poszycia. Materiał wydawał się jednocześnie twardy jak diament i miękki niczym skóra, gorący jak roztopione złoto i zimny jak lód, nieprzenikniony jak pancerz i podświetlony od wnętrza jak najdelikatniejsze szkło.

Jason zrobił kilka kroków w stronę upragnionego przedmiotu i dopiero wtedy zobaczył smoka. Czołg nie czołg, zwierz nie zwierz, jakaś mieszanka odkurzacza z dziobakiem, wielkości dziesięciomiejscowego mankama czy - jak to się mówiło na Cassylii - mikrobus. Smoczysko zaczęło wypęłzać z mroku, migocząc różnokolorowymi światełkami. Zapalało się ich coraz więcej, migotanie skuwało członki, hipnotyzowało, pora już była uciekać, ale Jason ciągle wpatrywał się w dziwne urządzenie...

A ono nagle skręciło... Nie, nie skręciło, poruszało się po okręgu, a Jason podświadomie wiedział to od pierwszej chwili i dlatego nie był zaskoczony. Wszedł mu jeszcze krok na spotkanie, jakby badając możliwości robotosmoka. Z jego tylnej dyszy nagle wytrysnął snop iskier i smok wyraźnie przyspieszył. Rozpędzał się niczym kabina karuzeli w lunaparku, ale też trajektorie jego ruchu były coraz to bardziej wymyślne. Poszycie zniknęło po prostu z oczu - jego lśnienie przesłoniła różnokolorowa migocząca półkula, utworzona przez robota - ochroniarza, pędzącego już pewnie z pierwszą prędkością kosmiczną. Najdziwniejsze było to, że wokół panowała absolutna cisza, jakby wszystko odbywało się w próżni.

Jason się odwrócił. Midi stała obok niego i trzymała w ręku niewielką, ale chyba ciężką walizeczkę z procesorem. Pokrywka już była uchylona, ekran świecił miękkim światłem, a przyciski klawiatury oznaczone były dość niezwykajnie agreasjańskimi literami i cyframi.

- Może zrobimy podkop - nieoczekiwanie zaproponował Jason.

- Nie ma szans - machnęła ręką Midi. - Czytałam instrukcję obsługi tego monstrem, ono szybciej przeryje ziemię niż każde inne urządzenie.

- No to co robimy? Mów, skoro czytałaś instrukcję.

- Trzeba odłączyć zasilanie. Ale nie wiem jak. Tu nie ma żadnego takiego przycisku. Zobacz sam.

Jason popatrzył. Najpierw znalazł ważny dla siebie przycisk - przełącznik języków. Mimo wszystko czytanie z ekranu w języku esperanto było znacznie przyjemniejsze, szczególnie kiedy brak czasu. Smok nie dysponował, nie wiadomo dlaczego, systemem sygnalizacji dźwiękowej, ale różnokolorowe migotanie mogło zostać zauważone, tak więc zostało im na rozważania najwyżej kilka minut.

Nigdy jeszcze Jason nie czytał z taką szybkością. Wertując dane, nieprzerwanie zbliżał się do sedna, ale ciągle brakowało mu jakiegoś drobiazgu, żeby zrozumieć...

Walizeczka leżała na trawie. Jason, siedząc w kucki, raźnie stukał w klawisze - dobrze, że ich rozmieszczenie było standardowe - a Midi zamarła w niewygodnej, nienaturalnej pozycji i dmuchała mu oddechem prosto w ucho. Usiłowała nadążyć za jego tokiem myślenia, chociaż nie znała esperanto.

- Odłączenie zasilania poprzedzały jakieś testy bazowe powiedziała nagle, bo przypomniała sobie jeszcze jeden punkt z instrukcji obsługi robotów ochronnych.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej! - Jason omal nie zaklął w jednym ze starych języków. - Klnę się na Diborana, to bardzo ważna podpowiedź!

Jego palce biegały po klawiaturze jak szalone i już po półminucie Jason gwałtownie wstał.

- Zapamiętaj dobrze tę kombinację - pokazał Midi na palcach. - Podejdę teraz do półsfery utworzonej przez smoka. On wysunie w moim kierunku bojowe macki. Najpierw metal, potem gorący metal, następnie chemicznie agresywną substancję, potem ładunek radioaktywny, a na końcu plazmę. Pamiętaj, że to wszystko mi nie zagraża. A po piątym teście, nie pomyśl się, dopiero po piątym naciśniesz te trzy klawisze jednocześnie. Pokaż mi teraz które.

Midi wskazała drżącymi ze strachu palcami.

- Dobrze - pochwalił ją Jason. - I uspokój się! Czy to nie ty wczoraj mówiłaś: "Wszystko będzie dobrze"

Zrobił krok przed siebie. Wszystko poszło jak po maśle, tylko podczas piątego testu nagle zaczęło go boleć całe ciało. Nie, nie przypaliła go plazma - to był uboczny efekt psyrocyliny. Jason niemal stracił przytomność, ale zdążył zobaczyć, że robot zatrzymał się, że jego światelka zaczęły gasnąć jedno po drugim. . . I niewyciężony smok zdechł.

Osiągnęli cel. Midi rozplakała się z radości i objęła Jasona.

- Dziękuję - wyszeptał Jason.

Najdziwniejsze, że powiedział to słowo po agreasjańsku, a było to słowo niezgrabne, kanciaste, trudne do wymówienia:

- Gmadlobt.

A Midi, też przepelniona triumfującymi uczuciami, wyszeptała w tym samym języku:

- Czerni, szen czerni!

Co znaczyło: "Mój! Tyś mój!"

A wtedy z ciemności wynurzyła się Meta z błękitnym płomieniem w szeroko otwartych oczach, piękna i silna jak nigdy. I powiedziała też po agreasjańsku (na wysokie gwiazdy, kiedy ona zdążyła się tego nauczyć?!):

- Ata, czerni! (Nie, mój!)

Zabrzmiało to tak zdecydowanie i nieubłagane, że Midi od razu się poddała, odwróciła, zwinęła w kłębek, rozplakała ponownie, tym razem ze smutku, i wyszeptała głosem skazańca:

- Szersi, szersi... (Twój, twój...)

A Jason, jeszcze półprzytomny z piekielnego bólu, mruknął:

- Szersi, czerni... Coście się uparli: czerni, szersi... Chani!

To słówko spодobało mu się wczoraj, oznaczało "pora". Tłumaczyło się też jako "czas". Chani - swobodny wydech, lekkie tchnienie wietrzyka, który powstaje, gdy ktoś lekkomyślnie podróżuje między przeszłością i przyszłością i z powrotem.

Majaczę, myślał Jason. Nic innego, tylko majaczę. Meto, pomóż mi.

Nadal bolało go całe ciało, już nie tak mocno, ale wystarczająco nieprzyjemnie. Przez ból i naciągające omdlenie widział, jak wolno opada, przygotowując się do lądowania, desantowy kuter z "Argo", jak rozświetla mrok nocy rubinowymi światłami pozycyjnymi. Jednak swoi przybyli pierwsi na miejsce wydarzeń. No, bo kto we Wszechświecie może rywalizować z Pyrrusanami w szybkości działania? Tacy się jeszcze nie urodzili.

A może jednak ktoś się wyłania z leśnej gęstwiny? Tak, ktoś się pojawił. Pewien ohydny typ, wymachujący plazmową strzelbą i strzelający do wszystkiego na świętym placyku, przez wiele lat chronionym przez smoka. Smoku, dlaczego nie pilnujesz porządku? Latareczki ci wysiadły? Ach, przecież to my, ja i ta wspaniała Midi, załatwiliśmy twoje światelka, opanowaliśmy twój teren. Wybacz, smoku...

Jason, półprzytomny z bólu, majaczył i niewiele pamiętał z tego, jak lądowano go do kutra desantowego, jak ranny już Stan odpowiadał ogniem na strzały doświadczonych w nocnych bojach gwardzistów Joty i jak Meta niosła na rękach nieprzytomną Midi, a wredny typas Feiton celował do kutra desantowego z prymitywnej plazmowej strzelby. Dureń!

Grupa Rhesa opuściła planetę bez strat. Podczas przebijania się do pyrrusańskiej

kanonierki, pozostawionej w kosmoporcie, lekko ranny w rękę został tylko jeden żołnierz, córka byłego przywódcy karczowników Lisa. Jako dowódca małego okrętu osłaniała załadunek oddziału do ostatnich sekund i pocisk przeszył jej rękę na wylot w chwili, kiedy luk był już prawie zamknięty.

Podczas załadunku okrotkawi i operacji przejęcia największego skarbu świątyni Dziewiesa, silnika gwiazdolotu "Baran" - walka była poważna. Okrutna i zjadła. Pyrrusanie stracili dwóch ludzi, rannych było dziewięciu, nie licząc Jasona, który doznał straszliwego wstrząsu...

Rozjuszony Clif płonął żądzą rewanżu, rwał się do dźwigien ciężkiej artylerii, by w minimalnym odwiecie zetrzeć z powierzchni planety miasto Agreeasy, a w maksymalnym rozpylić na atomy cały glob za pomocą bomb anihilacyjnych. Ledwie udało mu się wytłumaczyć, że z definicji nie wolno tego robić, nie tylko z powodu ogólnie przyjętych zasad moralnych i galaktycznych praw, ale również z powodu podstaw fizyki. Ilość materii w centrum Galaktyki czyniła zastosowanie supermocnej broni anihilacyjnej niebezpiecznym dla samego stosującego - ucieczka w podprzestrzeń była tu niemożliwa. Archie dwukrotnie, jeśli nie trzykrotnie, tłumaczył to wściekłemu, nie mogącemu się opanować mścicielowi, zanim ten argument doń dotarł.

Tymczasem Kerk już wydał polecenie: "Wycofujemy się". Meta nie zwykła dyskutować z rozkazami przełożonych i choć w głębi ducha bliska jej była postawa Clifa, nie sprzeczała się. Wściekle milcząc, wykonywała wszystkie manewry niezbędne do wyjścia na orbitę i startowego rozbiegu.

Jason się nie odzywał, głęboko zamyślony. Cel jego podróży został osiągnięty. Statek ustawiał się do kursu powrotnego, ale coś istotnego nie dawało mu spokoju. Coś, co wydawało się niedokończone, niezasłużenie zapomniane. Miał szaloną ochotę wrócić i wytrząsnąć resztę danych chociażby z Feitona i Joty, z arcykapłana i innych władców planety. W końcu nie dowiedzieli się, gdzie przebywa jego matka Nivella, kto zabił Freiksa, gdzie się podziewa przekłety wynalazca Kobalt i jak z nim można walczyć. Ale Midi, może znająca lepiej od innych odpowiedzi na te pytania, nie tylko podtrzymała rozkaz Kerka, ale na dodatek zawodziła przez cały czas:

- Szybciej, szybciej!

Dokładnie tak samo jęczała kilka godzin temu, gdy biegli przez Las Arski. Jason najpierw uznał, że to skutek niezwykłego napięcia nerwowego i pierwszego w życiu dziewczyny prawdziwego boju. Co prawda nie strzelała, ale pociski dosłownie świstały nad jej głową.

Jason nie przykładał do jej słów specjalnej wagi, póki Midi nie powiedziała:

- Pośle za nami pościg.

- Pościg za "Argo" - nie mógł uwierzyć Jason. - Starożytnego ziemskiego liniowca, podrasowanego nowymi zdobyczami techniki, nie sposób dogonić. Zresztą, po co? Żeby pokonać tę fruującą górę z jej wszystkimi armatami, potrzebna byłaby co najmniej eskadra

najbardziej nowoczesnych statków Czy twój ojciec ma eskadrę?

- Eskadry może nie ma - cicho odpowiedziała Midi - ale ma coś, czego ani wy, ani ja nie możemy sobie nawet wyobrazić. Ojciec z Kobaltem zdolni są do strasznych rzeczy. Patrz!

Siedzieli przed ekranem. Nagle pojawił się na nim punkt i zaczął się powiększać z szybkością sennego koszmaru.

- Czy to pocisk? - zapytał Jason.

- Nie - odpowiedziała Midi, mrużąc oczy - to jest superkuter Feitona.

- Chcesz powiedzieć, że Feiton jest w środku?

- Tak.

- Ależ on się porusza z przyspieszeniem. . . - Jason zerknął na wyniki obliczeń komputera. - Z przyspieszeniem stu piętnastu G! Żaden człowiek tego nie wytrzyma!

- On jest nieczłowiekiem - wyszeptała Midi ogarnięta jakimś mistycznym lękiem.

- Clif! - zawołał Jason przez interkom.

- Trzymam go na celowniku - spokojnie odpowiedział młody Pyrrusanin. - Chcę go mieć bliżej. Na wszelki wypadek.

- Strzelajcie! - pisnęła nagle Midi.

Clif zareagował na jej nieregularny krzyk odruchowo albo nadszedł dokładnie obliczony moment - i wystrzelił w kierunku intruza bardzo ważki pocisk.

Superkuter rozsypał się na kawałki. Ale potem wydarzyło się coś zupełnie nieprzewidzianego. Odłamki szybkiego stateczku już zginęły na tle gwiazd, ale sam Feiton nadal ich ścigał, nawet z większym, jak wykazywały obliczenia, przyspieszeniem. Właśnie tak, sam Feiton. Królewicz przemierzał przestrzeń bez żadnego skafandra, jego ciemnokasztanowe włosy furkotały w międzygwiazdnej próżni niczym na wietrze. Ten absolutnie surrealistyczny widok zahipnotyzował nawet zblazowanych Pyrrusan. Jeszcze sekunda zwłoki i mogło wydarzyć się coś zgoła nie do naprawienia.

- Jeszcze raz! Strzelajcie znowu! - rozpaczliwie wrzasnęła Midi.

Clif odpalił salwę.

Potem, podczas oglądania przebiegu zdarzenia w zwolnionym tempie, widać było wyraźnie, że ciało Feitona nie spłonęło, a rozpadło się na mnóstwo zielono - borych fragmentów.

Coś podobnego widzieli zupełnie niedawno. No tak, jakże mogli zapomnieć! Białe Ptaszyny Zemsty! Skrzydła z piórkami w głębokiej kosmicznej próżni i buro - zielone plamy na skałach pasa meteorów.

A oto, nawiasem mówiąc, i sam pas. O rzut beretem.

- To znaczy, że Feiton był cyborgiem - powiedział na głos Jason.

- Tak - potwierdziła Midi. - Feiton był najdoskonalszym z cyborgów, jakiego kiedykolwiek stworzył człowiek. Ale dowiedziałam się tego całkiem niedawno. Akurat wczoraj chciałam porozmawiać o tym z ojcem. Pamiętasz, dosłownie wpadłam do jego gabinetu podczas twojej audiencji? Chwała bogom, że nie zdążyłam zacząć tej rozmowy! Gdybyście przylecieli o dzień później, to kto wie, jak by wszystko się potoczyło... Teraz, jak sądzę, zaniecha dalszego pościgu.

- Kto? - Jason zupełnie przestał rozumieć, o czym mówi Midi.

- Ależ ojciec! Nie widzisz? Twój strzelec od pięciu minut trzyma na muszce jego statek. Ale to już chyba nie będzie potrzebne. Teraz ojciec zajmie się zbieraniem w przestrzeni kosmicznej kawałków swojego ukochanego Feitona. Może uda mu się go skleić z powrotem, jeśli wszystkie odłamki zostaną odnalezione.

- Mówisz poważnie? - zdumiał się Jason.

- Oczywiście. Cyborg to nie człowiek, zniszczonego niemal zawsze można odtworzyć. A Feiton jest niezwykle cenną zabawką. Dla niego warto machnąć ręką na rodzoną córkę i na starożytną relikwię okrotkawi wraz z pasiastym silnikiem...

- Uwaga - odezwała się przez interkom Lisa, córka Rhesa i drugi pilot "Argo". - Na kursie mamy pas meteorów. Przechodzimy do trybu hamowania.

A Meta tymczasem stanęła za plecami Jasona i rozczułała się słuchając, jaką to inteligentną rozmowę prowadzi zakochana dziewczyna z jej osobistym bohaterem. Potem podeszła jeszcze bliżej i objęła ukochanego.

- Meta? Dlaczego tu jesteś? Przecież przemykamy teraz przez najgorszy odcinek.

- Nie - pokręciła głową Meta, uśmiechając się chytrze. Już nie jest najgorszy. Meteory przestały się poruszać względem siebie, a między nimi są takie luki, że nawet automat sobie poradzi. Ale na wszelki wypadek posadziłam przy sterach Lisę.

- Ona ma przestreloną rękę!

- O czym ty mówisz?

- No tak, zapomniałem, że wy wszyscy jesteście stuknięci. A co mówi Archie na temat pasa meteorów?

- Wiadomo co. Mówi, że coś takiego nie może w przyrodzie istnieć. - Meta ziewnęła. - Chce mi się spać. Drugą noc jestem na nogach. Co za różnica, czy są tu przestrzegane prawa fizyki czy nie? Jeśli nie, to nawet lepiej. Machniemy na wszystko ręką, zanurkujemy w podprzestrzeń i od razu będziemy w domu.

- Ee! Kochanie! Co ty pleciesz? Do domu jeszcze daleko.

- Tak, pamiętam o twoim rodzinnym Jolku i o twoim tatusiu Ajzonie. - Meta ziewnęła raz jeszcze.

- Nie wszystko pamiętasz - skorygował jej wypowiedź Jason. - Pierwszy przystanek na Kreyzicku. Obiecaliśmy pomóc, a nie mato jak spleta długu.

Kinney, rozradowany jak wszyscy diabli, od razu zorganizował dla Pyrrusan korytarz i niewielka drużyna, zaledwie siedmiu ludzi, odwiedziła biednego starca. Do zespołu włączono również Midi. Jako najważniejszy spec od cyborgów, miała do odegrania ważną rolę w programie pomocy. Dla tego młodego stworzenia zadanie okazało się drobiazgiem. Po pierwsze, od razu rozpoznała, kto odpowiada za stworzenie kobiet - ptaszyn. Oczywiście, było to kolejne dziecko Kobalta - Kadmusa. Miał stały i dość łatwo rozpoznawalny styl. A Kinney po prostu zbyt długo żył na tym świecie, pamięć go zawodziła i często podsuwała fałszywe obrazy przeszłości. Starzec nie mógł za żadne skarby zaprojektować, a tym bardziej zbudować tego typu ptaszków! Wykorzystać, owszem. Noto sobie wykorzystuj, dziadku. Program został naprawiony raz na zawsze. Teraz ptaszyny mogą skoczyć do supermarketu po jedzenie i pozwolą ci spokojnie zjeść. Proponowano dziadkowi, by poleciał z nimi, ale odmówił. Trzysta lat samotności kształtują określone gusta i przyzwyczajenia, których potem nie da się już zmienić.

- Będę się przygotowywał do wojny z Jotą - oświadczył Kinney na pożegnanie.

I oto znowu złocista czerń gwiazdowego nieba i ani śladu podprzestrzeni - praw fizyki nikt nie zmienił, niestety - trzeba spokojnie lecieć z piątą prędkością kosmiczną, a do Jolku jeszcze kawał drogi. Rany zostały zaleczone, wyprowadzono wnioski z przeszłości, obgadano plany, a teraz każdy wypoczywał, jak umiał i jak chciał. Jason na przykład grzebał się w archiwach, a Archie wrócił do porzuconych na jakiś czas programów naukowych. Poza tym wraz ze Stanem i grupą inżynierów usiłowali rozeznaczyć się w budowie i działaniu niezwykłego gwiazdolotu "Baran". Wykonano analizy materiału poszycia, ale nie udawało się odtworzyć technologii jego wytwarzania. Połączenia elektryczne i magistrale paliwowe udało się poznać bardzo dobrze, ale większa część najbardziej skomplikowanych systemów została chyba uszkodzona przez agreasjańskich barbarzyńców. Archie bardzo się smucił z tego powodu, ale nie upadał na duchu. Liczył na pomoc Ajzona z Jolka.

Pewnego ranka fizyk z Uctisa zapytał Jasona:

- Jak sądzisz, czy mogę się spodobać Midi?

Jason aż przestał jeść ze zdziwienia. Potem przyłożył dłoń do czoła Uctisanina i powiedział z troską:

- Może przesadziłeś z zajęciami?

- Przestań! - obraził się Archie. - Mówię poważnie.

Siedząca obok Meta nie wytrzymała: .

- Skoro poważnie, to Midi podoba się tylko jeden mężczyzna. Nasze gusta są w tej materii tragicznie zgodne. Ja bym ją porzuciła na Kreyzicku, ale to trochę niehumanitarne. Niech już doleci z nami do Jolka, ale tam...

- A właśnie, że nie masz racji, moja droga - powiedział Jason z zagadkowym uśmiechem na ustach.

- W czym nie mam racji? - poderwała się Meta. W jej dłoni pojawił się pistolet.

- Udało mi się w końcu nawiązać łączność z Berwickiem. Przekazał mi mnóstwo ciekawych rzeczy. Ale o tym później, a teraz ważne jest co innego: równoległe z nami na Agreasy pracowali agenci Korpusu Specjalnego. Nie ma się co krzywić, to zwyczajna asekuracja, minimalizacja ofiar. Ich działania były, nawiasem mówiąc, wysoce profesjonalne. Tak więc oto garść danych: królewska córka Midi zakochała się we mnie wyłącznie pod wpływem naprowadzanego z zewnątrz promieniowania. Korpus od dawna ma takie coś w swoim arsenale.

Oburzona Meta na kilka chwil straciła dar mowy, a potem wybuchnęła, wymachując pistoletem:

- Och, dorwę kiedyś tego cholernego Berwicka!

Reakcja Archiego natomiast była zupełnie inna:

- Słuchaj, Jasonie - młody fizyk uśmiechał się sprytnie i nieśmiało jednocześnie. - Czy można pożyczyć od niego promiennik na kilka dni?

Archie oczywiście żartował, ale w każdym żarcie...

Jason odpowiedział zupełnie poważnie:

- Poprosić możemy, ale czy naprawdę tego chcesz? Nawiasem mówiąc, działanie tych "promieni miłości" jest bardzo ograniczone. Nie można na przykład gorącej nienawiści zmienić w płomienne uczucie. Więc myśl, Archie! Daję ci carte blanche, a dalej - radź sobie jak każdy chłop zawsze i wszędzie.

Jason wstał od stołu, ale zatrzymał go okrzyk Mety:

- Poczekaj, nie rozumiem, jak to może działać, skoro...

- Meto, kochanie - przerwał jej Jason. - Jesteś pierwszą kobietą z planety Pyrrus, która z własnego doświadczenia wie, co to miłość. Archie zaś to zupełnie wyjątkowy uczony, który jest w stanie zrozumieć wszystko. Obgadajcie zatem ten problem beze mnie. Ja idę do biblioteki.

Jason nie na darmo przesiadywał całe dni przed komputerem. Na dobę przed lądowaniem na Jolko nagle odkrył coś, co spowodowało, że wzburzony wpadł do mesy, gdzie spokojnie rozmawiali Meta, Kerk, Archie i Midi, i krzyknął:

- Muszę porozmawiać ze wszystkimi jednocześnie. Zwołaj ogólne zebranie załogi, Kerku!

Wkrótce w mesie zrobiło się tłoczno. Ktoś wspominał pełne emocji dyskusje w tym samym pomieszczeniu, gdy wisieli na orbicie Solvitza, a Jasona nie było z nimi. Ktoś żartował: "No, znowu znaleźliśmy się w »Lido«. Czy nie jesteśmy inwigilowani, panowie?" Inni nie rozumieli, po co ich tu ściągnięto, i w myślach przygotowywali się już do kolejnej bitwy. Zresztą Pyrrusanin zawsze jest gotów do bitwy.

Wyprawa do centrum Galaktyki przeciągała się, dlatego cierpliwi i w sumie mało ciekawscy z natury Pyrrusanie powstrzymywali się jak na razie od pytań typu: co się w końcu

stało na Agreasy? Kim są bogowie? Komu są potrzebne cyborgi? Jaki to ma związek z Pyrrusem? Słusznie, że się powstrzymywali. Na dobrą połowę pytań Jason sam jeszcze nie znał odpowiedzi. Ale nagle przypomniał sobie, co pomogło mu pewnego razu. Wiele lat temu na planecie Felicity, przeglądając szkice z historii staruszki Ziemi, znalazł rozwiązanie bardzo skomplikowanego problemu.

W archaicznych kronikach odkrywało się wiele interesujących poznawczo i pouczających materiałów i mnóstwo ciekawostek, a Jason od dawna uważał historię za swego rodzaju hobby. Teraz też postanowił połączyć przyjemne z pożytecznym i poszukać analogii w przeszłości.

Nazwy planet skolonizowanych przez Ziemian, nazwy miast, rzek, mórz i inne rzadko bywały przykładami wyrafinowanego słowotwórstwa, najczęściej toponimy czerpano z geograficznych atlasów starej Ziemi. Nazwy nadawano w zależności od regionu pochodzenia kolonistów.

Można więc było wykorzystać wiele szczegółów. Słowo "Agreasy" na przykład oznaczało kiedyś znaczny obszar starożytnego kraju o nazwie Sakartwelo i używano tam języka karteli, który niewiele różnił się od dzisiejszego agreasjańskiego. Innych danych tego typu na razie Jason nie znalazł. Chyba zapędził się w ślepą uliczkę, ruszył więc gdzie indziej.

W językach sąsiadujących z Agreasy planet w gromadzie kulistej pojawiały się mocno zniekształcone, co prawda, ale wyraźnie greckie, a dokładniej mówiąc, starogreckie korzenie. Uważano ten język za martwy od wielu tysięcy lat, ale właśnie jego używali mieszkańcy Orhomanu, Jolka, Elesdos, a nawet Bipchinii. To już było coś. A potem, zupełnie przypadkowo, najprawdopodobniej z powodu nudy i dla rozrywki, Jason sprawdził, skąd Ziemianie z imperium wzięli nazwę "Argo", potem zmienioną na prostacko złowrogą i bezbarwną jednocześnie "Nedtrueba", to znaczy "Niezwyciężony". I w tym miejscu Jason podskoczył w miejscu.

W mgnieniu oka przełknął dwieście kilobajtów starego tekstu i doszedł do niesamowitego wniosku, którym po prostu nie mógł się nie podzielić z całą załogą.

- Przyjaciele! - zaczął głośno. - To, co wam teraz opowiem, może wydać się dziwne i nawet nieprawdopodobne. Ale to bardzo ważne! O naszej wyprawie przeczytałem w jednym z najstarszych ziemskich tekstów, napisanych wiele tysięcy lat nie przed naszymi czasami, ale przed Pierwszą Rewolucją Techniczną. Bohaterów tego tekstu nazywano argonautami, ponieważ płynęli po morzu na statku "Argo". A płynęli, uwaga, przyjaciele! by zdobyć złote runo pewnego sławnego barana. Nie będę zatrzymywał się na drobiazgach, ale, uwierzcie mi, cała masa fabularnych elementów i psychologicznych konfliktów nad podziw dokładnie odpowiada naszym przeżyciom. Osobiście widzę dwa sposoby wyjaśnienia: pierwszy, zupełnie fantastyczny, to pętla czasu. Rzeczywiście czytamy o sobie samych, z poprawką na zniekształcenia naturalne przy wielokrotnych przekładach. Ale zostawmy tę koncepcję do ekspertyzy naszemu przyjacielowi Archiemu, bądź zaadresujmy ją do wszystkich, którzy marzą o wciąż niemożliwych do zrealizowania podróżach w czasie.

O wiele bardziej prawdopodobne, bardziej racjonalne i bliższe realiom życia jest inne rozwiązanie. Ktoś dobrze znający legendę o argonautach rozgrywa ten spektakl na scenie wszechświata z nami w rolach głównych. Wszystko zaplanował, a my jesteśmy po prostu marionetkami. Ten ktoś manipuluje nami, pociągając za sznurki.

- Co takiego? - zapytał Kerk. - Marionetki?! Sznurki?

Nie wyglądał na rozszuszczonego, raczej na rozbawionego.

Jason uznał, że lepiej nie wplątywać się w spór i już się przygotowywał do wyłuszczenia swoich racji, ale wtrącił się Archie.

- Istnieje trzeci wariant - zaważył rozsądnie. - Prosty zbieg okoliczności. Przecież, jeśli dobrze zrozumiałem, historie nie powtarzają się idealnie.

- Oczywiście, że nie - zgodził się Jason. - Ale poczytaj sobie potem ten mit i sam zrozumiesz: prawdopodobieństwo takiego zbiegu okoliczności jest niezwykle małe, praktycznie równe zeru. A jeśli nawet jestem gotów przyjąć twoją stochastyczną, tak ją nazwijmy, hipotezę, co wtedy? Przecież nie jest ona konstruktywna, a my musimy podjąć jakieś decyzje, i to szybko. Dokoła nas są wrogowie, a my nawet nie możemy pojąć, jaką bronią się posługują. Odrzucam z tego samego powodu maszynę czasu. Przecież jeśli mamy do czynienia z pętlą czasową, to w żaden sposób nie będziemy mogli zmienić swojej przyszłości, która jest w istocie przeszłością. A mnie coś takiego zupełnie nie bawi, rozumiecie? Nigdy nie siadam do gry, jeśli wszystkie rozgrywki są wcześniej rozpisane. Dlatego urządza mnie tylko jeden wariant. Kiedy widzę przeciwnika. Dlatego mimo wszystko wysłuchajcie, co, według mnie, z tego wynika.

Jason zrobił pauzę na zacerpnięcie oddechu i odczekał, aż w mesie nastanie zupełna cisza.

- Tajemniczy ktoś się domyśla, że ja też znam tę starożytną legendę. Że skoro przyjąłem reguły gry, przejdę całą drogę do końca. A wiecie, jaki jest koniec tej opowieści? Powinienem się ożenić z Midi, potem...

- Nigdy! - krzyknęła Meta, nie zamierzając dalej słuchać. Tak się nie stanie, a to znaczy, że ten twój ktoś może się nie przejmować całą resztą.

- Poczekaj, opowiadam tylko starożytną legendę. Tak więc żenię się z Midi, przybywamy na Jolk, a Fell, od dawna już przekonany, że nie żyjemy, w międzyczasie zabił mojego ojca. Midi urządza wszystko tak, że Fell ginie straszliwą śmiercią, za co nas oboje - nie rozumiem tej logiki! - pozbawiają jolkańskiego obywatelstwa. Następnie na zupełnie innej planecie zdradzam Midi i zamierzam się ożenić z inną kobietą. . .

- A nie mówiłam, babiarz! - wtrąciła Meta.

- ...ale Midi zemści się straszliwie, zabijając rywalkę i porzucając mnie na zawsze. Sam jak palec wieszam się z rozpacy na własnym statku o nazwie "Argo".

- Co za bzdury - bezlitośnie skwitował Rhes.

- Istnieje też trochę inny wariant zakończenia - dodał Jason. - Pograżony w rozpacz wiecem na "Argo" i ginę zmiażdżony przegniłym, walącym mi się na głowę kadłubem własnego okrętu.

- To jeszcze głupsze - parsknął śmiechem Stan - jeśli uwzględnimy, że stopy, z których wykonany został liniowiec, przetrwały co najmniej pięć tysięcy lat i wytrzymają jeszcze dziesięć razy tyle.

- Zbyt dosłownie to rozumiecie, przyjaciele! - westchnął Jason. - Przecież chodzi o alegorię, symbol. Udając się w tę podróż, wyruszyłem na poszukiwanie własnej śmierci i znalazłem ją. Oto w czym zawiera się sedno.

- Przestań, Jasonie - powiedziała Meta. Już się nie złościła i nie okazywała zazdrości. - Sedno zawiera się w czym innym. Niech Archie ożeni się z Midi.

Młody fizyk z Uctisa i dziewczyna z Agreasy popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się z zakłopotaniem. Czy można o takich rzeczach mówić głośno, przy wszystkich?

Meta kontynuowała:

- Tak, tak! Mówię poważnie. A z całej reszty tego, co tu naopowiadałeś, ważne jest tylko jedno: rzeczywiste zachowanie Fella. On gra przeciwko nam i jeśli ten drań poznał twoją idiotyczną legendę. . . Na czarną przestrzeń, nie pozwól nam się spóźnić! Jeśli twój ojciec jeszcze w ogóle żyje.

Wszyscy zamilkli. Nawet Jason nie zdążył o tym pomyśleć. Czyżby przesiąknął fatalistyczną ideą, która zakłada, że przyszłość jest zdeterminowana i nie można odmienić własnego losu?

- Proponuję resztę drogi do Jolku przebyć w trybie awaryjnym. Kto przeciw? - zapytała Meta. - No to siadajcie w antyprzeciążeniowe fotele. Przysięgam na wysokie gwiazdy, że zdążymy!

- Meta rzeczywiście ładnie przemawiała - mrucał sobie pod nosem Jason. Mruczał cicho i z goryczą. - Ale sedno sprawy to nie tylko to, co nas czeka na Jolku. Znacznie ważniejsze to wiedzieć, kto rozgrywa wszechświatowy spektakl według archaicznej legendy.

Jason przemawiał w przestrzeń, do wszystkich, a publiczność już się rozchodziła, wykonując polecenie kapitana "Argo", popierane milcząco przez przywódcę Pyrrusan Kerka i niekwestionowanego kierownika projektu Jasona.

Natomiast sam kierownik projektu był sfrustrowany i niezbyt liczył na to, że zostanie wysłuchany. Ale obok znaleźli się Archie i Midi.

- Kto to jest, według ciebie? - zapytał Archie.

- Tylko jedna znana nam obu istota mogłaby wykonywać numery na taką skalę.

- Solvitz? - od razu zapytał Archie.

- Tak, doktor Theodor Solvitz - skinął głową Jason. - Któż by jeszcze?

Midi drgnęła.

- Jak powiedziałaś? Theodor? Arcykapłan ojciec Fiodor czasem nazywał siebie doktorem Theodorem.

- A przypadkiem nie nazywał siebie Solvitzem? - uśmiechnął się Archie.

W rzeczywistości wcale nie było mu do śmiechu.

- Nazwisko Solvitz wpadało mi w oczy, kiedy bawiłam się komputerem - powiedziała Midi - ale nie pamiętam, w jakim kontekście.

- Pomyśl, proszę - szeptem powiedział Jason.

Sam już przypomniał sobie, czyje ciemne, oliwkowe oczy i szlachetnie helleńskie rysy widział przez mgnienie oka w świątyni Dziewiesa pod kapturem z różowo - białej tkaniny.

- Arcykapłan to Solvitz - odważnie oświadczył Archie.

- Ładnie brzmi - pochwalił go Jason. - Ale czy nie od ciebie słyszałem nie tak dawno, że Solvitz zniknął z naszego wszechświata na zawsze?

- Ode mnie - zgodził się spokojnie Archie. - Ale nigdy nie twierdziłem, że Theodor Solvitz to jedna osoba. Pomyśl o tym. Ostatni sygnał, uprzedzający o mającym za sekundę nastąpić trzydziestokrotnym przeciążeniu, zastał ich dość daleko od specjalnych foteli i Archie uświadomił sobie ze strachem, że Midi raczej nie jest przygotowana do takich testów.

Młody fizyk z Uctisa chwycił ukochaną w objęcia i rzucili się biegiem prosto do antyprzeciążeniowych wanien, wspaniałych, trzeba przyznać, urządzeń dla nowicjuszy!

Na powierzchni Jolku kuter desantowy i kanonierka wylądowały jednocześnie. Pierwszym lecieli ludzie, a do drugiej udało się wcisnąć poszycie wraz z silnikiem. Inżynierski zespół na czele ze Stanem zdołał w czasie lotu zmontować gwiazdłot, ale Pyrrusanie nie odważyli się wykorzystać go do samodzielnego lotu. Planeta, oczywiście, jest dzika, ale w świetle ostatnio wysuniętych hipotez i tu można oczekiwać wielu niespodzianek - od ostrzału raketowo jądrowego do spontanicznego przeskoku do innych światów przez hipertunele - rewanawery. Nie po to szukali tak długo "złotego runa", by w ostatniej chwili je utracić.

Jednakże Jolk powitał gości spokojnie, pokojowo i wręcz życzliwie. Miejscowi niewolnicy i nawet patrycjusze upadli na kolana na widok opadających z niebios bogów na gwiazdnych rydwanach. Taki tu panował od dawna obyczaj. Od centralnego placu przed pałacem Fella, który, według zapoczątkowanej przez Metę tradycji, służył jako kosmodrom, do domu Ajzona było bardzo blisko. Jason wysłał tam najlepszych wojowników, żeby możliwie szybko uzyskać odpowiedź na najważniejsze pytanie. Na razie natomiast nikogo nie wysłał do pałacu. Następca tronu, księżę, przyleciał do ojca, do Ajzona, a nie do tego łajdaka Fella!

A jeśli cię, Fellu, nadal interesuje gwiazdłot "Baran", osobiście wyjdiesz mi na spotkanie, a nie wyślesz osobistego ochroniarza. Ktoś mi tu, jak pamiętam, wymachiwał

królewską dumą i żądał dostarczenia Śruboroga do osobistego i bezgranicznego wykorzystywania. Wybacz, Fellu, w czasie tej podróży wiele się wydarzyło i raczej już nie możesz liczyć na żadne ustępstwa...

Jason wygłaszał przemówienie w duchu, jakby w myślach ćwicząc rozmowę z Fellem, ale nie udało mu się niczego w tym stylu wygłosić - w czasie podróży na Pyrrus i Agreasy zmieniło się znacznie więcej, niż mogli sobie wyobrazić wszyscy Pyrrusanie razem wzięci, w tej chwili cierpliwie siedzący w desantowym kutrze.

Główne wrota do pałacu w Jolku otworzyły się i na białych marmurowych stopniach pod szerokim portykiem pojawił się... Nie, nie Fell i nawet nie Ajzon, bo ten właśnie nadchodził od strony swego domu w otoczeniu pyrrusańskich żołnierzy, a wielce szacowny członek wielu tajnych instytucji Revered Berwick. A dopiero za nim, pod raczej jednoznacznym konwojem czterech bysiów w niebieskich mundurach Kosmicznej Floty Ligi wszedł obywatel Fell - w kajdankach.

Tak, przyjacielu mój, Solvitzu, pomyślał Jason. Twoi aktorzy zaczynają odgrywać własne szalone role. Przedstawienie pod tytułem "Wyprawa argonautów po złote runo" zostało przerwane w atmosferze skandalu.

Ajzon rzucił się w objęcia syna z prawdziwymi łzami w oczach:

- Wiedziałem, że wrócisz, że oboje wróćcie! Jakże się cieszę, że was widzę! - Patrzył to na Jasona, to na Metę. - Udało ci się odnaleźć "Barana"?

- Oczywiście, ojczule!

- I przywiozłeś go tutaj?

- No pewnie. Gwiazdolot jest ukryty pod tym pancierzem. Zaraz wsiądziesz do niego i będziesz uratowany.

- O, jakże jestem szczęśliwy, Jasonie. Jak szczęśliwy! A ten bydlak, wyobraź sobie, codziennie wymyślał dla mnie nową bajkę o waszej śmierci. Wiele wie o sąsiednich światach gromady kulistej i snuł te opowieści bardzo przekonująco i barwnie. Wiedziałem, że kłamię, ale i tak się denerwowałem. Bardzo się denerwowałem! Urządził mi niekończącą się torturę psychiczną. Ma jakiś specjalny kanał łączności z innymi planetami, a ja tylko ten awaryjny, jednostronny nadajnik psi, ten, który mi zostawiłeś. Mogłem nadać SOS, ale nie dałeś mi na to zezwolenia, więc cierpliwie czekałem. Przywykłem do dwóch rzeczy: do czekania i nieufności w stosunku do Fella. Niech się teraz nim zajmą przedstawiciele prawa i sprawiedliwości, a ja nawet już nie chcę na niego patrzeć!

Natomiast Fell patrzył na Ajzona, i to bardzo dziwnie, jakoś tak chytrze, niemal triumfująco. Pewno wymyślił jeszcze jakieś świństwo i nawet kajdanki najwyraźniej nie stanowiły przeszkody. Jednakże Jason nie miał pojęcia, jak może jeszcze lepiej chronić ojca. Odprowadzić podłego Fella gdzieś dalej? Wysłać w kosmos? A może rozstrzelać go na miejscu bez sądu i śledztwa? Wszystkie te sposoby były jednak mało racjonalne i niegodne zarazem, szczególnie że zatrzymany przestępca nie przejawiał agresywnych skłonności i

raczej mógł być uważany za najbardziej nieszkodliwego właśnie tu, obok, na krótkiej smyczy, pod stałym i czujnym nadzorem. Można było też zabrać Fella na "Argo", wykorzystać najnowocześniejsze środki i wyciągnąć z jego nasączonej złem głowy wszystkie potrzebne informacje. Ale czy uda im się bez strat dostarczyć obu braci - królów na orbitę? Jason bardzo w to wątpił, ale innych pomysłów nie miał. Nie zamierzał urządzać tu wielogodzinnej narady, na dodatek z udziałem Berwicka. Problem wymagał, jak podpowiadała Jasonowi intuicja, natychmiastowego rozwiązania. A największy gracz Galaktyki przyzwyczał się ufać swojej intuicji.

- W takim razie, ojcie, nic nas więcej nie zatrzymuje na tym globie. Wrócisz tu później, jeśli będziesz chciał. A teraz... Widzę, że wasz dzielny lud zbiera się już na placu. Ale chyba nie czas i pora na świętowanie naszego zwycięstwa. Możemy uczcić je kieliszeczkami czegoś mocniejszego na pokładzie "Argo", a spacer po morzu czy polowanie odłożymy na inną okazję. Dzisiaj, jak sądzę, najważniejsze są twoje zdrowie i twoja pamięć.

Ajzon tylko kiwał głową i uśmiechał się bez przerwy. Stracił dar mowy z powodu rozpiekających go triumfalnych uczuć.

- A gdzie pańskie środki transportu? - zapytał Jason Berwicka.

- Nieopodal. A co pan taki dziś zdecydowany i porywczy? Chyba się pan nawet nie przywitał?

- Dzień dobry, Reveredzie. Przepraszam. Tak często kontaktujemy się przez radio, że czasem nie mogę sobie przypomnieć, ile razy dziennie już się witałem - wykręcił się Jason. - Ale jeszcze raz przepraszam. Pełny niedoczas. Może dostarczymy tego byłego władcę na "Argo" i tam sobie z nim porozmawiamy.

- Myśli pan, że już teraz? - zapytał Berwick, nie kryjąc wątpliwości.

- Jestem pewien! Co tu możemy z nim zrobić? Posadzić go z powrotem na tronie? A właśnie, wyznaczył pan jakiegoś czasowego zastępcę?

- Tak - krótko odpowiedział Berwick.

- No i świetnie. Startujmy. Nie chcę trzymać tu ojca ani sekundy dłużej.

Berwick popatrzył na Jasona, pochylił nieco głowę i uśmiechnął się samymi oczami. Potem odwrócił się do swojego konwoju i zaczął wydawać rozkazy:

- W tył zwrot! Naprzód marsz! Odprowadźcie oskarżonego Fella do naszego superkutra i podążajcie za "Argo". Ja zostanę z Jasonem. Mamy do pogadania.

Ostatnie słowa wypowiedział do siebie, ponieważ żołnierze już powlekli aresztowanego do pojazdu.

Wtedy nagle Fell spazmatycznie wykręcił szyję, wpatrując się w ludzi zgrupowanych dokoła pyrrusańskiego kutra desantowego, i zaczął wrzeszczeć straszonym, przepełnionym rozpaczą głosem:

- Nie! Nie!!!

Żołnierze zatrzymali się i odwrócili głowy. Berwick obojętnie zapytał:

- O co chodzi?

- Nie wolno mnie wywozić z planety tym waszym superkutrem. Umrę w nim. Tak samo jak Ajzon. Tylko na "Baranie", wyłącznie...

Autentyczny przeraźliwy strach widoczny w oczach Fella pozwalał wnioskować, że tym razem piekielny król Jolka nie kłamie. Wyglądało, że wcale nie chce umierać, dlatego czas beczelnych kłamstw się skończył. Tak podpowiadała najprostsza logika.

- Cóż, bez ochrony zmieścimy się wszyscy w tym malutkim stateczku - rozstrzygnął Jason. - przy tym Kerk i Meta, mam nadzieję, zastąpią czwórkę zawodowców Floty Kosmicznej Ligi.

- Dobrze - zgodził się Berwick. - Ale w takim razie pańscy przyjaciele koniecznie będą musieli przypiąć się kajdankami do zatrzymanego.

- A dlaczego koniecznie? - uśmiechnął się Kerk. - Moja ręka utrzyma go lepiej niż te wasze kajdanki. Chce pan, żebym pokazał, jak się rwą w moich rękach?

- Nie trzeba - zrezygnował z pokazu Berwick. Nigdy nie był przesadnie ciekawski. - Mimo wszystko zróbcie to, o co proszę. - Nie kłóć się, Kerku - wtrącił się Jason. - Porządek musi być.

- Dobrze - zgodził siwowłósy Pyrrusanin.

Potem załadowali się, jeśli nie upakowali do ciasnej kabiny trzymiejscowego lekkiego gwiazdolociku, wypełnionej zmontowaną napędce i tylko częściowo podłączoną aparaturą. Było ich tu sześcioro: Jason, Meta, Kerk, Fell, Ajzon i Berwick. A na zewnątrz, w kanonierce, przede wszystkim w kabynie pilotów rozlokowało się na wszelki wypadek jeszcze dziesięcioro ludzi. Pozostali ruszyli na orbitę w kutrze desantowym.

Lot odbywał się zupełnie normalnie. Uszczęśliwiony Ajzon mamrotał pod nosem, nie milknąc ani na chwilę:

- Nie czuję żadnego bólu! Najmniejszego! W ogóle nic nie czuję. Wstrząsające! Przecież pamiętam ten okręcik. Cudowny gwiazdolot, cudowny! Eksperymentalny egzemplarz, pewnie że tak, ale bardzo dobry. Tylko zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, jak się nim steruje. Po co, na przykład, jest to coś, takie długie, z hakiem na końcu? Po co? Nie wiem. A ty jak sądzisz? Hej, Jasonie!

- Co? A, do mnie mówisz, ojczy? Przepraszam, zamyśliłem się.

- Po co są te rzeczy?

- Nie wiem, ojczy. Dopiero zaczęliśmy poznawać "Barana". Ciężki orzech do zgryzienia.

- To nic, pomogę wam, tylko muszę sobie przypomnieć wszystko, co wiedziałem. Ech, żeby udało się odnaleźć Nivelłę! Szkoda, żeście jej nie spotkali. A mieliśmy z nią specjalny kanał łączności, mogliśmy sobie przekazywać sygnały w dowolny koniec Wszechświata.

Żeby tylko pamiętał, jak to się robiło...!

Jason znowu przestał słuchać mamrotania ojca i skoncentrował się na zachowaniu Fella, który siedział całkowicie nieruchomo, przymknął powieki, patrzył na wszystkich i wszystko przez wąziutkie szczelinki. Może zresztą nie patrzył, może naprawdę się zdrzemnął.

Ekran otaczający planetę przeskoczyli bez najmniej szych przeszkód i przygód. I niemal od razu znaleźli się obok "Argo", który oczekiwał ich z gościnnie otwartymi śluzami. Kanonierką na tym krótkim odcinku sterował Gryf - w końcu musiał się tego nauczyć. W ostatniej chwili młody Pyrrusanin popełnił błąd: wlatując do hangaru z włączoną poduszką magnetyczną, nie uwzględnił pochylenia związanego z nierównomiernym rozłożeniem balastu.

A Jason przypomniał sobie opowiadanie Mety o widzianej w dzieciństwie starej drewnianej lalce i pomyślał: Niezła matrioszka nam wyszła! Tezy gwiazdoloty jeden w drugim, a w środku jeszcze ludzie.

A po sekundzie liczba matrioszek powiększyła się o jedną. Gryf zapomniał o pochyleniu kadłuba kanonierki, nie trafił we wrota, zaczepił bocznym gniazdem armatnim o ościeżnicę i wszyscy poczuli mocny wstrząs. Nikt nie oczekiwał uderzenia w tak spokojnym momencie, dlatego nawet Meta i Kerk nie zdołali odpowiednio zareagować. Byli przygotowani na powstrzymanie ewentualnej agresji Fella w stosunku do innych, ale kto mógł przypuszczać, że tego szaleńca należy pilnować, żeby sam się nie unicestwił.

Głowa drzemiącego aresztanta odskoczyła do tyłu znacznie mocniej, niż mógł to spowodować niezbyt silny wstrząs. A wewnętrzne ścianki niezwykłego "Barana" nie miały żadnego gładkiego fragmentu wolnego od dźwigienek, przyrządków, przełączników i przycisków. Tył głowy Fella wybrał sobie element co się zowie - ostry i twardy. Dziurkę, powstałą w jego czerepie, w starożytności określono by jako obrażenie nie dające szansy na przeżycie. Współcześni lekarze, powiedzmy Teca, powalczyliby z pewnością o tego kretyna i może udałoby się przywrócić go do życia. Ale już sekundę później zdrowie byłego dyktatora Fella stało się dla wszystkich sprawą drugorzędną.

Kamery obserwacyjne, czujniki parametrów zewnętrznych, nawigacyjny kompleks, grawimetry i magnetometry - wszystkie przyrządy oszalały w jednej chwili. A kiedy ich wskazania wróciły do normy, Jason natychmiast wyskoczył na zewnątrz ze "złotego runa" i w komorze śluzy kanonierki zderzył się z Archiem i Stanem. Nie wiadomo, kto się pierwszy domyślił, co było przyczyną awarii, a może wyliczył z danych pośrednich. Mówili do siebie jednocześnie, nawet nie przerywając sobie, tylko uzupełniając wzajemnie:

- Ekran. . .
- ...który...
- ...znajdował się...
- ...dokoła planety...
- ...zamknął się teraz wokół "Argo".

Ostatnie cztery słowa wypowiedzieli chórem i zadziwiająco zsynchronizowanym ruchem otarli pot z czoła. W innej sytuacji może nawet roześmialiby się z tego, ale teraz. . .

Stało się coś niedobrego. Ale co właściwie? Prawda docierała z trudem. A najważniejsze, że dziurka w głowie Fella w żaden sposób nie przystawała do rzeczywistości. Nie mieściła się w głowie! Dziura w głowie nie mieściła w głowie! Tylko kalamburów brakowało w tym momencie.

Na schodach prowadzących ze śluzy do hangaru pojawiła się Meta i zawołała całą trójkę:

- Chodźcie! Zawołałam już Tecę i Brucco.

Na nadgarstku miała obręcz z reszką stalowego łańcuszka. Bez słowa wzięła klucz od zbliżającego się Berwicka, szczęknął zamek, resztką kajdanek spadła na podłogę, a Meta naszyła w stronę mostku kapitańskiego "Argo".

Co tam jakieś ekrany! - mówiły jej plecy i zdecydowany krok. Przebijemy się!

Badania ekranu wokół "Argo" za pomocą wszelkich dostępnych czujników dały niezbyt pocieszający wynik: energetyczna powłoka jest nieprzenikliwa nie tylko dla fal elektromagnetycznych, ale również - co było już znacznie smutniejsze - dla dowolnych metalowych przedmiotów o dowolnych wymiarach: od poszczególnych chemicznie nie powiązanych atomów do olbrzymiego liniowca. A atakowanie jej od wewnątrz, jak to zaproponował podniecony Clif, byłoby zwykłym samobójstwem. Z taką samą szansą na sukces można uciekać z zespawanej cysterny, używając granatu przeciwczołowego.

- Uważajcie - wyjaśniał Stan. - Promień sfery, otaczającej wcześniej planetę, gwałtownie się zmniejszył, dosłownie kilkakrotnie w ciągu jednej sekundy Powłoka pękła, wyróciła się na drugą stronę i owinęła nasz statek. Dzięki obecnym, tak małym wymiarom napięcie ekranującego pola proporcjonalnie wzrosło, i to tak silnie, że doszło do jakościowych zmian poszczególnych parametrów. Dlatego nie chce ono teraz przepuścić nikogo i niczego.

- Dlaczego nikogo? Rozbieraj się do naga i proszę bardzo ponuro zażartował Archie.

- Ten honor ratowania misji pozostawiam tobie - równie mało śmiesznie odparował Stan. - Mam w zębach pełno metalu. - Żarty na bok, kochani - odezwał się Jason - ale jeśli nic lepszego nie wymyślimy, ktoś będzie musiał na plastikowym czółenku, w lekkim skafandrze polecieć z powrotem na planetę i wezwać pomoc.

- Wymyślimy coś, Jasonie, musimy - powiedział Brucco, który co prawda wszedł niedawno do mesy, ale od kilku minut ponuro przysłuchiwał się pesymistycznej dyspacie. Przypominał w tej chwili starego nastroszonego ptaka. - Teca kończy operację, ale już mogę wam powiedzieć, że istnieje związek między samobójstwem Fella i wszystkimi tymi jajami. Oto on.

Brucco uniósł nad głowę nieprzyjemnie matowo połyskujący przedmiot wielkości orzecha włoskiego, ale przypominający bardziej jeża morskiego czy igłowaty owoc

kasztanowca.

- To coś siedziało w jego głowie, w mózgu - wyjaśnił Brucco. - Kolce to antenki nadawczo - odbiorcze, a w środku superskomplikowany układ. Nazwaliśmy ten przyrząd regulatorem myśli. Ajzon ma taki sam. Już to wyjaśniliśmy za pomocą prześwietlenia. Ale zanim zoperujemy mózg twego ojca, Jasonie, należy trochę poeksperymentować, jak to się mówi, na mniej cennych członkach załogi.

- Czy Fell żyje? - zapytała dość obojętnie Meta.

- Tak, ale jest w śpiączce.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Archie.

- Nie wiem. Stan korny może trwać całe lata. Nie warto liczyć na to, że uzyskamy od niego jakąś cenną informację. Jeśli będziemy mieli szczęście, uda się czegoś dowiedzieć, a jeśli nie, to trudno. Tylko Ajzon może sobie coś przypomnieć. Tece uważa, że jest całkiem realne wykonanie urządzenia, które zniweluje oddziaływanie tego piekielnego regulatora na mózg. To dotyczy problemu amnezji - można w ten sposób spróbować odsłonić nowe warstwy pamięci, a poważną operację lepiej wykonać nie na "Argo", a już w domu. Albo na innej cywilizowanej planecie.

Był to komplement dla ojczystego Pymisa, dość subtelny, trzeba przyznać, ale Jason wolałby oddać ojca w ręce lekarza z jakiejś "innej cywilizowanej planety". Do rozwiązania kwestii było jeszcze daleko, więc przemilczał to.

- Podsumujmy - ciągnął Brucco. - Śmierć Fella to, wiadomo, nie przypadek, ale samobójstwo, a pchnęło go do tego jakieś polecenie z zewnątrz albo, to drugi wariant, impuls, wcześniej przewidziany w programie regulatora myśli. Fell miał rację, kiedy jeszcze przed twoim i Mety odlotem mówił do Ajzona, że jego utrata pamięci nie jest zwyczajną amnezją, że to w ogóle nie jest amnezja. Po prostu nie wiedział i nie mógł wiedzieć, co to naprawdę jest. Człowiek znajdujący się pod wpływem potężnego zewnętrznego czynnika nie może nic wiedzieć o tym czynniku albo wie tylko tyle, ile mu wolno wiedzieć. Ajzon i Fell byli po prostu sterowanymi przez kogoś niewolnikami. Człowiek, jak pokazała praktyka wielu wieków, może być sterowany tylko częściowo. Całkowite podporządkowanie wolnej woli zawsze prowadzi do nieuniknionej śmierci intelektu, o czym doskonale wiedział ten mądrała, który wszczepił im w głowy kolczaste regulatory.

- Ależ to ohydne ! - powiedział Archie.

- Zgoda - spokojnie potwierdził Bnicco. - Ale nie powiedziałem wam jeszcze najważniejszego, w każdym razie najważniejszego dla naszych techników. Regulatory myśli, pracując na określonej częstotliwości, wchodziły w mocny kontakt z polem siłowym "Barana", a przecież to zgromadzone w nim duże energie zrodziły ekran wokół Jolka i teraz dokoła liniowca. przy okazji zagadka, przynajmniej dla mnie: dlaczego ekran nie zniknął, gdy nie było tu "Barana"? Ale tak czy inaczej Fell tłukł głową o ścianę dokładnie zgodnie z instrukcją.

- Czyją instrukcją? - zapytała Meta, wiedząc doskonale, że pytanie ma charakter retoryczny:

Brucco nawet nie usiłował odpowiedzieć wprost.

- Mam nadzieję, że Teca uruchomi swój sprytny mały neutralizator. Może wtedy dowiemy się czegoś nowego.

Teca poradził sobie z zadaniem nad podziw szybko i sprawnie - już przed wieczorem tego samego dnia. Tego samego nie można powiedzieć o grupie Stana, zmagającej się z rozpracowaniem natury ekranu. Podobnie niewielkie były sukcesy Archiego, który całkowicie poświęcił się rozszyfrowaniu programów sterujących gwiazdolotu "Baran". Tak więc pod koniec dnia roboczego najważniejszym referentem w mesie był Ajzon. Teca musiał ogolić starcowi głowę i nałożyć mu specjalny hełm ze sterzącymi we wszystkie strony sarenkami i parą przezroczystych rurek, które zapewniały nieprzerwany dopływ specjalnego roztworu zmywającego skórę. W sumie sprytnie urządzone okazało się nie takie znów małe.

Ajzon w tym egzotycznym nakryciu głowy przypominał Jasonowi dzikiego wojownika z plemienia Temuchina albo archaicznego szamana. Nawet przemawiał innym, głuchym, szamańskim głosem. Meta aż drgnęła, słysząc to mamrotanie, ale po chwili nikt już nie zwracał uwagi na formę przekazu - najważniejsza była treść.

Ajzon zaczął, oczywiście, nie od początku. Nadal nie wiedział, gdzie się urodził, gdzie się uczył i kto go wychował. Nie pamiętał nawet, jak poznał Nivelę. Natomiast mógł już z całą pewnością powiedzieć, że słynny gwiazdolot "Baran" nie był zbudowany specjalnie dla nich i że nie byli załogą testującą ten eksperymentalny pojazd. Po prostu przypadkowo znaleźli go w kosmosie. A w ogóle było ich na zwyczajnym statku badawczym o nazwie "Finta" nie troje, a sześcioro: Ajzon, Nivella, Fell, Inna, Suleli i Kobalt.

Znaleziony złoty gwiazdolot był ogromnym skarbem. Cała szóstka składała się z uczonych, którzy zrozumieli to od razu, chociaż nie do końca pojmowali działanie i przeznaczenie wszystkich elementów statku. Ale były na nim na pewno dwie rzeczy, które otwierały drogę do niezliczonych bogactw i ogromnej władzy: unikatowy korpus, odporny absolutnie na wszystko, i genialny generator, pracujący niczym najprawdziwszy wieczny silnik, to znaczy niewyczerpalne źródło energii.

Wyprawa tej szóstki uczonych miała zbadać kultury zasiedlonych światów centrum Galaktyki, zaproponować im przyłączenie się do globalnych projektów, rozważenie potencjalnego członkostwa w Lidze Światów. Wiadomo było, że regres dotknął przede wszystkim centrum. Najwyższe władze Ligi zamierzały wcześniej czy później zająć się tym problemem i choć załoga "Pinty" miała do zrealizowania cele naukowe, nie wykluczano również bardziej praktycznych działań. W każdym razie cała szóstka bardzo lubiła dyskutować o sztucznym przyspieszaniu postępu na zacofanych globach. Ale same pomysły i idee to za mało, natomiast ich realizacja wymaga w praktyce ogromnych nakładów finansowych.

I oto niespodziewane bogactwo zważyło się na szóstkę ludzi. Wszyscy byli

przyjaciółmi i mieli takie same poglądy, ale teraz, po przypadkowym znalezieniu statku, ich plany na przyszłość gwałtownie się różnicowały. Suleli oświadczył, że trzeba machnąć na wszystko ręką, opanować jakiś bezludny ziemio-podobny glob z obfitymi złożami metali ciężkich i stać się grupką najbogatszych ludzi w Galaktyce.

Kobalt, prawdziwy fanatyk problemów konstrukcyjno - inżynierskich, nalegał na natychmiastowy powrót i szczegółowe zbadanie znaleziska w stacjonarnym technicznym ośrodku na ojczystej planecie.

Fella opanowała idea pomocy jakiejś słabo rozwiniętej planecie i nawoływał do wykonania przynajmniej pierwszego punktu przyjętego planu, zanim zawrócą w jakimkolwiek kierunku.

Ajzon, usiłując wypośrodkować wszystkie opinie, uznawał konieczność pracy według uzgodnionego wcześniej planu i jednocześnie był absolutnie przeciwny wykorzystaniu gwiazdolotu "Baran". Urządzenie mające tak ogromną moc mogło być prawdziwie niebezpieczne dla całych światów, co znaczyło, że według cech formalnych było bronią masowej zagłady i jako takie - własnością Ligi Światów. Prawo zaś stanowiło, że bez zgody Rady Najwyższej Ligi Światów nie wolno im nawet uruchamiać silnika śpiącego w międzygwiazdnej pustce nieznanego statku. Nivella poparła Ajzona, ponieważ na tym etapie sporów popierała męża we wszystkim.

Ale w tym momencie Inna wysunęła odmienną propozycję. Po co zaludniać nowe światy, po co się kogoś radzić, coś wynajdować, mając przed sobą ogromny wybór już zaludnionych planet, na których czele mogą stanąć? Czy nikt nie chce się rozkoszować prawdziwą, niepodzielną, zasłużoną władzą? "Więc mielibyśmy zostać dyktatorami?" "Dlaczego tylko dyktatorami?" - zapytała Inna. "Stańmy się dla nich bogami. Ich dobroczyńcami, którzy przyszli z niebios. Będą nas czcić, a my przyniesiemy tym ludom światło wiedzy i radość dobrobytu".

Brzmiało to ładnie. Propozycja Inny została rozpatrzona jako jeden z możliwych wariantów. Początkowo. Ale dowódcą statku był Kobalt, ojciec Inny. Bardzo szybko stanął po stronie córki, odmawiając powrotu.

I oto im bardziej zbliżali się do pierwszego z zaludnionych światów, a był nim Jolk, tym wyraźniej widać było, że całą szóstką owładnęła mania wielkości. Już chcieli zostać bogami.

I stali się nimi.

Najpierw wszystko toczyło się gładko. Życie na planecie rzeczywiście stawało się coraz łatwiejsze i przyjemniejsze pod wpływem ich utajonych ingerencji i mądrego rządzenia. Nie pchali się do publicznej władzy, a tylko przesuwali figury na szachownicy Jolka, sami pozostając w cieniu. Natchnieni dobrymi wynikami, rozszerzyli krąg działalności: Sulek wyruszył na Agreasy, Kobalt i Inna - na Delfę.

Na pewnym etapie któreś z szóstki musiało odkryć hipertunel, o którym wiedzieli, choć nie przyznawali się do tego, nawet mało wykształceni tubylcy. Odkrył go Kobalt i

właśnie rewanawer pomógł jemu i mnie przenieść się na Delfę. Przecież Suleli nie wrócił w obiecany terminie a nawet nie nawiązał kontaktu. Pięcioro pozostałych straciło swój statek, to znaczy "Fintę". A gwiazdolot "Baran" był - oczywiście - bardzo cenny, ale nie latał. Niestety, ani doświadczona specjalistka w technice kosmicznej, ani fizyk Fell, ani genialny inżynier Kobalt nie potrafili ożywić obcej konstrukcji.

Wkrótce Kobalt z Inną wrócili, ale już we troje. Trzeci zwał się Tudor. Też uważał się za boga, zapewniał, że takich jak on jest wielu, że misjonarska działalność to zwyczajna sprawa dla najlepszych przedstawicieli ludzkości, i za pomocą subtelnych aluzji, za każdym razem wyraźniejszych, proponował, by nie zatrzymywali się, nie spoczywali na laurach, tylko dążyli do władzy absolutnej nad całym światem.

Pomysł był zaraźliwy jak... zaraza. Wszyscy rozumieli, że po pierwsze potrzebny im będzie sprawny i czynny "Baran". Tudor wykazał się dużą wiedzą w tej dziedzinie, spenetrował cały statek i oświadczył, że gwiazdolot kierowany jest siłą myśli, dlatego każdy, kto chce być pilotem tego statku, musi się poddać niewielkiej, ale ważnej operacji mózgu i pozwolić sobie wszczepić miniaturowy czujnik. "Ja już mam taki czujnik", zakomunikował i zademonstrował, jak włącza telepatycznie różne systemy w gwiazdolocie. Był to efektowny pokaz, ale myśl o operacji mózgu trochę wszystkich niepokoiła.

Przed wyrażeniem zgody na zabieg pozostała piątka załogi "Finty" długo dyskutowała o tożsamości Tudora. O galaktycznych koordynatach Delfy ani Kobalt, ani Inna nie potrafili nic dokładnego powiedzieć, a sam Tudor wyjaśnił, że przyleciał ze światów Zielonej Gałęzi, to znaczy z tak daleka, że aż trudno to sobie wyobrazić. Nie mogli tego sprawdzić, ale ich nowy przyjaciel był niesamowicie czarujący i potrafił przekonywać. Aż tu nagle wrócił Suleli. Niezupełnie wrócił, przyleciał w gościnę. Był zachwycony swoją planetą, ale jednego świata już mu było mało. Suleli niezwykle zapalił się do pomysłu Tudora. Pierwszy poszedł pod skalpel.

Nic się strasznego nie stało. "Baran" bez oporu poddał się nowemu sternikowi, po czym uradowany Suleli, na przekór, wydawałoby się, wszelkiej logice, wsiadł do "Finty" i zwał do siebie, na Agreasy. W tym momencie już nikt się nie wahał. Wszyscy jak małe dzieci chcieli się pobawić niezwykłą zabaweczką i czujniki zostały zaimplantowane pozostałej piątce.

Tudor trochę pokręcił się po Jolko i zniknął na zawsze. Inna i Kobalt postanowili przygotowywać wszech-galaktyczny spisek na swojej ukochanej Delfie i ponownie udali się tam przez hipertunel. Na Jolko zostało ich troje. Ajzon i Nivella nagle zaczęli mieć wątpliwości co do szalonego pomysłu opanowania wszechświata. Fell sprzeczał się z nimi, zapewniał, że teraz są bogami, po prostu nie wolno im odrzucać takiej władzy. Ajzon odpowiadał, że wystarczy mu jedna planeta. Nivella zajmowała pośrednie stanowisko.

Wtedy z ich pamięcią zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Odległa przeszłość została zapomniana całkowicie, to co niedawne zaczęło podlegać zniekształceniom. Fałszywa pamięć podsuwała dziwne historie, na przykład, że oni troje - tylko troje - przylecieli na Jolk nie "Pintą", ale "Baranem", który tu uległ awarii.

Z "Baranem" rzeczywiście coś się stało - przestał reagować na ich myślowe polecenia, a ręcznego sterowania chyba po prostu nie było. Fell wpadał w coraz głębszą rozpacz, coraz bardziej pogrążał się w badaniach nad diabelską techniką - niczym wariat! Wtedy ostatecznie się pokłócili. I zostali wrogami.

Widocznie z powodu wielokrotnego przeplatania fałszywych wspomnień z prawdziwymi Ajzona mocno rozboleła głowa. Poprosił o przerwanie "konferencji prasowej", tym bardziej że dalej nie mógł się cofnąć, a co się działo później, wiedzieli wszyscy.

- Zrozumiałem to tak - podsumował Kerk. - Bogowie to wariaci, którzy uznają siebie za rasę wyższą, rwą się do absolutnej władzy we wszechświecie. - Zerknął na Berwicka, a ten skinął głową. - Ajzon nie chciał być bogiem, jego zaginiona żona Nivella widocznie też nie. Fella mamy w swoich rękach. Ale pozostało jeszcze troje.

- Suleiego możemy nie liczyć - zauważył Ajzon. - To zwyczajny głupiec, nieszkodliwy. Natomiast Inna i Kobalt są gorsi nawet od Fella.

- Najważniejszy - pociągnął dalej temat Kerk - jest Tudor alias Fiodor, alias doktor Solvitz. Czy może jest ich trzech?

- Nie wiem - powiedział Ajzon. - Ale przypuszczam, że może ich być znacznie więcej.

- Niech sobie będą - groźnym tonem odezwał się Kerk. Nieważne, ilu ich jest. Teraz na szlaku bogów stanęła Planeta

Śmierci. My, Pyrrusanie, występujemy przeciwko wszech-galaktycznej władzy maniaków. Zmierzymy się z nimi. I jeśli jeszcze ktoś tego nie wie, będzie musiał się dowiedzieć: Pyrrusanie nie potrafią przegrywać.

Kerk usiadł, w mesie zaległa cisza. Siwowłosy przywódca miał rację. Teoretycznie. Nagle Jason zobaczył, jak w tej chwili przez ścianę wchodzi do mesy doktor Solvitz we własnej osobie i melancholijnie oklaskuje surowego wojownika: "Brawo, Kerku Pyrrusie, brawo". Bezczelny, spokojny, pewny siebie, swoich racji i swej niezwykłości. Jason aż się wzdrygnął na ten wyrazisty, choć widziany tylko oczami duszy obraz.

On sam gotów był przysiąc, że osławiony Tudor to Solvitz ale teraz wydawało się, że szalony uczonec obecny był już nie na trzech, a na czterech planetach jednocześnie.

Dobra, niech ten Solvitz spłonie w plazmie, zdecydował w duchu Jason. Stary Kerk mnie zdekoncentrował. Jakaś znacznie ważniejsza myśl mignęła mi, gdy słuchałem smutnej opowieści ojca. Ach tak, oczywiście! Kierowanie gwiazdolotem za pomocą myśli. A statek z kolei stworzył ekran nad planetą. To znaczy... Usunąć ekran za pomocą myśli? No nie, to jakaś bzdura! Zaczniemy od początku. "Baran" sterowany był myślami, ale tylko do czasu, kiedy w pobliżu był Solvitz. Typowy szuler z tego nieśmiertelnego psychopaty! Nauczył też szulerki swoich uczniów. Pamiętam, jak Fell sprawiał Ajzonowi ból, rzekomo zbliżając ekran siłą myśli. A co naprawdę wtedy robił? Najprawdopodobniej w jakiś sposób wysyłał wąski sygnał radiowy na odpowiedniej częstotliwości. Kiedy masz w mózgu takie żelastwo z antenkami, cóż prostszego, niż zmusić je do rezonansu, wywołując tym samym ból?

Wszędzie mamy do czynienia z techniką i nie matu żadnych cudów. Nadajniki psi w tym przypadku na nic się nie zdadzą. Przecież działają tu zupełnie inne energie. Jak, w takim razie, można było włączać potężnego "Barana"...? Eureka!

Meta, przypadkowo spoglądająca w tym momencie na Jasona, chciała zapytać, co go tak ucieszyło, ale nikt nie zdążył niczego powiedzieć ani zrobić, ponieważ w mesie rozległ się głośny i ostry sygnał hiperłączości. Sygnał wywołania z ojczystego Pyrrusa.

No i masz, pomyślał Jason i zmartwił. Tak jest zawsze: gdy tylko jesteśmy na odległej planecie, gdzieś w innej części Galaktyki, i wpadamy w poważne tarapaty, natychmiast na Pyrrusie dochodzi do wszelkich możliwych klęsk i katastrof jednocześnie. Koniec świata; teraz Naxa zażąda pilnego powrotu, a my mu odpowiemy: "Przyślij, bracie, statek. Nie możemy stąd odlecieć bez waszej pomocy!"

Jedno tylko w tym momencie ucieszyło wszystkich: jakieś sygnały przenikają przez ten przeklęty ekran. Przenikają! To znaczy, że nie wszystko jeszcze stracone.

Jason się pomylił. Naxa wcale nie prosił o pomoc.

- Odbierzcie ważny komunikat - polecił poważnym tonem. Potrafię sterować miejscowymi cyborgami. Stalowe igłomioty, superrogonosy i miedzianozębe kajmany są oswajane. Zwierzęca istota przeważa w nich nad mechaniczną, więc łatwo znajdujemy z nimi wspólny język. Pyrrus jest naszą planetą, cokolwiek i kogokolwiek nam naślą. Pozostaniemy gospodarzami i zwyciężymy. Przekażcie to swojemu Solvitzowi: niech wynajdzie coś nowego i ciekawszego. Cyborgi już załatwiłem.

Pyrrusanie byli oszołomieni. Dobre nowiny to ogromna rzadkość w ich świecie. Jason zapytał od razu:

- Naxa, skąd wiesz, że cyborgi podszyłał na Pyrrus właśnie Solvitz?

- Od ciebie. To znaczy, nie powiedziałaś tego, ale pomyślałaś. Wybacz, ale chyba zbyt intensywnie myślałaś na ten temat, kiedy widzieliśmy się ostatnim razem. Nazywają nas mówcami, ale my raczej jesteśmy "słuchaczami". Żeby ustanowić telepatyczny kontakt muszę, sam rozumiesz, słyszeć cudze myśli. .. No dobra, a co tam u was?

Kerk zabrał głos, a Jason, gdy tylko przestał się zamartwiać Pyrrusem, wrócił do poprzednich rozważań.

Eureka! krzyknął w duchu na sekundę przed sygnałem. Naprawdę znalazł odpowiedź.

Poszukawszy wzrokiem Midi, Jason zawołał do niej:

- Przynieś mi ten procesor, którym uspokoiłszy ognistego smoka.

Smoka wraz z procesorem podarowano Midi w nagrodę za jej nieocenioną pomoc. Przypuszczano, że ta milutka zabawka będzie pilnowała domu księżniczki, kiedy już sobie znajdzie męża i planetę, na której zechce zamieszkać. Wydawało się, że Sanokowi grozi stałe miejsce zameldowania na Uctisie, ale na razie Midi marzyła o podróży poślubnej na Pyrrusa i tam, w krwiożerczych dżunglach, zamierzała wypróbować swego mechanicznego

ochroniarze.

- Po co? - zapytała Midi.

- Proszę, szybko - mówił Jason z błaganiem w oczach. Midi zrozumiała. Pobiegła, przybiegła, usiadła obok. Zupełnie jak dawniej.

Kerk jeszcze nie zdążył wyłożyć Naksie całej grozy położenia, to znaczy Pyrrus jeszcze był na kanale, gdy Jason przekonał się całkowicie o słuszności swego przypuszczenia. Skoncentrował się, poruszył wargami, trzykrotnie sprawdzając dokonane przed chwilą obliczenia, wystukał potrzebny kod i zdecydowanie wdusił przycisk wprowadzania danych.

Nie włączyła się sygnalizacja alarmowa, Jason nie usłyszał też lawiny oklasków, dlatego, nieco skonfundowany, szepnął do Midi:

- Proszę, zawołaj Stana.

Midi wstała, nie rozumiejąc zupełnie co się dzieje, ale nie zdążyła dojść do drzwi, kiedy usłyszeli łomot czyichś stóp na korytarzu.

Spocony Stan i jeszcze bardziej rozczochrany Archie wpadli do mesy jeden po drugim i wykrzyknęli razem:

- Ekran. . .

- ...znikną!..

- I po wszystkim, bracia - powiedział Jason. - Sprawa była prosta jak świński ogon. Smok jest po prostu jednym z wykonawczych mechanizmów kompleksu o umownej nazwie "Baran", czy, jak kto woli, Olśniewający Śruboróg lub okrotkawi. A jego najważniejszą częścią jest procesor. Podejrzewam, że ten pulpit sterowania wykonany był w nie jednym egzemplarzu, ale podczas próby jednoczesnego wydania wykluczających się wzajemnie poleceń maszyna wybiera to, które zostało wydane z najmniejszej odległości. Tak więc w tej chwili nasze rozkazy są poza konkurencją, czy Solvitz tego chciał, czy też nie.

Narada ogólna, bardzo głośna, bardzo radosna, skończyła się. Siedzieli teraz w dość wąskim gronie w kajucie Jasona, trzymali w rękach wysokie kieliszki z wyszukаныmi koktajlami, pili za swoje powodzenie i usiłowali przekonać siebie, że najgorsze jest już za nimi, a przed nimi - tylko wspaniałe perspektywy, zarówno dla Pyrrusa, jak i dla całej Galaktyki.

W rzeczywistości problemów było jeszcze co niemiara. Po prostu wszyscy umówili się, że na razie wyrzucają je z głowy. Przynajmniej na czas powrotnego lotu.

- Meto, kochanie - poprosił Jason. - Nalej mi czystej whisky z lodem, bez żadnych soków i wody sodowej. Jestem strasznie zmęczony i marzę o odrobinie luzu.

W tym momencie otworzyły się drzwi, w progu stanął Teca. Miał ponurą minę.

- Akurat da się wyluzować na naszym wspaniałym "Argo"! - mruknął Jason.

- Pan Fell umarł - zakomunikował Teca i dodał: - Chociaż zrobiliśmy wszystko, co

było w naszej mocy.

- To znaczy, że należało zostawić jego wszczep w spokoju. - Nie w tym rzecz. Po prostu jego mózg zbyt długo i przesadnie intensywnie współpracował z ekranem. Właśnie jego umysł. Na Ajzona zwinięcie ekranu nie miało wpływu, zapewniam cię.

Za plecami Teki pojawił się Ajzon.

- Ma, i to jeszcze jak! - powiedział z uśmiechem.

- Meto, ja czekam - przypomniał Jason, słuchający wszystkich skrajem ucha. - Należ ojcju też nierozcieńczonej. Musimy się z nim dzisiaj porządnie napić.

- Jasonie - powiedział Ajzon uroczyście. - Oczywiście, musimy wypić. Bo jest powód: przypomniałem sobie.

- Co sobie przypomniałeś? - Jason łyknął, zmrużył oczy ze szczęścia i pokręcił bursztynową cieczą w szerokiej szklance, słuchając jak miło pobrzękują kostki lodu. Już czuł, że nie będzie miał czasu, żeby spokojnie i bezpiecznie zaspokoić głód alkoholu. - Co sobie przypomniałeś, ojcze?

- Wszystko.

- To ciekawe! - ożywił się Jason.

I właśnie w tym momencie... odezwał się sygnał alarmu, przeciął miły spokój kajuty i długim echem rozdzwonił się na korytarzach. Jason szybko wlał whisky do ust, omal nie dławiąc się kostkami lodu, i pomknął do sterówki. Meta wyprzedziła go oczywiście i pierwsza znalazła się przy panoramicznym ekranie.

Siedząca przy sterach Lisa wyglądała na zupełnie oszołomioną. Ponieważ to, co nadlatywało z przestrzeni międzygwiazdnej, przeczyło wszelkim normalnym wyobrażeniom o ciałach niebieskich, czy to sztucznego, czy naturalnego pochodzenia: jasność, szybkość, wymiary, promieniowanie radiowe nie pozwalały skojarzyć obiektu ani ze statkiem kosmicznym, ani z kometą, ani pociskiem bojowym, wystrzelonym w "Argo" przez nieznanego wroga.

A wszystko co nieznanne jest niebezpieczne. Dalej więc postępuje się według instrukcji: sygnał alarmu włączony, odważny Clif od kilku sekund ścisnął w spoconych dłoniach dźwignie gniazd artyleryjskich.

Ale dziwna kakofonia sygnałów nagle się zmiksowała w wyraźne zdanie:

- Dimedzie, to ja, Nivella. Proszę o pozwolenie na przycumowanie.

- Lisa - krzyknął radośnie Jason - przełącz na automat! Z radości objął i uściskał dziewczynę. Za jego plecami Meta okazała wyraźne niezadowolenie, pokazując mu wyciągnięty na całą długość język. - Przełączaj szybko! To przyleciała moja mamusia.

Widocznie zdążył się jednak wstawić. Kiedy? Niby zaczynał spokojnie, od lekkiego dżinu z tonikiem, a dopiero potem przeszedł na whisky.

Jego słowa dotarły do całej załogi. W sytuacji alarmowej rozkazy z mostka transmitowano przez interkom, a obecna sytuacja była na pewno alarmowa. Ale nikt nie zamierzał strzelać, "Argo" był gotów przyjąć na pokład okręt Nivelli, jakkolwiek dziwnie wyglądał.

Okręt był niemalże dokładną kopią "Barana", dlatego tak dziwnie wyglądał na ekranach lokatorów liniowca.

Natomiast Nivella była. . . nie, nie dokładną kopią Mety, ale w jakiś sposób była bardzo do niej podobna. Zaskoczony Jason zapytał:

- Ale jak mam się do ciebie zwracać? Pani Nivello? Mamo? Czy może inaczej?

- Jak chcesz! - uśmiechając się, powiedziała Nivella, wyglądająca niewątpliwie młodziej od samego Jasona. - Na przykład Niv - Niv. Ajzon kiedyś tak mnie żartobliwie nazywał.

Sytuacja stała się surrealistyczna. Jason nie wiedział nawet, o co zapytać matkę, szczególnie że kilka minut temu ojciec straszyl go perspektywą szczegółowej opowieści.

- No to jak? - zapytał w pełnej frustracji. - Możemy świętować uroczyste zjednoczenie rodziny. Nawiasem mówiąc, zamierzam się ożenić. Mamciu, poznaj moją narzeczoną, Metę.

- Bardzo mi przyjemnie. Ale dlaczego nie pytasz, jak was znalazłam?

- Domyślałam się z grubsza. Kiedy za pomocą procesora zdjęłam tę przeklętą powłokę, a całą energię ściągnąłem do gwiazdolotu, to właśnie stało się dla ciebie sygnałem. Tak?

- No tak. Ale mi mądry synek wyrósł! - uśmiechnęła się Nivella. - Może nie muszę w ogóle nic opowiadać? Przecież wszystko już wiesz.

- Wszystkiego nie - z godnością oświadczył Jason. - Ale czasem bardzo chcę wiedzieć wszystko. Powiedz mi na przykład, skąd wziął się drugi Olśniewający Śruboróg?

- O, to zupełnie inna historia! - zawołała uradowana Nivella.

- Nie! - Meta zdenerwowała się. - Zupełnie innych historii nie potrzebujemy. Jesteśmy szalenie zmęczeni ciągłymi wspomnieniami, wyjaśnieniami i wyznaniem. Mamy przerwę obiadową!

- Jasonie, czyżbyś nie chciał wiedzieć - pospieszenie zaczęła Nivella - że należymy do rasy nieśmiertelnych? Do jednej z nieśmiertelnych ras. Że Solvitz ze swoją szczepionką i Berwick ze Stowarzyszeniem Gwarantów Stabilności są tylko żalonymi wyznawcami czy raczej plagiatorami prawdziwych nieśmiertelnych z ich starożytnymi tradycjami? Czyżbyś nie był zainteresowany tym, że system wykorzystania hipertuneli wymyśliliśmy właśnie my, w celu komunikacji między planetami naszej Galaktyki, a nawet między planetami różnych wszechświatów? Że planeta Delfa znajduje się właśnie w innym wszechświecie i dostać się tam można tylko przez rewanawer. Nie interesuje cię, że przedstawicielami innej rasy nieśmiertelnych są mędrcy i że planeta Porgorstorsaand, gdzie minęło twoje dzieciństwo, stała się areną wszechświatowej bitwy o wyjście z hiperprzestrzeni do światów różnych

poziomów? Dlatego właśnie, nawiasem mówiąc, witano cię tam tak miło - za pomocą raketowego ataku i stalowych dzików. Czyżby był ci obojętny los twoich krewnych? Ahamant wciąż oczekuje mojego powrotu, Hella zginęła na Dardanelli w niedorzeczny sposób, Freiks został zabity przez drania Solvitza, a Action nieświadomie stał się jego agentem? Czy nie chcesz dotrzeć do sedna budowy gwiazdolotu "Baran" Naprawdę?

Jason rozumiał, że wszystkie te pytania są bardzo ważne, ale. . . Interesowało go wszystko i wiele innych rzeczy, ale nie w tej chwili. Mózg odmawiał przyjmowania dalszych informacji.

- Mamo, Niv - Niv, na Boga! (Skąd nagle wziął mu się ten archaiczny zwrot?) Chcę to wszystko wiedzieć, ale za jakiś czas. Dobrze?

- Dobrze. Ale przynajmniej kilka słów o mnie i ojcu...

- Nie. .. - zdecydowanie wtrąciła się Meta, widząc, jak żałośnie wygląda Jason. - Nie, nie i jeszcze raz nie! Dzisiaj się relaksujemy. Jeśli pani chce, proszę się przyłączyć, ale, błagam, żadnych poważnych rozmów!

Nivella uśmiechnęła się jeszcze raz i powiedziała:

- Dobrze. Proszę nalewać.

- Meto - zapytał Jason - ciekaw jestem, czy dużo zrozumiałaś z tego, co dzisiaj zaszło?

- Wszystko zrozumiałam - odpowiedziała Meta. - Ale porozmawiamy o tym jutro.

- Słusznie - zgodził się Jason. Język jeszcze mu się nie plątał, ale w głowie już miał mętlik. - A co dziś?

- A dziś chcę usłyszeć od ciebie, co sądzisz o nas dwojgu. O tobie i o mnie. Jak będziemy dalej żyć?

Jason, słysząc to, błyskawicznie wytrzeźwiał i z miejsca zareagował:

- Oczekujesz ode mnie prawdziwych oświadczeń? Ty, kobieta z planety Pyrrus?

- Tak, jestem kobietą z planety Pyrrus. No i co z tego?! Dobrze już znam zwyczaje twego świata. A w trakcie tej wyprawy często nazywałeś mnie swoją żoną albo co najmniej narzeczoną. - Krótko mówiąc...

- Krótko mówiąc, znam już twoich rodziców. Wydaje mi się, że w przeszłości był to obowiązujący rytuał.

- Skąd wiesz?

- Czytałam sporo książek o miłości. A moi rodzice, zapewne, oboje zginęli. O matce już wiesz, a ojciec... Przez długi czas uważałam za ojca Kerka... Tak naprawdę to nigdy nie znałam swojego ojca. Ale to chyba nie jest przeszkodą, Jasonie? Jak sądzisz?

- Meto - szepnął Jason. - Kocham cię, Meto!

Liniowiec ".Argo" ponownie zbliżał się do orbity Pyrrusa. Zagadawszy się, przegapili

sygnał ostrzegający przed nieważkością, spadła więc na nich niespodziewanie. Wolno, jak we śnie, unieśli się nad łóżkiem i zawirowali w przestrzeni kajuty, niczym w tańcu weselnym.

K O N I E C